

OPOWIADANIA

WARSZAWA

STEFAN ŻEROMSKI

OPOWIADANIA

WYDANIE DRUGIE



WARSZAWA

BRONISŁAW NATANSON

1899

ИЗДАНИЕ ПЯТЪЕ

ОБОИДОВА

Дозволено Цензурою.

Варшава, 25 Мая 1898 года.



106383

Doktór Piotr.

W pokoju pana Dominika Cedzyny ciemno i cicho, choć stary jegomość nie śpi. Oparłszy się plecami o poduszki, w pół leżąc na łóżku zatopiony jest w dziwacznych myślach, do niebywałego ogromu podniesionych przez ciszę nocną. A noc jest cicha śmiertelnie. Światło księżycowe, przestrzeliwszy grubą warstwę szronu, co zabielił szyby niby wapno, stoi na powierzchniach starych gratów, dwu ścian, części sufitu i podłogi, bez ruchu, jakby z zimna skostniało, takie samo zapewne, jakie oświetlać musi tej nocy kłody, gnijące na dnie wód, przywalonych lodem. W szparze szerokiego zapiecka odzywa się czasami świerszcz, w kącie pokoju kołace głucho stary zegar szafkowy, ostatni zabytek świetności minionej. Śpiew świerszcza i tępy szczeńk wahadła sprawiają panu Dominikowi niejaką, trudną do określenia ulgę. Gdyby nie te dwa litościwe szmery, rozszarpałyby mu chyba

serce tłok i burza uczuć i odebrała rozum nawałnica ponurych myśli. Gdy z mrocznych ką-tów izby wychylać się poczną zmory bojaźni, gdy w sercu żarzyć się poczyną żal bezsilny i lży okrutnego bólu palą powieki — świerszcz szepce głośniej, zupełnie jak gdyby wyraźnemi słowami, sylaba za sylabą, mówił: »Wzywaj Go w dzień utrapienia, a wyrwie cię i czcić Go będziesz.« To dziwne zdanie, ta rada czy modlitwa utajona w szmerze robaczka nocy, jest jedynym i ostatnim punktem podparcia dla wytrąconych ze zwyczajnej kolei myśli samotnika.

Kilkakrotnie zapalał świecę, sądząc, że go światło uspokoi. Daremnie. Skoro zatlił zapalną, rzucał mu się w oczy list syna i przypominał, jakie i gdzie ta męka ma źródło. Teraz ogarnęła go chęć zajrzenia raz jeszcze nieszczęściu w same ślepie, dźwignęła z niemocy ducha biedna odwaga smutnych aż do śmierci: zapuścić sondę wgłąb rany, do cna ją wymacać, przekonać się naocznie i nieomylnie, że jest niewyleczalną — no, i niech tam wszystko jasne pioruny spala!

Nałożył okulary, odsunął list za płomień i powoli, półgłosem czytać zaczął:

»Mój drogi ojcze! Ze wszystkich moich złoty ch marzeń dyabeł sobie fidybus skrecił i zapalił cygaro. Chełpiłem się niegdyś z moich zdolności do matematyki, oczy mi na wierzch

wyłażyły z pychy, gdy koleżkowie kpinkowali, że ja już w łonie matki, w randze sześciomiesięcznego embryona, oczekując chwili wydostania się na ten padół rachunku różniczkowego, rozwiązywałem z nudów algebraiczne zadanie o gońcach. Teraz przeklinam i te niby zdolności i te głupie rachunki. Gdybym był pasak krowy na wygonie, albo i same wieprzki... Ale co to pomoże w bawełnę obwijać! Awantura ma taki deseń: Mniej więcej przed trzema tygodniami prosi mnie do siebie profesor i daje do czytania list niejakiego Jonatana Mundsley'a, chemika, byłego profesora w jednym z uniwersytetów angielskich. Ten pan, porzuciwszy katedrę, urządził sobie laboratorium prywatne i prosi naszego starego o wskazanie mu najzdolniejszego z pomiędzy asystentów naszej politechniki, chce bowiem takiemu facetowi powierzyć kierownictwo owej budy. Obiecuje płacić dwieście franków miesięcznie, dać mieszkanie, wszelkie materiały, jakich chemiczna dusza zapagnie, opał i inne przyjemności — no i prawie zupełną swobodę w pracy. Gdym list przesylabizował, profesor odebrał go z rąk moich, złożył starannie, schował do szuflady, skrzywił się swoim zwyczajem i, podawszy mi flegmatycznie kończynę, usiadł przy biurku i wetknął nos w papiery. Patrzałem z podziwieniem na jego łysy czerep, gdy ten stary niedojda mruknął:

— »Tam już napisałem... Należy wziąć ciepłe spodnie i wełniane skarpetki. Wiadoma rzecz... mgły... Miasto Hull nad morzem. Jeżeli brak panu pieniędzy, mogę pożyczyć trzysta franków bez procentu na trzy miesiące. Tak... tylko na trzy miesiące.

»Zrobiło mi się haniebnie głupio. Azaliż ja — myślałem, — wzięwszy na się postać najzdolniejszego między chemiki, pojedę w wełnianych skarpetkach nad morze, aż do miasta Hull? Czemu nie kogo innego spotyka takie zaszczytne wyróżnienie, taki los szczęśliwy? Bo to los? W pracowni Mundsley'a, bez troski o jutrzejszy obiad i dzisiejsze przyszczyпки u butów, można pracować nietylko nad zdobyciem nowych wiadomości, ale i zaspakajać wydlubane ze swego własnego mózgu hipotezy.

»Ta chemia ma swoje psie figle... Skoro człowiek raz w błoto wlezie, jeżeli jeszcze powącha spraw niezbadanych, a wiecznie nęcących, porywa go taka przecież szewcka pasya odnajdywania nowych »prądzeń,« że gotów i o wełnianych skarpetkach mniej dokładnie pamiętać. A zresztą, mój Tatku, zobaczyć Anglię, jej prawdziwie wielki przemysł, te cuda cywilizacyi, te kolosalne skoki ludzkiego geniuszu! Zabrałem się i wyszedłem. Posiedziałem u Stapferwegu, a stamtąd, gnany niepokojem, ruszyłem na miasto zamiast wszakże zwołać publikę do Kropfa, gdzie tradycya surowo nakazuje oblewać

wyjątkowe zdarzenia, puściłem się nad jezioro. Nie pamiętam, kiedy znalazłem się na drodze, prowadzącej do Westmünster! Ciemna mgła kąpała się we wzburzonych falach; rude, obdarte, poszczerbione zbocza i upłazy gór wynurzały się z niej kiedyniekiedy, niby fantastyczne wyspy; żałośnie krakały mewy, szybując nad samą wodą.

»A więc jadę — myślałem — do ziemi angielszczyków ziemnowodnych, jadę nad morze, nad dalekie i nieznane morze... Nadaremnie tak długo łudziłem się nadzieją, że pojedę w inne strony, że po ośmiu latach inny zobaczę krajobraz. Nadaremnie w ciągu ostatnich trzech lat wysłałem tyle strzelisto-rekomendowanych afektów do Łodzi, Zgierza i tym podobnych Pabianic, upraszając o posadę z płacą czterdzieści, trzydzieści, niech tam zresztą wszyscy dyabli — dwadzieścia pięć rubli miesięcznie. Napróżno wynosiłem pod niebiosa moje talenty chemiczne, cytowałem moje patenty, obiecywałem wynaleźć nowe środki drukowania perkalików. Skompromitowałem się tylko w oczach własnych i świętej nauki. Tam żydkowie i niemczykowie wszystko już wynaleźli, zatkali wszystkie miejsca i popychają wielki przemysł. Rozwiały się marzenia o tem, że cię, mój Staruszku, *mit pompe und parade* zabiorę do siebie, że posprawiamy sobie nowe przyodziewki (samych butów kozłowych z cholewami po dwie pary na chłopa), że naznosimy tytoniu, cukru, herbaty, kiełbas — licho

wie zresztą czego,—że się będziemy wieczorami, jak ostatnie szewcy, zgrywać w domino i świętej pamięci Kozików wspominać... Kozików!.. Czy też ojciec pamięta ten wydmuch piaszczysty za naszym ogrodem, obrośnięty krzywemi sosnami i niską, szorstką trawą? Sam nie wiem, czemu tak lubię myśleć o tej dziurze. Pamiętam raz... Po długich i tęgich mrozach, po ciężkiej zimie, nastął pierwszy dzień ciepły, prawie upalny. Był to jeden z pierwszych dni marca. Około południa obnażył się niespodzianie ze śniegu szczyt owego wzgórza, wylazł ze skorupy i zaczerniał nad białym widnokregiem, jak garb potworny. Stałem wtedy w oknie i wydawałem lekcję korepetytorowi — pamięta go Tatko? kudłatemu Kawicy. Coś mię kolnęło. Nie wiem, jakim sposobem wykreciłem się z lekcji, wypadłem na dwór, zwołałem psy folwarczne i »co koń skoczy« przez zagony, przez pastwisko, bez czapki!.. Do dziś dnia mam w sercu tę chwilę, te uczucia, jakby to było wczoraj. Po igłach, gałęziach, po korze odziemków sosnowych spływały ogromne, brudne krople, ciężko kapały na zaspę i dziurawiły je na wskroś; każdy skostniały bądył, każdy pniak, kamień, każde drzewo, każdy przedmiot wciągał w siebie, połykał wszystkiemi porami promienie słońca i stawał się w mgnieniu oka ogniskiem ciepła. Dokoła drzew, krzaków, suchych łądyg chwastu, dokoła kamieni i kołków, drążyły się w oczach ogromne jamy

i ukazywał w nich jasny, wiotki piasek. Każde jego ziarenko, nasycone ciepłem, zdawało się żarzyć i płonąć, szerzyło na zmarzniętych towarzyszów radosny ogień. Ziarnka piasku parzyły śnieg ze spodu, drzewa i krzaki chlustały nań ciepłymi kroplami; przykopy i zagony zdawały się dźwigać zdławione grzbiety. Z dalekich pól szedł gęsty opar, niby dym ciepły, migał się i przewalał nad równinami, a trząśł i połyskiwał nad wzgórzem.

«Stado wróbli wygrzewało się na gałęziach suchej wierzby i ćwierkało, jak na trwogę, Rozpuszczone, jak u indyków, ich skrzydła strzepywały z gałązek lód i osiedzieliznę, dzioby kuły niecierpliwie w próchno, obwieszzone soplami. Zdawało mi się wtedy, że całe to stadko śpiewa jedną pieśń dziwną i nigdy niesłyszaną, przejmującą do szpiku kości. I popłynęły nareszcie pierwsze wody wiosenne, bujne, nagłe, gwałtowne, jak łzy niespodziewanego szczęścia. Sączyły się brózdami, żłobiły sobie głębokie łożyska w posiniałych kolejach, wyrżniętych przez sanice, lały się po wierzchu śniegowej skorupy, z cicha, radośnie szemrząc. W naszym strumieniu woda wezbrała, powstawały wiry huczące, odślaniały się brzegi i spływała po nich, jak ropa, żółta, rzadka, rozmoczona glina. Pnie brzoź nadwodnych zanurzyły się w rzekę i ssały korzeniami tę wodę żywą...

»Wpadłem w szal: spuszczałem strumyki, ułatwiałem spadek wodospadom, kopałem ka-

nały, stawiałem tamy... Cieszyłem się z głębi serca, że skostniałym badyłom ciepło, że już żaden wróbel nie zmarznie, i wyciągałem po raz pierwszy w życiu dziecięce ramiona do tej wielkiej niewiadomej...

»Czy też to miejsce jest tam jeszcze? Pytanie godne głowy i pióra doktora Piotra Cedziny — nieprawdaż? Ach, tak!.. Człowiek, któremu odejmą strzaskaną rękę, czuje ciągły ból w próżni, równającej się długości ręki. Często budzę się po twardym śnie z tym nieujętym bólem w próżni. Oto przyjdzie nowa wiosna... Zobaczę ją we mgłach, przydymionych sadzą fabryczną, — a zarówno tam, jak tutaj, będę niósł w sobie kły upiora, głęboko zapuszczone w duszę... I tak zawsze, bez końca...

»Zapomniałem. o czym właściwie chciałem ci pisać, mój Stary, mój Drogi Stary... Jestem sam na świecie i ciebie mam tylko, jak drugą połowę siebie, jak oddartą i niezmiernie daleko uwięzioną połowę duszy. Nie gniewaj się, że piszę rzeczy nieciekawe — piszę, jakby do siebie... Gdym tedy stał nad brzegiem jeziora, było mi strasznie podle. Wielkie, przezrocyste, jasno-zielone fale biegły z jakiegoś nieznanego miejsca, schowanego we mgle, trzepały się u brzegu, pękały, rozplątane przez ostrze kamieni, a każda, ześlizgując się w głębinę, zdało się, wzdychała: »Jesteś jak mrówka wychowana w lesie, gdy ją na środek stawu wiatr zaniesie...«

Pan Dominik odrzuca list ze złością, i podparłszy brodę pięściami, siedzi nasrożony jak kania. Nie męczą go już teraz fantastyczne, bezprzedmiotowe rojenia, ale zato skupiają się i kojarzą logiczne, nie mniej bolesne myśli. Czemu taki koniec wzięło życie? gdzie przyczyna tych wszystkich wypadków? Dlaczego jedyny syn nie słucha ani próśb, ani zaklęć, ani przedstawień, ani rozkazów, i zamiast się uniewinniać, pisze rzeczy sentymentalne i niezrozumiałe? Dlaczego nie powraca? Gdyby się tylko zjawił, — przy protekcyi, podeptawszy nieco, znalazłoby się dla niego doskonałe miejsce, posażną pannę... Dlaczego? — To rzecz jasna. Człowiek nie może żyć i pracować — odpowiada sobie pan Cedzyna, — jeśli ktoś nie żył przed nim i nie pracował dla niego. Ten ktoś — któż to jest? — Ojciec. Przez urodzenie ojciec nie daje jeszcze synowi życia — daje tylko obietnicę życia, wychowanie poczyna je, a dziedzictwo dopiero zapewnia i uzupełnia. Tu jest źródło konieczności dziedziczenia w rodzie ludzkim. Ono jest węzłem, co spaja pokolenia umierające z rodzącemi się, wypływa z tego, co jest niezbędne we względzie potrzeby ciała, tworzy i uwiecznia rodzinę. Rodzina bez dziedzictwa jest stosunkiem niedorzecznym, bolesnym, jest męczarnią narzucaną człowiekowi przez Opatrzność... Taką klątwę my na sobie dźwigamy z Piotrusiem! Dziedzictwo dopiero jest znamieniem człowieczeń-

stwa; przez nie, razem z owocami pracy, pozostawia synowi ojciec owoce swych wrażeń, pojęć, rozwagi, odkryć i domysłów, wszystkiego słowem, co mógł nabyć długoletniem doświadczeniem. Syn od punktu, w którym się ojciec zatrzymał, postępuje i sięga dalej na drodze bogactwa, oraz inteligencji, — a tym porządkiem praca przechodzi z rąk do rąk, gromadzi się, rozwija, opiera jedna na drugiej i formuje piedestał, na którym wznosi się coraz wyżej... cywilizacja. W rosnącym postępie społeczeństwa, jeżeli kto raz utraci wątek, już go niepodobna pochwyć — i jeżeli ojciec był niedołęznym w pracy, syn cierpi za winy niepopelnione, a nieszczęście z krwią się przekazuje. Dziedzictwo trzyma dzieci w obrębie progów domowych i zaspakaja ostatnią i dlatego może tak wielką i gwałtowną namiętność starości, namiętność obcowania z potomkami...

— Ja to wszystko straciłem — szepce pan Dominik, ściskając sobie skronie — i straciłem na zawsze! Głos starości woła na mnie o ducha i krew, a ja jestem jak rzeźbiarz od którego żądają w terminie skończonego posągu, podczas gdy on, prócz idealnego w duszy obrazu, nie ma garści gliny. Ośmnastoletniego wyrostka puściłem bez grosza, samopas za granicę... cóż dziwnego, że wyrósł na obcego mym wyobrażeniom, na nowożytnego człowieka. Czem-że ja go przyciągnę? Miłością, śmiertelną tęsknotą?..

Co nas łączy? Nazwisko chyba, które on po nowomodnemu lekceważy sobie. To nowoczesny człowiek: uczyni ze sobą, co chce i jak chce. Za moich czasów syn był w ręku ojca, słuchał go i czcił, nie miał prawa opuścić pod groźbą surowego wyroku naszych ludzi. Nie zasmucił ojca, bo wisiało nad nim twarde i mocne, niepisane prawo. Teraz ono rozwiązane leży, odkąd zniknął nasz obyczaj szlachecki. Synowie nasi odeszli w świat... Szukają nowej prawdy. Śpieszą po twardym gościńcu, w skwarze i znużeniu — zdaje im się bowiem, że na najbliższym wzgórzu tej drogi leży nie tylko ten skarb, ale i szczęście ducha. Nas wstrzymywała w biegu mądrość rodzicielska, pokazując, że ta nadzieja czczem jest mamidłem. Ich nic nie wstrzyma, to też w duszach ich niema »miękkich włókien« czułości. Słabych i nikczemnych mieli ojców! Ach, wielka nasza wina!... ale czyż nasza tylko? My, członkowie szeroko rozpostartej rodziny szlacheckiej, stanowiliśmy odrębną społeczność, byliśmy cennem zbożem, rosnaćem na pocie tłumy, jak na nawozie. Czy nie tworzyliśmy postępu, nie piastowali cywilizacyi, nie rozwijali prawidłowo naszej myśli? Duch czasu wsiął nas w gminy, jakby ktoś ćwierć dorodnego żyta wsiął w pole nędznej wyki. Rozbiliśmy się na jednostki, zwyrodniali i zgoła znikli. Cóż z tego, że ja przystosowałem się, że poszedłem na służbę do pierwszego lepszego bękarta losu, do

syna jakiegoś przekupnia, do parweniusza, który rozmaitemi protekcjami, stypendyami z lewej ręki, pokornem całowaniem mankietów doszedł do dyplomu inżyniera i możliwości zgrarniania pieniędzy na torach kolejowych? Co z tego, że wyłamałem ze stawów moje harde myślenie z takim trudem, jakbym wyłamywał kości — że nauczyłem się zginać kark i pracować, jak ostatni z moich niegdyś parobków? Co z tego, że, zdławiwszy w sobie obrzydzenie, wsiałem na karuzelę pojęć nowoczesnych? Nie przestałem być sobą i nie zostałem mieszczuchem. Co stokroć gorsza, nie rozumiem mego syna, nigdy nie będę jego przyjacielem, nigdy nie będę godnym jego współczucia, jego, co jest jedyną na całym szerokim świecie istotą z mojej krwi. I nic się już nie zdarzy w tem plugawem życiu, oprócz jednego wypadku godnego uwagi, oprócz śmierci. Piotruś pojedzie do Anglii. To znaczy, że gdy ja będę umierał, gdy ktoś litościwy wezwie go telegraficznie, on, przy największym pośpiechu, może przyjechać nazajutrz po moim pogrzebie. Po mojej nędznej śmierci... nigdy już nie pomacam rękami jego włosów, ani nie usłyszę głosu. Zapomniałem, jak on mówi, i nie mogę sobie przypomnieć tego dźwięku. Ciągłe się w czyjejś mowie odzywa, krąży mi koło uszu i ciągle zwodzi. Nigdy nie obejmę oczami jego postaci, jego męskich, szerokich ramion. Taki był wtedy chuderlawy, mizerny tego wieczora,

kiedy go odprowadzał, nie przeczuwając, że na zawsze. Do końca będę nasłuchiwał, wyczekiwał jak głupi, do ostatniej minuty życia — na daremnie!..

W tej chwili stary szlachcic czuje znowu w sobie mroźne powiewy obawy.

— On zupełnie o mnie zapomni — szepce zbielełymi wargami. — Ani razu o mnie nie pomyśli... Ale co... nie pomyśli! On dobrowolnie, umyślnie zerwie, przestanie pisywać, zaprze się. Ogarną mu umysł jakieś wyobrażenia. Co to jest ojcostwo? zada sobie pytanie jakiś filozof nowoczesny. Nagromadzi dowodów i wykaże z oczywistością nieodpartą, że ojcostwo to złudzenie uczuć, to pewien nawyk moralny, który dla takich a takich przyczyn wytrzebićby z dusz warto. Może nawet... o, rozpaczy!... będzie miał słuszość! Nie będzie wcale podły, ani głupi, tylko wykształcony. Nikt go za to nie skarże, nikt nawet nie obwini. Jakież jest na to prawo?

— Trzeba się ratować — mówi starzec, zalamując rękę.

Zimny pot spływa mu z czoła, serce uderza twardem, głośnem, powolnem tętnem. Za pomocą siły ducha, mocnej a nie cienkiej, jakiejś jaźni nagle skupionej i wyłamanej z głębi istoty moralnej, stara się zbadać swój rozum, podniecić go, wyćwiczyć i wyostrzyć do walki z sofistematami syna.

— Ja cię nauczę, błaznie, ja ci wytłómaczę, ja cię przekonam, że łiesz — mówi głuchym i twardym głosem.

Bolesny, nateżony, bezowocny paroksyzm poznania podpowiada mu zdania cudaczne i plugawe. Starzec chwytą je i pomija, szuka innych i znowu tropi coraz nikczemniejsze myśli synowskie, zupełnie tak, jak ogar tropi ślady sarny podczas zamieci zimowej, gdy wichur je zwiewa.

— Chemia ma swoje psie figle... Dlatego leci na koniec świata. Cóż znaczy stary jakiś dziad, któremu los odbierał po kolei wszystko, aż do ostatniej szmaty odzieży i ostatniego złudzenia!

Wszystkimi potęgami ojcowskiego serca klnie tę naukę. Jakaś umiejętność, coś, czego nie można ani zniweczyć, ani nawet nienawidzić — porwało chłopca, jak śmierć.

— Oddaj mi go! — skamle — wypożycz na jeden dzień cały. Więcej nie chcę.

Gdzieś nieskończenie daleko, w zaspach śniegu, rozlega się świst przelatującego pociągu, nagły, przesywający, jak wołanie na pomoc. Potem nastaje znowu cisza głęboka. Blask księżycowego światła zwolna się przysuwa do łóżka starca, który, zwinąwszy się w kłębek, miotą się, płacze w tym ciemnym kącie i mruczy monotonna, żalną swoją skargę.

Pan Teodor Bijakowski (vel Bijak) ukończył Instytut Komunikacyi w tym właśnie okresie, kiedy nieuniknione warunki ekonomiczne roztworzyły pugilares, szepcząc: zagrabiaj, o piękny posagu!... Nie tylko tendencya pisarstwa śpiewała kantatę na cześć inżyniera i oświetlała jego postać ogniami bengalskimi, ale jeszcze, na domiar szczęścia, panny mądre, które jak wiadomo, najsprytniej umieją zwąchać ducha czasu, zapaliły znienacka lampy swe, odsłoniły łona łabędzie i, czuwając, oczekiwały na kołatanie pozytywnego oblubieńca. Pan Teodor zrozumiał jeszcze dokładniej, niż panny, ducha czasu i postanowił ożenić się odpowiednio. Bywał tedy w domu bogatego warszawskiego powroźnika, uroczą córką którego pielęgnowała w pamięci swej kilka pierwszych stroniec z dzieła Buckle'a.

Pan Teodor urodził się w mieście Warszawie, bodaj że na Krochmalnej ulicy, gdzie ojciec jego skromny, ubogi, ale chędogi szynczek naróżny utrzymywał. W latach pacholęcych bawił się mały Teoś wraz z czeredą młodszego i starszego rodzeństwa, że tak powiem, w rynsztoku, wybijał szyby sąsiadom starozakonnym i byłby był pozostał na zawsze w stanie barbarzyństwa, gdyby nie jedna szczęśliwa okoliczność. Oto właścicielka domostwa, gdzie mieścił się instytut starego Bijaka, dama draśnięta zębem czasu, przedziwnie uczuciowa, dostała pewnego pięknego poranku celny strzał z procy, naciągniętej

ręką małego urwipółcia. Kamień utkwiał w samym koku i przyprawił podstarzałą panną o kilka dni płaczu i cierpień moralnych.

Rozkazała przywołać do siebie Teosia, patrzyła nań długo, a wreszcie rzekła:

— Pójdź, dziecko, ja cię uczyć każę.

Chłopiec był nadspodziewanie zdolny, w lot naukę w sztubie pochłonał i w sekrecie nawet przed zapijającym wszelkie sprawy Bijakiem, zdał do gimnazjum. I tam szedł z nagrodami z klasy do klasy, cicho i skromnie. Opiekunce na imieniny pisał laurki, całował kolana i ręce, a po jej śmierci, musiał, sierotka, wiele nacałować mankiatów, nim wreszcie zdał do Szkoły Głównej, ukończył wydział matematyczny i przy pomocy tych i tamtych dostał się do Instytutu.

Wszystko to gładko mu poszło. Nie będę opiewał wszystkich jego promocyi, przygód, zachodów, zmian sposobu myślenia i miejsc pobytu — dość będzie, gdy powiem, że budował wiele pięknych mostów, dużych dworców, wielką ilość dystansów — i że, nim upłynęło lat dziesięć od ukończenia studyów, posąg nasz miał już kilka dziesiąt tysięcy rubli, ulokowanych bezpiecznie i świetnie. Do posad przy eksploatacyi nie kwapił się, wolał zawsze trzymać z grubemi rybami i asystować przy budowie dróg nowych. Pieńiędzy płynęły do jego kieszeni szerokiem łożyskiem: drobna niejednokrotnie usługa, słówko zgrabnie pochlebne, dzielna, niewinna na pozór

operacyjka, co więcej, szczęśliwy dowcip warszawski — napełniały na nowo pugilares, po jakiejś inżynierskiej bachanalijce chwilowo opróżniony. Nie mówię o rezultatach głęboko i systematycznie obmyślanych planów działania...

...Wśród uśmiechów losu, inżynier nasz, wyznać trzeba, nie zapomniał o ubogiej rodzinie z Krochmalnej ulicy. Prowadzał za sobą kohortę nie tylko braci, ale bliższych i dalszych kuzyków, z których każdy już po tygodniu operowania, pod okiem dobroczyńcy, chadzał przy zegarku i rujnował się na modne haweloki. Na południowym wybrzeżu Krymu, pan Teodor posiadał wytworną willę, gdzie królowała pięknie rozkwitła małżonka jego, czytelniczka niegdyś Buckle'ów i Mill'ów. Cudownie tam było: w oddali falowało morze, dokoła rozścielał się las podzwrotnikowych krzewów. Zdawało się, że pan Teodor do końca życia będzie sobie w wolnych chwilach odczytywał to tę, to inną stronicę Dekameronu (mądre bowiem księgi rozdał na pamiątkę niewyspanym telegrafistom), gdy oto niespodziewanie zjawił się demon niepokoju...

...Wówczas właśnie poczęto w kraju budować drogę żelazną — pan Teodor zjawił się i wziął nowy dystans.

Zaraz po objęciu robót przyplątał się do niego zrujnowany do szczętu obywatel ziemski Dominik Cedzyna. Początkowo pełnił na budującym się plancie obowiązki zwyczajnego dozorca,

poganiacza ludzkiego stada, później zaskarbił sobie względy naszego przedsiębiorcy i do innych celów użytym został. Dziwnie wyglądał ten elegancki, wyprostowany starzec, z miną pana, zawsze wytwornie i czysto ubrany, gładko uczesany i wygolony starannie, kiedy stał w pobliżu drzwi wobec Bijakowskiego, rozwalonego niedbale na krzesle. Inżynier doświadczał demokratycznej rozkoszy, trzymając przy drzwiach byłego pana i mówiąc do niego; »pójdiesz mi, mój panie Cedzyna...« albo: »tyle już razy mówiłem panu Cedzynie...« albo: »trzeba być mazgajem, panie ten... panie Cedzyna.«

Twarz starego szlachcica nie zdradzała nigdy ani śladu gniewu, ani cienia obrazy, ani pozoru zdziwienia. Czasami tylko po zaciętych jego wargach przemykał się tęskny, dziecięcy niemal uśmiech, czasami wypłowieła oczy zachodziły mgłą jeszcze bardziej i zdawały się nic nie widzieć. Nigdy wszakże żrące go upokorzenie, nie wynurzało się na zewnątrz w dźwięku mowy lub treści słów.

— To także honor, to punkt honoru — myślał. — Ja i tak pan, a ty i tak cham!..

Miał ten człowiek jedną tylko pociechę i nadzieję. Skoro nadchodził wieczór, gdy robotnicy, złani do suchej nitki potem, rzucali łopaty i, zjadłszy strawę, padali w sen kamienny, gdy panowie inżynierowie zasiadali do winta, — Cedzyna szedł wzdłuż plantu do sąsiedniego miasteczka.

Głowa jego podnosiła się wtedy dumnie, oczy nabierały blasku, usta szeptały: »Piotruś... ach, Piotruś!«

Pukał do okna pocztmistrza i ugrzecznionym, bojaźliwym głosem pytał, czy niema listu do Dominika Cedzyny. Jeżeli ten list upragniony otrzymał, oddalał się szybko, pieszcząc kopertę palcami i do warg ją przytulając. Potem w swej nędznej izdebce stawiał świecę przy łóżku i zaczynał czytać. Czytał powoli, w sposób dziwaczny: nie przebiegał oczyma od razu całego listu, lecz wykradał jedno, dwa zdania, kilka słów—i składał pismo. Czasami koniec listu odczytywał dopiero trzeciego dnia po otrzymaniu. Gdy mu dokuczono, gdy go obrażono, gdy czuł, że mu klatkę piersiową coś gnieść zaczyna, niby obręcz żelazna, i krew uderza do głowy, — macał boczna kieszeń surduta, gdzie nosił paczkę listów od syna — i odyskiwał spokój. W każdej chwili wytchnienia, podczas obiadu czy chwilowej przerwy w robocie, wydobywał arkusik i wmyślał się w jakieś zwyczajne zdanie. Wtedy uśmiech łagodny, jak promyk słońca, wypogadzał jego twarz drewnianą i skrzepłą na niej troskę nieweczył.

W odległości wiorsty od dźwigającego się nasypu, stanowiącego część dystansu pana Teodora, sterczało pośród pól wyniosłe wzgórze, porośnięte jałowcem i uwieńczone szarym, zębatym grzbietem skał wapiennych. Góra należała

do folwarku Zapłocie, a folwark do niejakiego pana Juliusza Polichnowicza. Inżynier zwrócił uwagę na owo wzgórze zaraz po rozpoczęciu robót, zbadał skały, znalazł w nich obfitość węgla wapna i niewielką ilość obcych przymieszek, dostrzegł, że zbocza i osypiska wykazują piękne pokłady wyborowej gliny, -- to też w kilka dni po przyjeździe zabrał ze sobą pana Cedzynę i pojechał do folwarku Polichnowicza. Zmierzch zapadał, kiedy furmanka zbliżała się do Zapłocia. Folwark stał u samego podnóża góry. Zabudowania otaczał szeroki czworobok usychających topól. Budynki były w stanie opłakanym; waliła się w gruzy stara gorzelnia i wyciągała ku niebu obdarte z poszycia krokwie; jak kościotrupie piszczele, nachylały się ku ziemi dachy stodół; tu i owdzie sterczały żerdzie rozwalonych płotów. Kamienista i urozmaiconą zatrważającą wyrwami droga mijającą pewien rodzaj bramy i prowadziła przed dwór. Ogromny, czarny dach domostwa zjeżdżał ze ścian w tył i jednym swoim krańcem dosięgał prawie ziemi.

Kiedy wasąg naszych przedsiębiorców zatrzymał się przed gankiem, w dwu oknach błyszczało światło. Jakaś figura zjawiała się we drzwiach.

— Czy to ty, Szulim? — zapytał głośno stojący na progu.

— Nie, to nie Szulim — odpowiedział Bijakowski. — Czy dziedzic jest w domu?

— Któż tam, u dyabła?

— Czy dziedzic tutejszy jest w domu?

— Dziedzic?

— Można się z nim widzieć?

Osoba znikła i jednocześnie prawie światło w oknach zgasło. Wędrowcy nasi wstąpili na ganek, lecz znaleźli drzwi zamknięte. Bijakowski zastukał.

Żadnej odpowiedzi.

— Dziwna rzecz — zauważył pan Dominik.

Inżynier zeszedł z ganku i zajrzał za węgiel dworu, szukając innego wejścia. Musiały tam być jakieś drzwi, biegano bowiem tamtędy, białe postacie wsuwały się do dworu i wymykały do ogrodu, dźwigając jakieś ciężkie przedmioty, coś w rodzaju szaf, luster, kanap, stołów, łóżek, obrazów.

— Nadzwyczajny dom — mówił do siebie zaciekawiony do żywego »bourgeois.« Ten obywatel wyprowadza się widocznie, czy co u licha?.. o tej porze... panie Cedzyna...

Pan Dominik pokiwał melancholijnie głową i cicho westchnął.

Z pomiędzy pokrzyw i kęp bzu wysunęła się wreszcie jakaś babina, podeszła do Bijakowskiego i beczelnie zaglądała mu w oczy.

— Coście to za jedni, ludzie? Skądęście?

— Jesteśmy z kolei, chcemy rozmówić się z tutejszym panem — mówił do niej pan Cedzyna. — Mamy do pana interes. Chcemy od niego kupić kamień... Słyszysz? Jest ten wasz pan? można go widzieć?

— Pana niby — namyślała się baba.

— Naturalnie, że nie ciebie...

W tej chwili wynurzył się z mroku cień inny.

— Panowie kolejarze... aha... Proszę, bardzo proszę... Maryna, rypaj zapalić lampę. Każ wnosić napowrót. Proszę panów... jestem Polichnowicz.

Drzwi, prowadzące z ganku do sieni, otwarły się znowu i przybysze wprowadzeni zostali do obszernego pokoju, o bardzo niskiej powale. Stało tam mnóstwo mebli i sprzętów w szczególniejszem ugrupowaniu: komoda wysunięta była na środek pokoju, na niej leżało kilka obrazów w grubych, złożonych ramach i lustro, stół zarzucony był stosem rzemieni, uzd, batów, szpicrut, popręgów, torb myśliwskich z przyborami do polowania; roztwarty kufer odsłaniał wnętrze pełne brudnej bielizny i zniszczonej odzieży. Na łóżku, okrytem podartą kołdrą, spoczywało olbrzymie psisko z rodziny dogów, a na wygniecionej kanapie spał maleńki kudłaty piesek. Gospodarz usiłował za pomocą forsownego wykręcania knota, wydobyć z zakopconej lampki większy płomień. Był to młody człowiek, lat około

trzydziestu, nieco przygarbiony, o twarzy wywiedłej i zużytej.

— Siadajcie panowie — mówił, rzucając z krzesełek na ziemię porozmiotane części męskiego odzienia i przysuwając kulawe krzesła gościom. — U mnie tu cokolwiek po kawalersku, ale bo to z tymi sekwestratorami... Fintik! won, podlecu!..

Kudłaty piesek podniósł łeb niechętnie i, machając ogonem, zsunął się na podłogę.

— Proszę pana — zaczął Bijakowski, — taki jest nasz interes: Do pana należy góra, w pobliżu której prowadzimy plant kolejowy?

— Góra? »Świńska krzywda?« no, do mnie należy... i cóż z tego?

— Pan z niej żadnego zysku nie ciągnie?

— Jakiż ja zysk mogę ciągnąć z takiej góry? Kpisz pan, czy co?

— Pastwisko pewnie — wtrącił pan Cedzyna nieśmiało.

— Jakie pastwisko! — oburzył się Polichnowicz. — Kamień na kamieniu i trocha jałowcu. Miejsce ustępowe dla trznadli... chciałeś pan chyba powiedzieć. Ale co panom znowu do tej góry?... Fintik! won, podlecu!..

Piesek zeskoczył znowu z kanapy, na którą się był wdrapał.

— Krótko mówiąc — ciągnął inżynier, — jabym kupił od pana kamień z tej góry i prawo wybierania gliny. Czy zgadza się pan?

— Kamień? A, prawda... Owszem, panie do-
brodzieju, z największą przyjemnością.

— I coby też pan żądał?

Polichnowicz zaczął kręcić w palcach papie-
rosa, założywszy nogę na nogę w taki sposób,
że końcem śpiczastego buta dotykał prawie swe-
go nosa i — milczał. Dopiero gdy załatwił pro-
ces umieszczania papierosa w cygarnicy i oto-
czył się kłębamii dymu, wypalił śmiało:

— Odstąpię panu za ośmset rubli.

Bijakowski zaczął się śmiać krzykliwie:

— Siedmset rubli!... bagatela! I to za miej-
sce ustępowe dla trznadli... Cha!.. cha!.. wie
pan, co...

— Nie siedmset, lecz ośmset rubli! Mów pan,
co dajesz. Nie lubię, gdy mi się kto w nos
śmieje. Fintik! wyrzucę cię za drzwi, kpie jeden,
i tyle u mnie zarobisz...

Piesek znowu zlaźł z kanapy. Bijakowski
spowaźniał.

— Pan sądzisz, że masz z frajerem do czy-
nienia — mówił młody obywatel, przymrużając
lewe oko. — Ja, panie, jestem dublańczyk i wiem,
co jest warta taka glinka, zmieszana z pewną
ilością piasku, bynajmniej nie tłusta... Znajdź
pan tu w okolicy taką glinę i taki kamień.

— Kto wie?.. może i znajdę — powiedział
inżynier, wstając i zabierając się do wyjścia.

— No... cóż pan dajesz?.. niech słyszę.

— W każdym razie nie więcej nad sto rubli.

Pan Polichnowicz wpadł w głęboką zadumę.

— Dawaj pan na rękę dwieście rubli... i niech tam dyabli...

— Nie, panie — rzekł zimno Bijakowski.

— No, to trudno., Dajesz pan sto pięćdziesiąt?..

Inżynier śmiał się pod wąsem ironicznie.

-- Spiszemy kontraktik... co tam!.. Może herbaty?..

— Ajno, herbaty! — odezwał się niespodziewanie głos z sąsiedniego pokoju. — Pan będzie częstował, a ja nie wiem, skąd panu wezmę tej herbaty... Widzicie!

— Milczeń, małpo jedna! — rzekł Polichnowicz, wcale nie odwracając głowy. Może panowie kwaśnego mleka z kartoflami?..

— Nie, dziękujemy. Sto rubelków płacę, piszemy umowę na dwie ręce... jest świadek, pan Cedzyna...

— Pan Cedzyna! — zawołał młody człowiek, obrzucając gościa ognistym spojrzeniem — pan Cedzyna, z Kozikowa?

— Tak, niegdyś...

— Cóż znowu? Już pana wyleli! Cha, cha!.. To dopiero pogrom na ziemiaństwo! Koleje pan dobrodziej teraz budujesz?...

— Pracuję — odpowiedział skromnie pan Dominik.

— Phy!.. A no cóż robić!.. piszmy ten kontrakt. Będzie przynajmniej co wsadzić jutro w zęby panom starozakonnym.

Spisano kontrakt — i późno w noc przedsiębiorcy opuścili folwark.

Po upływie kilkunastu dni u podnóża góry funkcjonowała maszyna do wyrabiania cegły, a na skałach roily się ludzkie postacie. Inżynier zjawiał się na szczycie góry i rozciągający się u stóp jej obszar, ciekawem i zamyślonem obejmował okiem.

Był koniec sierpnia, czas orki. Na polach Polichnowicza panował zupełny spokój. Bijakowski nie znał się na gospodarce rolnej, z mozołem odróżniał pszenicę od jęczmienia w kłosie, zastanawiała go wszakże szczególna predylekcyja dziedzica Zapłocia do ugorów. Te długie, szare smugi gruntu, pokarbowanego niegdyś przez równe zagony, sprawiały wrażenie, jak cmentarz smutne. Gdzieniegdzie jednostajną barwę odłogu przerywało półko ścierniska, albo kartofli, — za niemi ukazywał się on znowu i ginął aż w od dali, jednocząc się z nieużytkami i pastwiskiem.

Młody dziedzic przychodził codziennie na górę, siadał na kamieniu, ćmił papierosa za papierosem i gawędził.

— Pański folwark — mówił do niego Bijakowski pewnego razu, — widziany z tej góry, podobny jest do trupa.

— Dobrze, dobrze... Do trupa! Wziąłem po ojcu folwark źle prowadzony, musiałem zaprowadzić płodozmian umiejętny...

— Płodozmian? Gdzież tu i jakie płody pan zmieniasz? Tu żadnych płodów wcale niema.

— Jakto niema?

— Nie znam się na tem, ale nie widzę ani żyta...

— A bobik?

— Co za bobik?

— No i bierzesz się pan do krytykowania! Widzisz pan ten pas zielony?

— Cóż panu przyjdzie z pasa zielonego, albo i z samego tam bobiku? Żyta nie widzę.

— A tamto ściernisko to po czymże?.. po kapuście z baraniną?

— Ależ to chłop przecie dwa razy więcej żyta wysiewa!

— Bo chłop niszczy glebę, sieje żyto po życie... Chłopu pan pozwól tylko, to panu na Placu Teatralnym »zimioków« nasadzi, ale wcale z tego nie wynika, abyśmy mieli, idąc za jego przykładem, wyniszczać grunta. Tu rzeczywiście trzeba trochę mieć kapitału...

Nie pamiętam dokładnie, jak się to stało, dość, że nadeszła ta chwila. Gdy pierwsze lokomotywy świstać poczęły na nowej drodze żelaznej, Jules Polichnowicz wyjeżdżał z Zapłocia, unosząc w podróznym saku kilka setek rubli. Folwark z ugorami, pustemi stodołami i litanią długów stał się własnością inżyniera Bijakowskiego. Nowy dziedzic przez czas pewien spoglądał z rozkoszą na pochylone pola, zapadający

się w ziemię dwór starszylachecki i wysokie topole z uschniętymi szczytami. Własny majątek! Stare domostwo — marzył — przeznaczy się dla rządcy; na wzgórzu, frontem do plantu, wzniesie skromny, ale stylowy pałacyk. Zbyt długo wszakże inżynier nasz był człowiekiem praktycznym, aby idealne marzenie o pałacyku usunąć mogło na plan drugi myśl o ugorach.

— Co począć z temi ugorami? Czyliż doprawdy osiąść w takim Zapłociu i zacząć ubierane pieniądze »wkładać« w brózdy, stodoły, owczarnie? Jeździć co niedziela z rodziną do wiejskiego kościoła, zasługiwać się Panu Bogu, aby żyta gradem nie wybijał i strzegł od podpalacza?

Przyjechać na lato do siedziby wiejskiej, obserwować z małżonką zachody słońca, uganiać się (wraz z tąż małżonką) po pachnących łąkach za różnobarwnymi motylami, czytać Giovanni Boccaccio w cieniu lip odwiecznych, nawet kielbie łowić na wędkę w strumieniu — słodkie to są przyjemności, ani słowa; ale siedzieć tu zimą i łąpać oczami na przebiegające pociągi — to, co najmniej, nierozsądek.

Zupełnie inne uczucia miały duszą pana Dominika Cedzyny. Nabycie przez inżyniera tółwarku dało mu nadzieję otrzymania posady rządcy, powrotu na wieś, do roli, rozporządzania się, jak tego dusza pragnie, mieszkania pod strzechą starego dworu. To też zasługiwanie się

jego Bijakowskiemu, posłuszeństwo i niemiłosier-
na pilność przechodziły wszelkie granice.

— Ten pan inżynier wie dobrze — myślał stary szlachcic, — co wart jest pan Cedzyna. Wie, że to nie dorobkiewicz, goniący za zyskiem; wie, że taki Cedzyna, zdechnie z głodu, a nie ruszy tego, co należy do dziedzica; że wypruje ze siebie żyły dla tego, komu służy, bo to jest człowiek, posiadający nieznanym dzisiaj ludziom przymiot, śmieszny, małeńki przymiot sztaroszlachecki — honor.

Nie spełniły się nadzieje pana Dominika.

Zjawili się »indywidualiści« i zaproponowali inżynierowi rozparcelowanie folwarku. Po głębokim namyśle, po spłaceniu długów — Bijakowski rozsprzedał ugory, pozostawiając sobie zabudowania, skalistą górę i mały skraweczek ornego gruntu poza ogrodem.

Do niepoznania zmieniała się postać tego kawałka ziemi. Kudłaci indywidualiści zwlekli się wkrótce na pola folwarku wraz z żonami, dziećmi, sprzężajem i dobytkiem. Chude szkapy osadników ciągnęły z lasu belki i gonty, koła wozów żłobiły nowe drogi wzdłuż dzikich miedz; wybierano studnie, grodzono płoty i na gwałt wznoszono domostwa. Po całych dniach słychać było łoskot siekier. Kwaśne pastwiska, porośnięte nędzną, kędzierzawą trawką, które, historycznie rzecz biorąc, od czasów kołodzieja Piasta aż do dublańczyka Polichnowicza, służyły tylko

za miejsce igrzysk i spacerów dla bystronogich zajęcy, pustki podleśne i obumarłe ugory nabrały teraz tak wielkiej wartości, że się stały częścią składową wielu istnień ludzkich. Liczne oczy wpatrywały się w te kawałki ziemi z niepokojem i serca osnuwały na nich nadzieje.

Gdy nadeszła wiosna, wyszły na ugory pługi i odwróciły skiby, przerośnięte murawą...

Gdy nadeszła wiosna, u podnóża góry, noszącej w mowie gminu nazwę »świńskiej krzywdy,« buchały wielkie kłęby dymu. Przyparty do zbocza góry olbrzymi cylinder szachtowego wapiennika wyrzucał w mokre mgły snopy iskier. Długa, nad przepaścią zawieszona ława łączyła okopcony szczyt komina z podnóżem białych turniczek. O kilkaset kroków dalej, bliżej dworu, wznosił się wysmukły, czerwony komin cegielni.

Smugi dymu, płynące po przestworzu niebieskiem, wywabily z dalekich wiosek, w lasach ukrytych, gromadę bezspodniowców z zapadniętymi brzuchami i wydłużonym przewodem pokarmowym wskutek bezwstydnego przeładowywania go samemi kartoflami. Przyszli i stanęli przed obliczem twórcy cywilizacji. Inżynier wejrział okiem mędrca na ich wywiędłe kadłuby, na brudem obrosłe ich dzieci, na znikome resztki spódnic ich żon, córek, kochanek — i miłosiernie wyznaczył im miejsce w postępie ludzkości.



Ze zrzynów od belek pobudowano lokale mieszkalne w miejscach, przez inżyniera wskazanych i poumieszczano tam przybyłych. Zwierzchnictwo nad całą produkcją objął pan Dominik Cedzyna, osadzony w dwu mieszkalnych izbach dworu. Inżynier opuścił dziedzictwo i udał się tam, dokąd powoływały go nieuniknione warunki ekonomiczne. Przed wyjazdem nauczył starego szlachcica, jak się ma zapatrywać na sprawy społeczne, gdzie zakładać kopalnie gliny, jak zsypywać do pieca bryły kamienia i formować z nich sklepienie, jak poznawać po mocnem świetle wapna, że kwas węglany wypędzony z tych brył został, jak unikać tworzenia się *wilków*, jak normować płomień, wchodzące do pieca z oddzielnych ognisk — i t. d.

I popłynęły jednostajne, równe i bardzo długie dni rzetelnej pracy. Nadzorca wstawał o świcie, budził i prowadził do roboty czeladkę, a późna noc przypędzała go dopiero do starej rudery.

Odwieczne kamienie jęczały pod młotami, waliły się całe urwiska, niestrudżonemi uderzeniami podkopywane, zlatywały ze szczytów i kruszyły się na drobne cząstki ogromne bryły, podważone wysiłkiem ramion. Głębokie miejsca wszczępienia i oparcia żelaznych drągów, żłoby i garby, wykute dziobem ciężkiego kilofa, pozostały na zawsze, świadcząc, ile tam człowiek włożył siły mięśniowej. Za pomocą dwu dźwigni — drağa i oskarda — zepchnięto z posad

całe skały, zdruzgotano kolosalne formacje. Braki narzędzia zastąpił prostacki »sposób« na przyrodę, wymysł nie mózgu, ale raczej mięśni. Codziennie o świcie zaczynało się to spotkanie siepaczy z kamiennymi masami, które, nim uległy zuchwałej napaści człowieka, mściły się na nim, czyhały na każdą chwilę jego nieuwagi, na każdy moment omdlenia. Nawisłe złomy, gdy rozpętano nieopatrznie ich utajoną energię, zlatywały niespodziewanie, jak uderzenie piorunu, zabijając i kalecząc; każdy głąz, zanim wtrącony został w czeluść pieca, do ostatka ranił, gniótł, karał ciężarem, twardością, ostrą powierzchnią, parzył ogniem i dusił dymem, jak wróg śmiertelny, wyżerając życie.

Bezkształtne obnażenia warstw głębokich i ułamane wierzchołki stoją na tem pobojuwisku, jak płyty grobowe i jak sarkofagi. Szarugi jesienne i wichry zimowe wyżłabiają na ich powierzchniach tajemnicze znaki — może imiona »rycerzy kultury,« co tam polegli w boju z przyrodą.

* * *

Pan Dominik zasnął dopiero nad ranem. Nie był to posilny odpoczynek, lecz starcze półczuwanie. Zjadliwa, błędna boleść nie usunęła się, nie ukoїła, lecz jak topór kata, ciężka i nieujęta, wisiała w postaci snu nad znękaną jego duszą. Śniło mu się, że stoi na rozmięklej grobli, u brzegu

zamarzniętego stawu. Lód na nim był siny, kruchy i nasiąkły wodą. Nagle zobaczył idącą ku niemu z przeciwnego końca stawu postać omgłoną. Widmo szło, lekko się kołysząc, zgrabne zataczało koła, ledwo- ledwo dotykając stopami gładkiej powierzchni. I oto — w mgnieniu oka — zobaczył tuż przy brzegu, prawie u stóp swoich, falę, zwijającą się ogromnym kłębem, lód popękany na drobną krę, a na wodzie rozmoczone, jasne jak len włosy. Cudne kędziory młodzieńcze to rozbiegały się na wodzie, tworząc jakoby koronę, to lgnęły kosmykami do czoła, do jasnego czoła Piotrusia. Starzec usiłuje krzyżeć, ale gardło ma ściśnięte i zatkane, jakby skrzepami zsiadłej krwi; chce rzucić się w wodę, lecz, nie wiedzieć czemu, nie może jej dosięgnąć. Zanurza wreszcie ręce po łokcie i czuje zimno, ścinające, okropne, śmiertelne zimno w żyłach, w piersiach, i w sercu. Gdyby mógł wydać jęk, jeden tylko jęk, jeden okrzyk... gdyby chociaż mógł westchnąć...

Brzask zimowego świtu ubielił zamarznięte szyby. Dał się słyszeć łoskot drzwi roztwieranych w czworakach, odgłos skrzypiącego stąpania po zamarzniętym śniegu i rozmów ludzkich. Pan Cedzyna się ocknął i ciężkim wzrokiem powiódł po swej izbie. Małeńka miara pociechy spłynęła do jego duszy, gdy się uświadomił, że to, co widział przed chwilą, było snem tylko. Niestety! to, co czuł przed chwilą, ciągle trwa-

ło... Przesenne zgryzoty rzuciły się nań znowu i, jak mściwe, rozzłoszczone pszczoły, ciąć poczęły jego serce. Obejmowała go złowieszcza niechęć do tej izby, do nadchodzącego dnia, może do siebie wreszcie.

Napół rozebrany, usiadł na łożku i tępym, bezsilnym wzrokiem patrzył w kąt pokoju. Niedosłyszalnie dla samego siebie, zaledwie ruchem warg — wymówił:

— Żeby to już raz, do cholery... umrzeć...

Rozległo się stukanie w szybę, jakim jeden z robotników, pełniący obowiązki stróża, dawał znać nadzorczy, że idzie z naręczem drew palić w piecu. Pan Dominik nie poruszył się. Dziki wstręt i bezmyślna nienawiść zaciskały jego pięście. Wszystka jego inteligencya osiadła na jednej trzeźwej myśli:

— Żeby to już raz...

Stukanie w szybę powtórzyło się i nieznanym głosem zawołał:

— Czy pan Dominik Cedzyna jest w domu?

Stary zerwał się na równe nogi. Wszystko jedno, kto to stuka — byleby ktoś obcy, jakiś człowiek nieznanym, byleby nie ten parobek w cuchnącym kożuchu.

— Panie Cedzyna! — zawołał z za okna.

Wszystka krew spłynęła nagle do serca starowiny. Pośpiesznie wciągnął długie buty, zarzucił na ramiona lisiurę, i pobiegłszy na palcach do okna, zaczął chuchać na szybę i wycie-

rać w szronie okrągły otwór. Naraz przerwał tę czynność i raptownie odwrócił się do ściany. Zgiął się w pałąk, oczy mu zaszyły bielmem, twarz skurczyła się boleśnie, ręce zacisnęły spazmatycznie — i mówił, nie wiedząc do kogo, cichym, równym głosem:

— Jeżeli tam, za oknem, jest Piotruś, to ja oddam... ty wiesz, że ja nie skłamię... ja ci oddam... Raz jeszcze mocno, mocno ścisnął sobie ręce i spokojnie poszedł ku drzwiom. Odrzucił haczyk i wyszedł do sieni, szeroko otworzył drzwi na ganek i stanął w progu. Na ścieżce stał młody człowiek w krótkim paltocie, z walizką podrózną w ręku. W niebieskim mroku przedświtury stary nie mógł rozpoznać rysów jego twarzy, ale tamten posunął się o krok naprzód i wymówił cicho, z niewypowiedzianą słodyczą:

— To ojciec.

Stary Cedzyna, głucho szlochając, wyciągnął ramiona i ogarnął przychodnia długą, czułą i nienasyconą pieśczętą ojcowską.

Potem zaczął go forsownie ciągnąć do pokoju, bełkocząc pojedyncze sylaby wyrazów urwanych i połkniętych razem ze łzami. Wydarł mu z rąk walizkę, rozpiął palto, wystawił ze szafy na stół wszystkie butelki z octem, z naftą, z terpentyną i gorzałką, szukał kieliszka w stosie rzemieni i żelaztwa, leżącym w kącie izby, i ciągle dygocącymi ustami mruczał:

— Pisał... do Anglii... do miasta...

Doktor Piotr wodził za starcem zażawionemi oczyma i nie mógł przyjść do słowa. Nareszcie pan Dominik oprzytomniał.

— Zziąbleś... co? — zapytał, nakrywając oczy dłonią, jakby patrzył pod słońce.

— Nie...

— Ale! gadanie! Zaraz ja w piecu napalę.

Skoczył ku zapieckowi i począł wyrzucać suche drwa na środek pokoju. Zaczerwieniony i zziąjany kładł je później do pieca.

— Niech ojciec da pokój — przerwał mu młody doktor, — tu ciepło. Jabym się, szczerze mówiąc, przespał trochę.

— Święta prawda! Niespodziewany cymbał ze mnie starego. Malec jechał tyli świat. Chodź, przyniesiemy sofę... mam jeszcze naszą zieloną sofę... wiesz... zieloną...

Weszli do sąsiedniej, zimnej izby, zawałonej przeróżnemi statkami i rupieciami, i przydźwigali do pierwszej starożytną, familijną sofę z wierzchem ruchomym.

Pan Dominik rozpostarł na niej swoją pościel i ułożył syna do snu. Sam, zabawnie wykręcając nogi, aby stapać na palcach, wyniósł się z mieszkania. Zaledwie doktor Piotr przyłożył głowę do poduszki, zapadł w senne marzenie, jakie jest skutkiem zmęczenia się długotrwałą jazdą w wagonie. Powieki mu się kleiły, ale nie dawał mu zasnąć mocno, jakby nieustający trzask dzwonków elektrycznych, utajony w ner-

wach. Na niezliczonej ilości stacyi kolejowych dzwoneczki te biły za szybami wagonu głosem cichym, przeszywającym, natarczywym i okrutnym, aż zaczęły dzwonić w uchu bez przerwy. Zdawało mu się, że wciąż trwa jeszcze ostatnia, a trzecia z rzędu noc, spędzona w wagonie. Drzemie nie pod strzechą ojcowską, lecz w wązkim przedziale, z głową opartą o drżącą drewnianą ścianę. Słyszy jeszcze łoskot kół, bijących w końce szyn, skróconych od mrozu, gdy pociąg gnał na północ od Oderberga — i to ponure dudnienie skostniałej ziemi, co głucho stęka pod szynami: — to ja, to ja, to ja... Widzi do tej chwili pod przymkniętymi powiekami nagi, rozłożysty, nieobeszły krajobraz, jak go zobaczył wtedy, przycisnąwszy twarz do szyby, — tę pustynię, przywaloną zaspami. Daleko, w wielkiem świetle księżyca, słabo czernieją chłopskie chałupy. Długim szeregiem stoją na widnokreśgu — het — het... W piersi wędrowca bije nie jego własne męskie serce, co już złudzeń przeboleło tyle, ale serce dziecka, dostępne dla dawno minionych trwóg i boleści. Jak kolka tarniny, przebija je dziecięcy żal, czy wielka skrucha, i wylękłe usta szepczą:

— Panie, nie jestem godzien...

Pan Dominik powrócił na paluszkach, niosąc wiązkę suchych szczap, i począł palić w piecu. Doktor, jak przez mgłę, widział jego zgarbione plecy i siwą, krótko przystrzyżoną czuprynę.

Chwilami wydawało mu się, że ta droga głowa usuwa się i niknie, pozostawiając po sobie tylko duży cień, przełamany na ścianie i suficie. Morzył go przerywający się, płochliwy sen... Kiedy się napół przebudził, przed piecem siedział, jak poprzednio, starzec, twarzą zwrócony do ognia. W pobliżu drzwiczek tliła się już zaledwie kupka węgla. Wiotka, jasno-fioletowa perzyna powlekała ją zwolna, a po niej migały raz za razem różowe, pęczające iskierki. Pan Dominik przypatrywał się iskrom i ruszał wąsami, jakby tym błędnym światelkom opowiadał tajemnicze historye. Co pewien czas wyciągał rękę i odgarniał kożuch śmietanki w garnuszku, przystawionym do węgla.

U wezłowania doktorowego posłania stał stary zegar. Wahadło kołysało się nad samą jego głową. Kiedy pomykało na lewo, w cień, na upstrzonej przez muchy jego powierzchni błyskał klinik światła. Wydawało się, że stary perpendykuł rozdziawia usta i pęka z radosnego śmiechu. Wewnątrz pudła, przysypanego wieloletnim kurzem, stuka nieustający chrzęst trybów, niby bicie serca zestarzałego gruchota. Melodya jego szeptu unosi się nad rozmarzoną głową śpiącego jak śpiew znajomy, rozkochany, tęskny i niewysłowienie słodki.

— Ty nie wiesz — śpiewa, — ty nie wiesz, dziecko, co to jest tęsknota... Spójrz tylko raz, spójrz tylko, śpiochu, dźwignij powiekę.

Widzisz tę łzę, co wytoczywszy się z oka starszego pana Cedzyny, jak łódź na końcu katarpulty, zawisła na końcu najdłuższego włosa w jego lewym wąsie? Co to za ciężar, co to za ogromna łza, jaka monstrualnie wielka łza! Pac! — zleciała z łoskotem na przyszwę lewego buta. Co to? co to? — Wysuwa się druga, jeszcze ogromniejsza, jeszcze cięższa... Kap! — już wiśi na wąsie. Starowina boi się bardzo, aby nie upadła na pogrzebacz i głośnym upadkiem snu twojego nie spłoszyła. Patrz, jak ją paradnie, jak śmiesznie i niezgrabnie zdejmuje z wąsa dwoma palcami... Te łzy — gada stary zegar — były cieńszymi niż nitka pajęczna włókienkami w sercu, w tem miejscu, gdzie jest nigdy nieschnąca ranka tęsknoty. Było ich mnóstwo, a każda miała brzeżki ostre, jak żądło komara. Siedziały jedna obok drugiej komunikiem i nosiły szumny tytuł lasecznika tęsknoty. Niejednemu te figlarne istoty wyssały duszę, niejednemu odgryzały rozum... tak, tak, czcigodny organizmie... A ty, moczaru, zadałeś im truciznę jednym jedynym synowskim uściskiem.

Każda skonowała i rozplynęła się w wielką łzę szczęścia. Ach, tylko pomyśl... gdyby choć jedna z tych łez upadła na twoją duszę!.. Ach, tylko pomyśl — wszak ona straciłaby cię z oblicza ziemi, — ach, tylko pomyśl...

W pochodzie kółek i walców gadatliwego klekota nastąpił raptem jakiś kataklizm, jakby

stary zegar przyciął sobie język własnymi zębami. Rozległ się tępy szczęk, zamieszanie, łoskot — i powoli, z majestatem niedołąźnie nadsładującym głos kukulki, wybiła dziesiąta. Młody człowiek oczami nawpół rozwartymi wpatrywał się w okno, odtajale w promieniach wesołego słońca. Widział skrawek równiny, iskrzącej się od kryształów śniegu, smugę oddalonego lasu i kawałek przezystego, bladego nieba. Ogarnęła go jakaś boska fantazyja. Czuł wyraźnie, że ta chwila, co przemija, ten ułamek czasu, co trwa między jednym a drugim poruszeniem wahadła — to najwyższy i najszczytniejszy, kulminacyjny moment, że to jedyny na całe życie zenit młodości! Cóż mogło być przedtem i co może być potem? Jakież uczucie można przyrównać do tego ostrego widzenia całej drogi życia, do tej twardej pewności: — to, co w tej chwili postanowię, będzie nietylko mądre i godziwe, ale i dobre?..

— Nie, nie pojedę do żadnej Anglii — myślał pan Piotr. — Nie nas brać na kawał! Odeślę belfrowi trzysta franków... przecie zarobię, choćbym miał gnój wyrzucać...

* * *

Po upływie kilku dni i nocy siarczyście mroźnych nastala odwilż. Znikła cudna przejrzystość przestrzeni; opadły delikatne pyłki mrozu, kołysząc się nad twardemi jak kamień pokładami

śniegu; zginał szron, różowy w promieniach słońca, co stroił suche szkielety topól, cienkie pręty porzeczek i obumarłe badyle, wystające z pod śniegu. Od rana kapąły z dachów wielkie, brudne krople; w powietrzu zawisły bałwany szaro-żółtej pary, przytłaczając sobą dym, tułający się po dachach. Na krańcach widnokregu uwały się mgły nieprzejrzone na podobieństwo niezmiernych ciężarów, co zdołały wgnieść w ziemię i wzgórza i lasy i wsie odległe.

O godzinie pierwszej z południa pan Dominik powracał z powiatowego miasteczka wynajętą furmanką.

Chude chłopskie szkapięta brnęły w roztajającym śniegu; bosc sanice docierały do gruntu i sunęły po grudzie, jak po magłownicy, albo zataczały się w wyboje i zatoki. Stary jegomość otulał się zrudziałymi szopami, nasuwał kaszkiet na oczy, i ćmiąc niekosztowne cygare, »myślał sobie.« Jeździł niegdyś czwórka walachów i wspinałymi saniami, z furmanem w złotawej liberyi, otulał się niegdyś kiereją, srogimi niedźwiedziami podbitą... Boże drogi!—ziemia drżała, janczary słyhać było o pół mili, konie parskwały, chłopcy i żydy stały bez czapek... Phi... czy tam teraz jest gorzej — któż to wie? Nigdy przecie jazda saniami przez puste pola nie sprawiała mu takiej przyjemności, jak dziś, kiedy jedzie chłopskim wasągiem... W domu czeka pan doktor Piotr Cedzyna! Cha, cha!... Nuże szkapę! bierz.

cie się w kupę! Jeszcze tylko jeden lasek, tylko mały wąwozik pod Zapłociem...

— Ciekawa historia — myśli pan Dominik — czy Piotrek zrobił i przepisał rachunki? Myślał huncwot, że mu dam łązić całymi dniami po chałupach (pewno dziewczuchy niemieckiego uczy...) i bąki zbijać. Aha... posiedź - no waćpan, mości chemiku, nad prowentowym kałkułem, pododawaj cyferki, napisz ładnym charakterem wykazy dla pana inżyniera, wyręcz starego ojca. Za darmo ci będę zwoził tytuń i tracił fortunę na sardynki?

Konie wbiegły na podwórze i zatrzymały się przed gankiem dworu. Pan Cedzyna wylazł ze sanek i wszedł do sieni, z hałasem otrzepując buty ze śniegu. We drzwiach pokoju stał doktor Piotr.

— Co to? ciebie, widzę, głowa boli! — zakrzyknął pan Dominik.

— Ale gdzież tam! — odpowiedział syn z przymusem.

— A cóżeś taki blady i skrzywiony?

Młody człowiek miał w rzeczy samej minę nie wesołą.

Spojrzenie oczu jego dziwnie wyziębło i przyćmiło się smutkiem. Chodził z kąta w kąt, nerwowo paląc papierosa.

— Każę ja Jagnie podać barszcz, to ty mi zaraz nabierzesz rezonu. Bez barszczu, mówię ci, człowiek zawsze kiepsko się czuje.

— Ja nie będę mógł jeść, a zresztą... mało mam czasu.

— Mało masz czasu?

— Tak — powiedział doktor Piotr szorstko; — ja... widzi ojciec... ja muszę jechać. Trudna rada... muszę jechać dla objęcia tego miejsca w Hull.

Pan Dominik nic nie rzekł. Nie zdejmując futra, ani czapki, usiadł na stoliku i zwiesił głowę. Nie zważał na to, co syn robi — nic nie widział. Czuł tylko, że mu duszno, ciasno we własnych piersiach. Radby był wyjść na świeże powietrze, ochłonąć i zebrać myśli, ale nie mógł jakoś dźwignąć się z miejsca. Młody człowiek porządkował papiery i książki rachunkowe, rozrzucone na stole. Wziął w rękę niewielki, stary, zatłuszczony notes, obwiązany brudną tasiemką, i przewracał w nim kartkę za kartką.

— Proszę ojca — rzekł z żalem i smutkiem w głosie, — w tym notesie wyczytałem, że cięży na mnie dług, który muszę zapłacić bez zwłoki.

— Daj ty mi spokój, daj mi spokój! — odpowiedział stary Cedzyna, opierając głowę na ręce.

— Zanim wyjadę, muszę ojcu wytłómaczyć, dlaczego powziąłem decyzję wyjazdu.

— Co ty wytłómaczysz, głuptasie, co? — porwał się starzec. — Jedź, jeśli taka twoja wola. Tylko mi już, przez litość, nie każ podziwiać twojej mądrości!

— Chcę pomówić szczerze i otwarcie o interesie doniosłego dla mnie znaczenia. Przed czterema laty przysłał mi tatko ratami dwieście rubli. W roku następnym dwieście rubli. Potem dwieście pięćdziesiąt rubli, i zeszłego roku znowu dwieście. Razem ośmset pięćdziesiąt. Pensya, jaką ojciec pobiera, wynosi trzysta rubli na rok. Skądże?..

— Synku kochany... nie chcesz mnie aby robić złodziejem. Jeżeli uważnie przejrzałeś rachunki, to musiałeś dostrzedz, że nie przywłaszczyłem sobie ani kopiejki Bijakowskiego. Wszystko jest w wykazach. Że nie sprzedawałem potajemnie ani wapna, ani cegły, możesz także przekonać się z rachunków. Daję ci zresztą słowo honoru... nie mam na sumieniu ani jednej kopiejki Bijakowskiego! Tak mi Boże dopomóż!

— Tak, to zupełna prawda.

— Skoro występujesz w roli oskarżyciela, to powinienes znać się trochę na interesach. Cały sekret polega na tem, że Bijakowski dał mi upoważnienie do pobierania oryginalnej wprawdzie tantyemy. Od sprzedaży nigdy mi jej przyznać nie chciał, a natarczywe moje żądania, zbywał zawsze jedną śpiewką: »Produkuj pan taniej... a co na tem osiągniesz, to twoje.« Obiecał ludziom początkowo po trzydzieści kopiejek. Ja im dałem później po dwadzieścia, no i, rozumie się, przystali, bo nigdzie więcej nie zarobią, a tu

mają zarobek pewny. Tym sposobem uzbierało się trochę grosza dla ciebie.

— Tak, to właśnie dostrzegłem w rachunkach...

— I to jest cały sekret, oskarżycielu! Złodziejem nie byłem, i da Bóg, nie będę!

— I ja nim być nie chcę, mój ojczy. To też ośmset pięćdziesiąt rubli muszę zwrócić...

— Komu masz zwracać? Ja tych pieniędzy nie przyjmę... wiedz o tem... nie przyjmę! Nie mogłem ci dawać na utrzymanie i edukację więcej, Bóg widzi... ale co mogłem... Staralem się choć trochę wywiązać z powinności ojcowskiej.

— To nie ojciec dawał mi na edukację i nie ojcu mam zwrócić ten dług gorzki i straszny...

Dominik Cedzyna wysoko podniósł brwi i ze zdumieniem patrzył na syna.

-- Ty chyba masz bzika, mój Piotrusiu. Cóż ty pleciesz?

Doktor Piotr usiadł przy stoliku, przysunął arkusz czystego papieru i zaczął mówić powoli:

— Wartość każdego towaru po ukończeniu produkcyi, składa się z kapitału stałego (oznaczmy go literą *c*), z kapitału zmiennego, czyli płacy najemników (dajmy na to *v*), i z tak zwanej wartości dodatkowej, czyli zysku, co oznaczam literą *p*. Stosunek wartości dodatkowej do kapitału zmiennego, czyli zysku do płacy najemnika, $p : v$, pokazuje stopę wartości dodatkowej

czyli normę wyzysku. Obliczmy, proszę ojca, skrupulatnie przychód i rozchód...

Nad wieczorem dopiero skończył się zajadły spór między ojcem i synem. Obadwaj zamilkli pod wpływem tej zaciętości, co zdaje się zamykać serce tak szczelnie, jak się zamyka wieko trumny nad drogiemi zwłokami.

Stary obojętnie i z pogardą patrzył na krzątanie się doktora Piotra dokoła walizki. Od czasu do czasu szyderczy uśmiech przemykał po jego wargach i oczy błyskały gniewem. Po długim milczeniu wyniośle i obojętnie rzekł:

— Czy tutaj nie mógłbyś stanowczo zarobić, aby uczynić zadość głupim sentymentom?

— Nie mógłbym, proszę ojca, tak prędko, jak tego pragnę. Tam mam miejsce i płacę stosunkową nie złą.

— Moznaby i tu znaleźć posadę. Bijakowski...

— Ja nigdy i nic wspólnego mieć nie będę z panami Bijakowskimi. Nikt mię nigdy nie protegował, oprócz moich wiadomości i pracy.

— Pisałeś mi, że cię protegował jakiś profesor — rzekł stary oschle. — Jesteś w niezgodzie z samym sobą, znakomity filozofie.

— Nie. Profesor podał moje nazwisko, ponieważ, stosownie do żądania, miał wskazać czyjekolwiek nazwisko. Wskazał moje, bo uważał to za słuszne ze względu na moją porządną pracę i usposobienie do samodzielnych doświadczeń.

— Rzeczywiście, racya fizyka! Bijakowski również uważałby za słuszne ze względu... i tak dalej...

— Nikt dobrowolnie nie zaraża się parchami... To też i mnie dobrze, pókim czysty...

Stary roześmiał się. Znowu nastąpiło milczenie aż do chwili, kiedy młody człowiek zdjął palto z kołka i począł leniwie naciągać je na ramiona.

— Czyż ty naprawdę?.. — zapytał pan Dominik.

— Tak, ojczec.

— Oby cię Bóg nie skarał ciężko, moje dziecko!

— Pierwszą ratę mam nadzieję przysłać w maju. W tym notesie wyliczyłem należność każdego za cztery lata. Niechże ojciec raczy sumiennie...

— Precz, durniu! — krzyknął grubiańsko pan Dominik w przystępie wściekłego gniewu.

Ręce mu się trzęsły, w oczach migotał zły ogień.

Doktor Piotr, blady jak papier, zbliżył się do niego ze łzami w oczach i schylił mu się do nóg. Starzec odepchnął go, usunął się w kąt pokoju i odwrócił plecami. Słyszał, jak drzwi z cicha skrzypnęły i zawarły się za wychodzącym, słyszał suchy szczęk klamki, ale nie odwrócił głowy. Zapadał powoli w stan gnuśnego

spokoju, obojętności tak zupełnej, że graniczyła prawie z zadowoleniem.

— Dobrze, że powiedziałem »durniu«! — pomyślał — to mu pójdzie w pięty...

Po upływie kilkunastu minut wyrzwał przez okno. Na podwórzu nie było nikogo. Pod zachód słońca widać było przedmioty wyraźnie. Na każdej szybie rysowały się i rosły w oczach, idąc z dołu do góry, fantastyczne gałązki mrozu. Starzec przypatrywał im się z zajęciem i myślał o czymś dawnym, ogromnie dawnym. Doznawał przez chwilę uczuć małego chłopca, który w pięknym dworze siedzi obok matki, pięknej, dobrej, kochanej matki, i patrzył na gałązeczki przymrozka... Nudzi mu się, płakałby i kaprysił, gdyby nie to, że pełzające odnóżki, pręty i zębate liście tak go zaciekawiają, tak bawią...

Z zadumy obudził go dopiero daleki świst lokomotywy. Ten dźwięk sprawił mu taki ból, jak uderzenie młotkiem w czaszkę. Wziął czapkę i wyszedł z pokoju.

Ku stacyi kolejowej zwolna zbliżał się pociąg, kopiąc się i nurzając w zaspach, jakby je żelaznym kadłubem roztrącał i przewiercał. Pan Dominik począł iść ku dworcowi wielkimi krokami. Zmrok padał żywo, i w miarę zwiększania się ciemności coraz wyraźniej błyskały latarnie na linii drogi żelaznej, niby duchy dobroczynne, dające znać o wielkiem niebezpieczeń-

stwie. Gdy pan Cedzyna był na połowie drogi, ujrzał z daleka sylwetkę człowieka, idącego od stacyi. Odetchnął głęboko, w nadziei, że doktor Piotr wraca. Wkrótce zrównał się z tym człowiekiem: był to strycharz z cegielni, młody i wesoły parobczak.

— Ty gdzieś chodził? — zapytał go rządcą ponuro.

— Na stacyę.

— Po co?

— Zaniósłem zawiniątko za młodym panem...

— Za jakim młodym panem?

— Ady za panem Pietrem.

— Pojechał? — zapytał starzec obojętnie.

— Pojechał, proszę łaski pana.

— Widziałeś?

— A no i nie widziałbym. Jeszczem mu to-
ból zaniósł do maszyny.

— Mówił co do ciebie?

— E... mówić to ta nie mówił dużo.

— Wracaj do domu!

Chłopak oddalił się szybko brzegiem drogi. Potem przeskoczył przez rów i poszedł ku górze na przełaj przez pole.

Pan Dominik patrzył za nim ciągle, wtedy nawet, kiedy tamten skrył się w ciężkim cieniu góry. Twarz starca stuliła się i zmaląła, nos się wygiął i wyciągnął ku brodzie, oczy nakryły dolnemi powiekami. Stał na miejscu i sięgał co chwila ręką, jakby z zamiarem przywołania

strycharza. Następnie poszedł wolno, nie mając żadnego już zamiaru, ani wiadomości o kierunku, w jakim postępuje. Schylał się ku ziemi i przy świetle ostatniego brzasku zorzy wieczornej rozpoznawał głębokie ślady stóp syna, wyciśnięte w miękkim śniegu, które teraz mróz miłosierny utrwał dla niego na tej okrutnej drodze. Nad każdym z tych śladów zatrzymywał się, macał go łaską... Nad każdym z piersi jego wydzierał się cichy, nieprzerwany jęk, podobny do żalnego skomlenia wiatru nad mogiłami cmentarza.



„Cokolwiek się zdarzy — niech uderza we mnie...“

Sofokles. »Edyp-król.«

Na łóżku, oznaczonem liczbą 24, w najbardziej ciemnym kącie sali, leżał od kilku miesięcy trzydziestoletni może parobek folwarczny. Nad wezgłowiem łóżka kołatała za każdym poruszeniem się chorego czarna, drewniana tablica z napisem: *caries tuberculosa*... Amputowano biedakowi nogę powyżej kolana, wskutek suchotniczego gnicia kości. Chłop był bezrolny, kartoflarz i z kartoflarzów pochodził. Miał we dworze służbę, ożenił się był przed trzema laty, chłopaka o konopiastej czuprynie się dochował, — aż oto, ni z tego, ni z owego, zaboląła go noga w kolanie i pootwierały się ranki. Dał dobry człowiek furmankę do miasta i odstawiono chudziaka na koszt gminy do szpitala.

Tamto jeszcze pamiętał dobrze, jak jedzie w odwieczerze jesienne z kobiecina swoją w pa-

radnym wasągu z półkoszkami, jak se popłakują oboje ze strachu i żalości — i co se zapłaczą, to przegryzą jajkiem, ugotowanem na twardo — a potem to już tylko jakaś niezmierna szarzyzna, niby mgła, nie mgła...

Dnie szpitalne bez różnicy, bez odmiany, znikły mu z pamięci, tworząc jakby niezgłębioną wyrwę w życiu — tylko smutek nieodmienny przez ciąg tyłu miesięcy przygniatał mu duszę z taką nieubłaganą i brutalną siłą, z jaką płyta kamienna przygniata mogiłę. Przez tę mgłę pamięta półjasno dziwne dziwy, jakie z nim wyrabiano: kąpanie, głodzenie, zapuszczanie w rany drucików aż do kości — potem operację, jak niosą go na salę, między panów, ubranych w fartuchy, krwią zbroczone — i to dziwne, nieustraszone męstwo pamięta, jakie go podparło tej godziny, niby ręka miłosierdzia.

Przed operacją, patrząc na szereg zjawisk, budzących wstręt — snuł i on z głębi prostej swej duszy nic rozmyślań, jakie snuć uczyta największa na ziemi mistrzyni — wspólna sala w szpitalu. Po operacji wszystko zasłoniło znużenie śmiertelne i niechęć. Zimno mu było ciągle, a około południa i nad wieczorem zaczynało w czaszce coś ciążyć, niby kula kamienna, i szły od kuli do nóg strumienie mrozu. Od palców znowu zdrowej nogi ciągnęły ku czaszce fale rozmarzającego ciepła. Myśli, jak kropelki żywego srebra, chyżo zlatywały w jakiś kącik

mózgu, i podczas gdy leżał skurczony w kałuży potu, podczas gdy powieki opadały same — nie na sen, lecz na bezwładność, — napastowały go dziwaczne, półsenne widziadła.

Oto zniknęło wszystko i zostawała tylko szara, nieujęta, przesycona zapachem chloroformu przestrzeń, napół rozświetlona przez znikome i rozproszone światło, podobna do wnętrza niezmiernego ostrokąga, jaki się tuż zaczyna i jak lej bez miary leży na ziemi. Tam, w niesłychanej oddali, gdzie się zwięża wierzchołek, istnieje biała plamka świetlista: tamtędy się wychodzi... Idzie do tej szczelinki dniem i nocą po nieskończonej linii spiralnej, obiegającej wewnętrzną powierzchnię leja, idzie przez mus, przez wysiłek, jak ślimak, choć się zrywa w nim coś, jak kwiczoł, zaczepiony nogą w sidle, choć trzepocą w nim niby skrzydła ptasie. I nie może podlecieć wyżej, jak na długość sidła i ciągle spada a spada... Wie, co z onej szczelinki widać. Tylko nogą stąpać — miedza idzie na niwce pod lasem, gdzie były jego własne cztery zagony kartofli. I śni mu się, podczas gdy się wrywa mechanicznie ze swej próżni — czas kopania. Cicho tam pod lasem, jest jesienna przejrzystość przestrzeni, co zbliża z odległości przedmioty i daje je widzieć wyraźnie. We dwoje z kobieciną kopią piękne, jak kocie łby, ziemniaki. Na wzgóreczku, na ścierni, pastusi zebrali się w gromadkę, workami się pookręcali, poskurczali bosc

nogi, jałowcu suchego nanieśli, zapalili ognisko i wygrzebują patykami z popiołu pieczone kartofle. Dym w powietrzu pachnie, jałowcowy, wonny...

Gdy bywał zdrowszy, trzeźwiejszy, gdy go nie tak dokuczliwie męczyła gorączka, wpadał w bojaźń, w trwogę przeraźliwą zdruzgotanych i zamęczonych. Jestestwo chłopca skupiało się pod jej uciskiem w wielkość tak małą, jak ziarnko szaleju, i zlatywało, gnane przez nagłe przesady, przez jakieś dźwięki przeraźliwe, roztrącając się o gzemisy próżni bezdennej.

Nareszcie zaczęła się goić rana na nodze i gorączka ustąpiła. Dusza biedaka powróciła jakby z tamtego świata do pierwotnego jej stanu, do rozmyślań nad tem, co przesuwawało się przed jego oczyma. Lecz jakże się zmienił rdzeń tych rozmyślań! Dawniej była to litość, wystająca ze wstrętu, — teraz była to nienawiść skaleczonego zwierzęcia, gwałtowne pragnienie odwetu, wściekłość, obejmująca drapieżnym uściskiem zarówno tych nieszczęśliwych, którzy leżą obok, jak i tych, co go okaleczyli. Co więcej zrodziło się i trwało, nie ustając w jego sercu, niby skowyczenie, z którem w zapamiętałym pościgu biegły jego myśli, doszukując się tej mocy, co nań wyrok wydała.

Ten stan nękania samego siebie trwał długo i wzmogło się rozjątrzenie duszy.

Aż oto pewnego razu zauważył, że zdrowa noga drętwieje mu i puchnie w kostce. Gdy chirurg naczelny odbywał codzienną wizytę poranną, chłop zwierzył mu się ze swą obawą.

Lekarz badał jego wyschnięte, zwiędłe ciało, przeciął nieznacznie nabrzmienie, zobaczył, że sonda sięga do kości, strzepnął palcami i spojrzał ze smutkiem zagadkowym w oczy parobka.

— Źle, bracie, z tobą! Trzebaby drugą nogę... uważasz także... tego. A tyś kiepski. Leż sobie tu, tu ci będzie lepiej, niż w chałupie, jeść ci dadzą...

I odszedł w towarzystwie asystentów. Od drzwi powrócił jeszcze na chwilkę, nachylił się nad chorym i nieznacznie, aby nikt nie widział, przesunął pieścotliwie ręką po jego głowie.

Chłopa zamroczyło, jakby go znienacka bijakiem cepów ugodzono w ciemię. Zamknął oczy i leżał długo — aż nastąpiła w nim cisza nieznaną.

Jest w duszy ludzkiej kryjówka zaczarowana, na siedm zamków zamknięta, a nie otwiera jej nikt i nic, tylko wytrych złodziejski mściwego nieszczęścia.

Sofokles nazwał kryjówkę tę po imieniu przez usta oślepiającego się Edypa... A kryje się w niej dziwna rozkosz, słodka konieczność, największa mądrość.

Cicho leżał chłopowina ubogi na swym tapczanie i szedł po duszy jego jakby Chrystus po bałwanach wzburzonych morza, uśmierzając burzę...

Odtąd przez długie noce, przez dnie plugawe patrzył na wszystko jakby z niezmiernego oddalenia, z dobrego miejsca, gdzie jest cicho i niewymownie dobrze, skąd wszystko wydaje się małe, trochę zabawne i głupiotkie, lecz godne miłości.

— A niech-ta, niech-ta — szeptał do siebie — niech-ta Pan Jezus da ludziom... Nie bój się! i mnie ta niezgorzej przecie...



A n a n k e.

Kochałem się czasu tej wiosny w pannie Zofii tak zapalczywie, że aż omdlewałem z gorąca. Upalne dni czerwcowe były dla mnie jakimiś olbrzymimi miarami mdłego smutku, nieskończonego wyczekiwania i melancholii, rozjadającej duszę, jak kwas żrący. Mieszkałem w takim kącie gubernii S—kiej, którego, nie dość, że nie oznaczano na najbardziej szczegółowych mapach, lecz skąd nawet nie wyjeżdżało się już nigdzie, ponieważ dalej były tylko niezbadane wydmy lotnego piasku, oraz łany tataraki, tataraki i tataraki bez końca, sięgające prawdopodobnie wybrzeży morza Bałtyckiego. Trzy razy na tydzień przyjeżdżała do stołecznego miasteczka mej okolicy »bieda« pocztowa, przywożąca mi listy panny Zofii, trzy razy chodził po nie szybkonogi posłaniec — poza tem istniałem tylko jako chodzące wysychanie z tęsknoty... »Bieda« przybija do progu stacyi pocztowej po przeby-

ciu trzęsawisk czteromilowych, o godzinie jedenastej, — posłaniec stał już zawsze na progu o tej porze i »czochał się« plecami o odrzwia; nim jednak powrócił do domu i powymijał wszystkie karczmy przydrożne, była zazwyczaj druga, nieraz aż trzecia godzina po południu.

Ten właśnie czas osłabiał mię najbardziej. Chodząc od okna do okna, oddawałem się na pastwę rozmaitych ćwiczeń umysłowych: uprzytomniałem sobie i segregowałem rozmaite zadziwiające nazwy, takie jak: *Czukizanka*, *Titikacha*, *Dawalaghiri*, wyliczałem na pamięć takie właśnie *aorysty*, których nieznanomość przyprawiała swego czasu o *lufy*, mnożyłem godziny przez minuty, minuty przez sekundy, czasami nawet w sekrecie przed samym sobą posuwałem wielką wskazówkę zegara...

Właśnie podczas jednego z takich wyczekiwań na przybycie szybkonokiego, wpadłem na pomysł mniej więcej genialny: — postanowiłem dla uniknięcia zwłoki, sam jeździć na pocztę.

Jeździłem tedy konno — »cichym, rzewnym, smutnym truchtem,« marząc z przymkniętymi powiekami o słodkich wyrazach »sowiookiej,« które na chwilę złagodzą dokuczliwą newralgię duszy, pociąganej na zewnątrz ciągle i nieodparcie do zamglonych krain szczęścia.

Stawałem przed samą pocztą zazwyczaj o godzinie dziesiątej, wchodziłem do biura, kłaniałem się panu Ignacemu i czekałem. Pan Ignacy był

jedynym dygnitarzem swej kancelaryi. Był to człowiek młody jeszcze, ale niesłychanie i przedwcześnie zdezelowany. Siedział zawsze przy biurku w surduciku, przypominającym tużurki czasów kampanii węgierskiej, splamionym w jakich sześciuset miejscach, w niezwykle szerokiej, przydeptanej, a oblepionej od dołu warstwą zeschniętego błota dolnej szacie i gumowym kołnierzyku, — przekładał listy, tłukł je pieczęcią i pisał, mrugając czerwonymi powiekami.

Miękkie blado-płowe włoski nad jego czołem przeredziły się już znacznie — nie od nawalu myśli zapewne, nie na znak nawet, że się żyło, lecz tak oto — z biedy »wzięły« i wylażyły. Koniuszeczek nosa, w kształcie pięty i o kolorze rędziny proszowskiej, poczerwieniał odrobinkę nie od *szpagatówki* nawet, lecz tak oto, — może od »chlipania« w sekrecie przed wszystkimi, z łez... Uczuciowcem był pan Ignacy, egzaltował się, jak guwernantka.

Kancelaryjkę pocztową dzieliło na dwie połowy nie dosięgające sufitu przepierzenie, poza którem mieściło się prywatne mienie »naczelnika.« Z za przepierzenia dolatywał zawsze tłumiony płacz dziecięcy, trąbienie, gwizdanie, tupanie, odgłosy bójek, pisk, klapsy, — czasami nawet takie dźwięki i zapachy, wobec opisu których pióro się wzdryga. Pan Ignacy był ojcem dziewięciorga dzieci.

— Dziewięć numerów, proszę łaskawego pana, jak maku, che - che - che,.. — mawiał, przedstawiając mi już to Stasia, już Jasia, Wacia, Kazię, Manię, Józię i t. d.

Niejednokrotnie, gdy przyjechałem zbyt wcześnie i nie zastałem naczelnika, kupującego na targu masło, mleko, kartofle, kaszę i t. d., stała w wązkich drzwiczkach przepierzenia pani naczelnikowa, dygała i usiłowała bawić mię rozmową.

Dość przymknąć oczy, aby z dziwną wyrazistością przypomnieć tę ofiarę monoandryi.

Nie sędzę, aby zdejmowała lub zmieniała kiedykolwiek stanik, połyskujący od stwardniałej warstwy wylanych nań już w odległej przeszłości płynów o przeróżnym składzie chemicznym, albo połatana spódnicę. Nie miała więcej nad lat trzydzieści, musiała być niegdyś bardzo ładną, — wówczas jednak był to szkielet wyschnięty i znużony tak bardzo, że miał pozór rzeczy zmiażdżonej. Jej spiczaste ramiona, wystający obojczyk, zapadnięte piersi, posieczone ręce, twarz żółta ze smutnie, niby do płaczu zagiętymi ku dołowi, kątami ust — przypominały, nie wiedzieć czemu, źrebię w pierwszym roku wprężone do pług. Nie wiem, czy się kiedy czesała lub myła, — bo ogonek zwiniętych włosów zawsze jednakowo sterczał na ciemieniu, lecz jakże często oczy jej musiały przemywać łzy gorzkie! W oczach tych było coś, co raziło

dokuczliwie, co bolało niemal, jakaś nieustanna trwoga, coś, co jest napoły łzą, napoły osłupieniem.

Na uwieńczenie niedoli ta niezwykle urodzajna dama była znowu w położeniu, jakiego tak usilnie domagają się socyologowie i statystycy francuscy od płci pięknej ich francuskiej ojczyzny.

Myślenie pani Ignacowej nie przekraczało progu jej mieszkania: — nie umiała mówić o niczem, co nie tyczyło się bezpośrednio jej dzieci. Jaś miał ospę tej zimy. Józia przechodziła tyfus, Wacio szkarlatynę, tamten z wyłazącymi z dziur w barchanowych niezapominajkach kolanami — krup, to maleńkie chore na żołądek, zapalenie płuc, febrę, kaszel, malaryę, jakieś »ognipióry,« angielskie choroby, winka, emetyki, oleje, proszki, kataplazmy, bańki... — o, la Boga!

W wąskiej, wilgotnej i podobnej do paki izbie leżały wszędzie mniejsze lub większe sieniaki, na poobdzieranej brutalnie sofce, na zsuniętych kuferkach i krzeselkach, kołdry z wytarzaną watą, poduszki i poduszcзки, wisiały i leżały ubrania dziecięce najdziwaczniejszych fasonów, suszyła się na sznurku mokra bielizna — i panował szpitalno-familijny zapach domowego ogniska.

Wchodziłem tam czasami, siadałem na kuferku i słuchałem opowiadań pani Ignacowej, licząc po swojemu minuty i sekundy. Opowia-

dała mi, że najstarszy dziewięcioletni Staś jest bardzo dobrze przez miejscowego profesora przygotowany do egzaminu, że zda napewno do klasy pierwszej, że nawet Boruch Kwiat podjął się po wielkich targach przerobić ufarbowany już na granatowo stary surdut syberynowy na mundur, że już pewien poczciwy mieszczanin, stolarz, robi łóżko malowane na wyprawę Stasia za darmo, — tylko... stancya...

Jakże straszliwie dźwięczał w jej ustach ten wyraz, jak boleśnie mdlały te szklane tępo myślące oczy!...

Staś ów chodził między czeredą młodszego rodzeństwa w swych fantastycznie powykrzywianych butach i kurtce z wystrzępionymi łokciami, mruczał coś bez przerwy pod nosem, trzymając przed oczami jakąś gramatykę, a dla rozrywki i w sekrecie przed matką dawał temu lub owemu *byka* w ucho, lub stawał i najobojętniej dłużał w nosie.

— Staś, ucz się! Staś, ucz się! Staś, ucz się! — powtarzała machinalnie, zasłyszawszy, że mruczenie zacichło.

Jeszcze pamiętam ten głos ostry, krzykliwy, będący wyrazem biednej, znikomej nadziei...

...Zdziwiłem się bardzo, gdy wszedłszy pewnego razu do biura, nie usłyszałem za przepiezeniem żadnego głosu. Pan Ignacy siedział przy stoliku, z głową bezwładnie leżącą na rękach. Nie odrazu usłyszał moje powitanie, a gdy pod-

niósł wreszcie głowę i obejrzał się na mnie przez ramię, — poznałem, że go spotkało jakieś wielkie nieszczęście.

— Panie, co panu jest? — mówiłem pochylając się nad nim.

— A nic... — odpowiedział niedbale.

— Gdzież żona?

— A dyabli ją tam wiedzą, gdzie jest...

— Uciekła.

— Jakto uciekła?

— No, uciekła i basta... daj mi pan pokój.

— Z gachem uciekła?

— Nie z żadnym gachem.

— A dzieci? gdzie dzieci?

Podniósł się leniwo po tem pytaniu, podszedł do okna i stał tam przez chwilę. Ramiona jego kurczowo dźwigały się do góry, jakby się przeciągał. Potem odwrócił się do mnie, spojrział wzrokiem zabitym, jak patrzy lis zaszczuty, z odstrzelonemi nogami, gdy go dopędzają ogary, — zbliżył się i zaczął mówić cicho, zeskrobując paznogciem krople zastygłej na stole stearyny.

— Widzi pan, ja...

I umilkł, uśmiechnąwszy się głupio. Zajrzałem mu w oczy, w same białka...

— A!.. — wyszeptałem, zrozumiawszy.

Staliśmy obok siebie długo, w milczeniu. Kilka razy spoglądał na mnie ze strasznym smutkiem, z niewymowną zazdrością, jaką czuć musi człowiek skazany niewinnie na śmierć, gdy idzie

między tłumami, które go nienawidzą, i nie dostrzega ani na jednej twarzy wyrazu współczucia. Widziałem, jak pragnie śmierci, jak nie ma w mózgu ani jednej myśli, a jeśli tam pracują jakie, to sprawiając wrażenie garści tłuczonego szkła.

— Chłopiec miał iść do szkół, — zaczął mówić głosem ochrypłym i zdławionym, — nie mogłem... nie poważylem się na kradzież, na owinięcie palca nie skrzywdziłem nikogo, uczciwym człowiek... A wreszcie za czemże się miałem rozpadać, kto na mnie wejrzał? Na moją nędzę?..

Niespodziewanie zaczął mówić szybko, coraz głośniej, drepcząc na jednym miejscu:

— Przyjechałem nad ranem, wywołałem żonę i mówię jej od razu — tak i tak... Tu stała, gdzie pan teraz, — to, mówię panu, pary suka z gęby nie puściła, tylko mię ręką pomacała za ramię, popatrzała, pokiwała głową i poszła do izby. Zajrzę ja przez szparę: widzę — stoi przy oknie jak wiecha, beczy pocichuteńku, po swojemu, łza łzę pobija, ażeby słowo — nic! Zaraz poznałem, że źle. Przysiadłem tu na kuferku i dosiedziałem do białego dnia.

Rano wyleciałem na świat, bo mię tu coś aż dusić zaczęło od tej cichości; szedłem drogą chyba ze dwie wiorsty. Rosa była, chłód. Położyłem się pod lasem; leżę, a w głowie to tak, jakby kowal bił młotem w kowadło. Nieraz to

mię tak ścisnęło, jakby we mnie jakiś człowiek wrzeszczał. Przeleżałem tam ze cztery, z pięć godzin; przyszedłem, bo godziny biurowe nadchodziły, — słyszę: w stancyi cicho. Zajrzałem za drzwi i zacząłem dygotać: niema nic. Wszystko panu pozostawiła, jednego gałgana nie wzięła, zagarnęła dzieci i poszła.

— Dokądże?

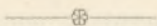
— Wypadłem bez czapki, lecę, ludzi się pytam. — Szosą, powiadają, widzieli jak szła. Uleciałem z jakie pół mili: — niema! Dopiero zda mi się spojrzeć na bok, — idą boczną drogą, cały tabór: Kazię niesie na plecach, to najmniejsze na ręce, a resztę zagania, zagania...

Wołać nie mogłem, bo mię w gardle ścisnęło, z sił opadłem. Jak mię zobaczyła, wzięła z drogi kamień, jak bochenek chleba, i szła do mnie. Tom się jej u nóg włóczył, po trzewikach całował, w poprzek drogi kładł, — na nic! Z nią nie poradzi: nożami ją pokraj — nie i nie! Jak te dzieci zaczęły płakać...

Nagle odepchnął mię, skoczył we drzwi do izby i runął tam na łóżko. Gdym wszedł za nim, widziałem, jak wbił głowę w poduszkę i zaczął ją targać, jak pies, zębami. Rozległ się płacz dziki, okrutny, jakiś zwierzęcy...

Odszedłem; wynalazłszy list panny Zofii, zabrałem go i nie wiem kiedy znalazłem się na siodle. Nie śmiałem i nie mogłem rozerwać koperty. — A jednak — jakże niezmiernie czułem

się szczęśliwym tą odrobiną faryzeusza, która jest w sercu. Tylko ani szelest wiatru, gdy koń pędził cwałem, ani list, który przyciskałem do serca, nie mogły mi wygnąć z oczu obrazu tej znędziałej kobiety, idącej w świat bezmierny...



Z m i e r z c h.

Między grube pnie kilku świerków, co sterczą samotnie na skraju poręby, płamiącej mnóstwem czarnych pniaków zgniło-zielony upłaz wzgórza, zsuwało się słońce, pławiąc się w miedzianym blasku, podobnym do przejrzystego kurzu, nieruchomą warstwą nawisłego nad daleką widownią. Odblaski jego lśniły jeszcze na krawędziach chmur, wyłaczając je i zabarwiając szkarłatem, wrzynały się między fałdy szarych kłębów i szkliły na wodach.

W brzdach ściernisk i podorywek jesiennych, na sapowatych niwkach i świeżych karczowiskach, gdzie stały smugi wody po niedawnej nawałnicy, mieniły się rude plamy, jak kawałki szyb przepalonych. Na szare, przyklepane skiby padał uciążliwy dla oczu, zwodniczy cień fioletowy, piaszczyste wydmy żółkły, — zielska na przykopach, krzaki na miedzach miały jakieś nieswoje, chwilowe barwy.

W głębokiej kotlinie, otoczonej ze wschodu, północy i południa podkową wzgórz, obdartych z lasu, płynęła struga, rozlewając się w zatoki, bagna, płanie i szyje, powstająca tam właśnie ze źródlisk zaskórnych. Dokoła wody, na torfiastym kożuchu rosły gęszcze trzciny, wysmukłe sity, tartarki i kępy niskiej rokiciny. Nieruchoma, czerwona woda świeciła się teraz z pod wielkich liści grzybienia i szorstkich wodorostów w postaci bezkształtnych plam biało-zielonych.

Nadleciały stadkiem cyranki, krążyły kilkakroć z wyciągniętymi szyjami, przerywając ciszę melodyjnym, dzwoniącym świstem skrzydeł, zataczały w powietrzu elipsy coraz mniejsze, — wreszcie zapadły w trzciny, z łoskotem rozbijając wodę pierściami. Ucichł dudniący lot bekasów, głuche wołanie kurki wodnej, ustało dowcipne pogwizdywanie kulików, poznikały nawet szklarze i modre świtezianki, wiecznie trzepoczące siateczkowatemi skrzydłami dokoła badyłów sitowia. Błądziły tylko jeszcze po świetlanej powierzchni głębin niestrudzone muchy wodne na swoich szcudlastych nogach, cienkich jak włosy, a zaopatrzonych w kolosalne i nasycone tłuszczem stopy — i pracowało dwoje ludzi.

Błota należały do dworu. Dawniejszy młody dziedzic taplał się po nich z wyżłem za kaczkami i bekasami póty, póki wszystkich lasów nie wyciął, pól nie zostawił odłogiem i, wyleciawszy nagle z dziedzictwa, nie oparł się aż w Warsza-

wie, gdzie teraz wodę sodową w budce sprzedaje.

Gdy nastał nowy, mądry dziedzic, biegał po polach z kijkiem i często nad błotami stawał, w nosie dłubiąc.

Gmerał w bagnie rękami, dziury kopał, mierzył, wachał — aż wreszcie wymyślił rzecz dziwną. Kazał karbowemu najmować dzień w dzień chłopów do kopania torfu, szlam na pola wywozić taczkami, na kupy składać, a dziury kopać precz, póki się nie wybierze miejsca na sadzawkę; wówczas groble fundować, dół na drugą sadzawkę wybierać niżej, aż ich się kilkanaście uzbiera; wtedy rowy rżnać, wody napuszczać, mnichy wstawiać i ryby sadzić...

Do wywożenia torfu najął się zaraz Walek Gibała, bezrolny wyrobnik, na komornem siedzący w poblizkiej wiosce. Gibała u dawnego dziedzica służył za fornala, ale u nowego się nie utrzymał. Nowy dziedzic i nowy rządca po pierwsze ordynaryę i pensyę zaraz zmniejszyli, a powtóre szukali w każdej rzeczy złodziejstwa. U dawnego dziedzica każdy fornal pół garnca owsa swojej parze koni ujmował i niósł wieczorkiem do szynkarza Berlina za tytuń, za bibułkę, za kapkę gorzałki. Jak tylko nowy rządca nastał, zaraz ten interes zmiarkował, a że na Walka właśnie wina padła, w pysk mu dał i wygnał ze służby.

Odtąd Walek z babą siedział na komornem we wsi, bo służby znaleźć nie mógł: rządca wydał mu takie świadectwo, że niepodobna było zgłaszać się nawet gdziekolwiek do służby. We żniwa tu i owdzie po chłopach zarabiali oboje; ale zimą i na przednówku marli głód straszliwy, nieopisany. Ogromny, kościsty, z żelaznemi mięśniami chłop wysechł jak wiór, zczerniał, zgarbił się, zesłabł. Baba — jak baba, u kumoszki się pożywi, grzybów, malin, poziomek nazbiera do dworu, albo do żyda zanieśie i choć na bułkę chleba zarobi, a chłop przy młocce bez jedzenia nie podola. Gdy karbowy zapowiedział kopanie na łące, obojgu aż się oczy zaświeciły. Sam rządca trzydzieści kopiejek od wyrzucenia sążnia kubicznego obiecał.

Walek babę do kopania zajmował dzień dnia. Ona taczki naładowuje, on po tarcicach, rzuconych przez bajora, wywozi szlam na pole. Robota pali im się w rękach. Mają dwoje wielkich i głębokich taczek, nim Walek puste przyciągnie, już drugie naładowane; — szlę na ramiona narzuca i pcha pod górę. Żelazne kółko skrzypi przeraźliwie; rzadkie, czarne, ciekące, przerośnięte korzonkami błoto pierzcha i flejtuchami pada na obnażone do kolan nogi chłopca, gdy taczki z deski na deskę przeskakują, szła wrzyzna mu się w kark i ramiona, wyciskając na koszuli czarną pręgę cuchnącego potu, ręce mdleją w łokciach, nogi cierpną i drętwieją od zaurza-

nia ich w szlamie, — ale dwa kubiki na dużym dniu wybrane — to znaczy kawał grosza w kieszeni.

Mieli nadzieję, że pod koniec jesieni trzydzieści rubli odłożą, komorne zapłacą, beczkę kapusty zakupią, ziemniaków z pięć korcy, sukmanę, buty, zapasek ze dwie, szorc dla baby, płótna na koszule, że przebijają do wiosny, to młocką, to tkactwem u ludzi dorabiając.

Aż tu rządcy po trzydzieści kopiejek od kubika wydało się znienacka za wiele. Zwąchał, że nie każdy się zlakomi od świtu do nocy w błocie gmerać, że im tam widać dobrze dojadło, kiedy bez namysłu do takiej roboty się kwapia; po dwadzieścia kopiejek, powiada, to dobrze, a nie, to nie...

Po chłopach w taki czas nie zarobi, dwór się swoimi ludźmi przy młockarniach i maszynach obywa — przebierać niema w czem. Walek po takiej zapowiedzi poszedł do karczmy i schlał się ze złości jak bydlę. Na drugi dzień rano babę wyprał i pojął ze sobą do roboty.

Od tego czasu — na małym dniu — te same dwa kubiki wyrzucają, od rannego brzasku do szczerzej nocy nie ustępując w robocie.

I teraz oto zdala noc idzie. Dalekie, jasnoniebieskie lasy zczerniały i rozplywają się w pomroce szarej, na wodach blask przygasa, od sto-

jących przed zorzą świerków padają niezmierne cienie, na szczytach wzgórz, po porębach, czerwienią się tylko jeszcze gdzieś tam pniaki, to kamienie. Od tych punktów świecących odbijają się małe i nikłe promyki, wpadając w głębokie pustki, jakie tworzy pośród przedmiotów ciemność niezupełna, wibrują w nich, łamią się, drżą przez mgnienie oka i gasną, gasną po kolei. Drzewa i krzewy tracą wypukłości, bryłowatość, kolor naturalny i tkwią w szarej przestrzeni tylko jako płaskie kształty o dziwacznych zarysach, czarne zupełnie.

W nizinie zsiada się już mrok gęsty i pociąga chłód na wskroś przejmujący człowieka. Pomroka idzie niewidzialnymi falami, pełnie po zboczach wzgórz, wciągając w siebie jałowe barwy ściernisk, wykrotów, osypisk, głązów.

Na spotkanie fal mroku wstają z bagien inne, białawe, przejrzyste, ledwo — ledwo widzialne, czołgają się smugami, kłębami okręcają się dokoła zarośli, dygocą i miętoszą ponad wód powierzchnią. Zimny powiew wilgoci mięsi je, tłucze po dnie doliny, rozciąga na płask, jak postaw zgrzebnego płótna.

— Mgła idzie... szepce Walkowa. Jest to ta chwila zmierzchu, kiedy wszystkie kształty widoczne zdają się rozsypywać w proch i nicość, kiedy rozlewa się nad powierzchnią gruntu szara próżnia, zagłada w oczy i uciska serce jakąś nieznaną zgryzotą. Walkową strach ogarnia.

Włosy jeżą jej się na głowie i mrowie przechodzą po skórze. Mgły idą, jak żywe ciała, podpełzają do niej chyłkiem, zabiegają z tyłu, cofają się, czają i znowu ławą suną coraz natarczywiej. Kładą na niej wreszcie wilgotne swe ręce, wsia-
kają w ciało aż do kości, drapią w gardzieli i łechcą w piersiach. Wtedy przypomina jej się jej dziecko. Od południa go nie widziała: śpi samo jedno w zamkniętej izbie, w kolebce lipowej, zawieszanej u stragarza na brzoźowych wi-
ciach. Płacze tam pewno, zachłysta się, łka... Matka słyszy ten płacz przedziwny, żaloszny, jak pisk kani na pustkowiu. Rozlega on się w jej uszach, nęka jakieś jedno miejsce w mózgu i drażni w sercu. Przez cały dzień nie myślała o nim, bo twarda robota rozprasza wszelkie my-
śli, unicestwia je prawie i mąci, ale teraz strach wieczorny zniewala ją do skupienia się, zaczy-
pienia myślami o tę kruszynę...

— Walek, — mówi trwożliwie, gdy chłop taczki przyciągnął — polecę do chałupy, naskrobie ziemniaków?..

— Gibała nie odpowiada, jakby nie dosły-
szał, zabiera taczki i rusza, przysiadając, jak wór żyta na wadze dziesiątnej. Gdy powrócił, kobie-
ta błagała znowu:

— Waluś, polecę?

— Ej... — mruknął od niechcenia.

Zna ona jego gniew, wie, jak on umie chwy-
cić pod żebro, zebrać w garść skórę, trząsnąć

raz, drugi, a potem cisnąć człowiekiem, jak kamieniem między szuwary. Wie, jak on potrafi zedrzeć jej szmatkę z głowy, omotać sobie pięść włosami i przewlec struchlałą kobietę kawał drogi, albo w zapamiętałości wyrwać z błota rydel i ciąć przez łeb bez namysłu — zabije, czy nie zabije.

Ale nad bojaźnią kary góruje niecierpliwa troska, podniecająca aż do bólu. Chwilami baba zamierza uciec: tylko się na bałyku zsunąć w wąwozik, skoczyć przez strugę, a potem po roli, po zagonach, na przełaj. Schylając się i napełniając taczki, leci myślami, skacze jak łasica, wyczuwa już prawie ból, gdy boso biedz będzie po ścierniach, zarosłych drobną tarniną i jeżynami... Te ostre kolki kłują nie tylko jej nogi, ale przebijają serce. Dopada chaty, odmyka zasuwę drewnianym kluczem, bije jej na twarz ciepło i zaduch izby, — spina się do kolebki... Zbije ją Walek, gdy przyjdzie do chaty, skatuje, — a to i cóż: to tam już potem...

Skoro jednak Walek wynurzy się ze mgły, ogarnia ją lęk jego pięści. Znowu się modli pokornie, aczkolwiek wie, że jej ten zbój nie puści.

— Ady tam dziewczucha może uświerkla...

Nie odpowiedział nic, zrzucił z ramienia szelkę od taczek, zbliżył się do żony i wskazał ruchem głowy palik, do którego muszą dziś dokopać. Potem ujął za rydel i zaczął raz za

razem narzucać szlam na swoje taczki. Robił to zapamiętale, szybko, co tchu. Narzuciwszy pełne taczki, popchnął je, biegnąc cwałem i rzekł na odchodnem:

— Pchaj i ty swoje, próżniaku...

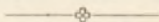
Pojęła to łaskawe ustępstwo na rzecz jej miłości, tę grubijańską dobroć, tę twardą i surową jakby pieszczotę, bo jeśli narzucają ziemię oboje, robotę skończyć można daleko prędzej. Naśladowała teraz szybkie i skwapliwe jego ruchy, jak małpa, narzucała błoto cztery razy szybciej — już nie mięśniami, nie z chłopską, rozważną ekonomią wysiłku, ale mocą nerwów. W piersiach jej rzeżało pod powiekami migwały jaskrawe kolory, mdliło w piersiach i leciały z oczu łzy gorzkie, grube, łzy bezmyślnego bólu — w ten gnój zimny i cuchnący. Co wbije w ziemię rydel, to spojrz, czy do palika daleko; gdy ładunek gotowy, chwyta taczki i biegnie »w dyrdy,« naśladowując chłopca.

Mgły wspięły się wysoko, zawlekły szuwary i nad szczytem olszyn murem nieruchomym stoją. Znać w nich drzewa, jak plamy nieokreślonej barwy, dziwacznie wielkich kształtów, a nędzarzy, biegających w poprzek rozdołu, jak jakieś potwornie ogromne widma.

Głowy ich opadają na piersi, ręce wykonywują ruchy jednostajne, kadłuby zginają się ku ziemi...

Kółka taczek turkocą i skwierczą, fale podobne do rozcieńczonego wodą mleka, kołyszą się między wzgórzami czarnymi.

W głębinie niebios roznieciła się gwiazda wieczorna, płonie drząc i ciska w poprzek mroków ubogie swoje światełko.



Złe przeczucie.

Od godziny już ziewałem na dworcu kolejowym, oczekując nadejścia pociągu. Wytrzeszczałem z nudów oczy do kilku po kolei dam, również ziewających w rozmaitych kątach sali, do czekałem się nawet skutku »robienia oka,« gdyż jakaś młodziutka blondynka z białym noskiem, usteczkami jak listki róży, z oczami jak listki błękitnej portulaki, pokazała mi zwinięty w trąbkę język, czerwony jak listek polnego maku — i... nie wiedziałem co dalej przedsięwziąć dla zabicia czasu.

Na szczęście weszło do sali dwu młodych studentów, zabloconych aż do bród — mierzwi- nek, zmęczonych drogą i roztargnionych. Jeden z nich szczególnie, jasny blondyn o przecudowym profilu, był dziwnie rozmarzony, czy zrozpaczony. Usiadł w kącie, zdjął czapkę i co chwila chował twarz w dłonie. Towarzysz kupił i wręczył mu bilet, usiadł obok i co chwila pociągał go za rękaw.

— Czegóż rozpaczasz? Jeszcze może być wszystko dobrze. Antoś, słyszysz...

— Nie... to darmo, umrze, ja wiem... ja wiem... może nawet już...

— Dajże pokój! Czy ojciec miał kiedy tego rodzaju ataki?

— Miał... od trzynastu lat na serce chory; pił... czasami. Pomyśl, nas ośmioro, małe dziewczęta, matka słabowita. Do emerytury brakuje pół roku... To dola!

— Zobaczysz, że mu przejdzie, Antek!..

Dzwonek uderzył; w sali powstał zamęt, porywanie pakunków, deptanie się wzajem po odciśnięciach, tłumne odpychanie od drzwi wchodowych szwajcara, gwar i zamieszanie. Wsiadłem do tego samego wagonu klasy trzeciej, w którym umieścił się blondynek student. Kolega odprowadził go, posadził, jak chorego, w kąciaku ławki obok okna i usiłował pocieszać, choć mu to nie szło i słowa więzły w gardle. Twarz blondyna drgała od czasu do czasu kurczowo i powieki zsuwały się na jego zamglone oczy.

— Antoś, bracie, — mówił tamten — zobaczysz no... jak Boga kocham; przekonasz się, do wszystkich dyabłów!..

Zadzwoniono po raz drugi i trzeci, pocieszyciel wybiegł z wagonu i, gdy pociąg ruszył, przesyłał towarzyszkowi dziwne ukłony, jakby mu groził pięściami.

W wagonie mnóstwo było ludzi prostych, żydów, dam w salopach, szerokich jak zatoka Biskajska, — gadano, zdobywano miejsca kułakami, palono papierosy.

Student stanął przy oknie i patrzył, patrzył...

Za spotniałą szybą przesuwały się pasy iskier, jak rozpalone do czerwoności druty, kłęby pary i dymu, jak wielkie kłaki waty, które wiatr darł na strzępy i ciskał o ziemię. Dymy te wlokły się po małych krzakach, rosnących tam w dole na zmoczonej deszczem ziemi. Zmierzch dnia jesiennego zalewał krajobraz półświatłem, pełnym jakiejś nieopisanej, posępnej melancholii.

Biedny, biedny chłopiec...

Patrzył wzrokiem zagasłym, jakim patrzy pustka smutku bez granic, który zachodzi aż w dziedzinę mądrości. Wiedziałem, że w pustce tej jest jeden tylko rdzeń stały: — niepokój. Wiedziałem, że na ten rdzeń nawija się cieniutka niteczka nadziei, bardzo długa, wybiegająca z jakichś nieznanych krosien, ukrytych poza granicami świadomości. Nikogo nie widział, nic nie słyszał, śledząc bezmyślnie kłęby dymu. Wiedziałem, jak mu jest źle, jak wolno posuwa się dłoń pociąg, jaki on zmęczony, jakby chętnie teraz płakał, gdyby mógł. Niteczka nadziei łechce mu serce: kto wie? może wyzdrowieje ojciec, może się wszystko ułoży...

I nagle — zgał! — krew uciekła z tej twarzy, wargi zbielały i zatrzęsły się, szeroko

roztwarte oczy z przerażeniem patrzyły daleko, daleko. W przestrzeni, martwej dotąd i pustej— coś ożyło, jakby ręka z grożącym palcem wyciągała się ku niemu, jakby wiatr zawołał: — strzeż się!

Nitka nadziei pękła i naga, nadmiernie bolesna prawda, w którą nie wierzył do tej chwili, przeszła mu serce, jak miecz nagi.

Gdybym się był wówczas do niego zbliżył i powiedział mu, że jestem duchem, który wszystko wie, że wiem dobre dla niego wieści, że ojciec jego nie umarł w tej chwili, — byłby mi upadł do nóg i uwierzył. Wyświadczyłbym mu łaskę niewysłowioną...

Lecz nie poszedłem do niego, nie uścisnąłem mu ręki. Wołałem przyglądać mu się z pilną i nienasyconą ciekawością brata - człowieka.



Po Sedanie.

... Od sześciu dni cały szwadron dragonów pruskich ścigał szczątek naszego batalionu. Uciekaliśmy o głódzie, bez snu, na oślep, jak stadko owiec. Na nasze nieszczęście bez przerwy padał deszcz: — w lesie spać nie było można. Podeszwy kamaszów naszych przeniosły się do dziedzi-ny wspomnień, a my, pod ich nieobecność, brnęliśmy boso po igłach i patykach leśnych, po kamieniach i piaskach. Nogi puchły od ran, — ten i ów zostawał w lesie odpocząć — i kto wie, jaki go los spotykał...

Nareszcie wymknęliśmy się Prusakom na daleką odległość, dopadliśmy nad wieczorem folwarczku, ukrytego między wzgórzem a lasem... Sen będzie! Co za rozkosz nadziemską... Ta straszna potrzeba, silniejsza od obawy śmierci, zwała nas z nóg, jak tylko gospodarz nastłał słomy w obszernej sieni domostwa. Zasyrialiśmy, nie jadłszy po długim poście, nie rozbierając się z przemokłych i gnijących łachmanów.

Ja, aczkolwiek usnąłem po bohatersku, zbudziłem się pierwszy, gdy mnie dym zakrzusił. Przysiadłem na posłaniu i przez sen zacząłem się orientować: — płomienie raziły mi oczy... Zerwałem się i jałem ciągnąć za włosy towarzyszków. Podkurzono nas. Dym, jak z komina, tłoczył się do naszej sieni z drzwi izby sąsiedniej, paliły się zabudowania folwarczne, rozlegał się trzask, łoskot. Ten i ów z kolegów, których biłem po twarzach i szarpałem za czupryny, sięgał do bagnetu, ażeby mię przebić i padał bezwładny. Rozbudzeni zaczęli mi pomagać, wysadzili okno i ciągnęli ku niemu śpiących.

Wreszcie powyskakiwali wszyscy.

Odnalazłszy w słomie mój sztucer belgijski, przypasałem bagnet i zacząłem się przy oknie.

Głuchy trzask rozlegał się raz po raz: — wybijano ich po kolei, jak kaczkę. Włosy wstawały mi na głowie...

Skoczyłem we drzwi, skąd dym wybuchał, mijałem puste izby, oświetlone smugami krwawego światła, wdzierającemi się przez serca okiennic i, dusząc się w dymie, doszedłem do jakiejś sionki.

Wybiłem okno, wyrwałem okiennicę i skoczyłem w kępę bzów, rosnącą tuż pod oknami. Za bzem ciągnęła się błotnista droga, do której dotykała równina, jałowcem zrzadka porośnięta. Zaczaiłem się w krzakach, wietrząc Niemców, jak pies. Zdawało mi się, że z tej strony niema nikogo.

— Skoczę — myślałem, drżąc cały, choć spadały na mnie ogniste wiehcie pałacej się strzechy, — popełnę między krzakami... może nie dojrzą...

Jednym susem wypadłem na środek drogi i, zgiąwszy się w pałąk, zamierzałem dopełznąć do pierwszego krzaka...

Nagle — ścierpłem! Naprzeciwko mnie szła rozwiniętym szeregiem kolumna konnicy. Na drodze szpilkę by znalazł od płonącego, straszniego pożaru.

Stałem na środku, jak słup, zdrewniałem... Gdyby się wstrzymali, uciekłbym był pewno, choćby w płomienie, — lecz, że szli na mnie bystrym kłusem, coś we mnie prysnęło. Na twarze wrogów, na ich konie, główce pałaszów padał czerwony blask ognia.

Wolno podniosłem sztucer i zmierzyłem w środek szwadronu. Mierzyłem po bohatersku w środek kolumny ze trzy sekundy. Strzał padł. Oficer wyciągnął ku mnie pałasz, mignął nim, pochylił się na łeb konia i wolno zleciał na ziemię. Ja tymczasem nasadziłem na lufę bagnet. Skoczyło do mnie z wrzaskiem ze dwudziestu żołnierzy, mignęło ze dwadzieścia szabel. Zepchnąłem z siodła pierwszego, który mię dopadł, pchnąłem bagnetem drugiego, lecz bagnet trafił w pustą przestrzeń, — gdyż usłyszałem wtedy, jakby nagle zadzwoniono naraz w jakich trzydziestu kościołach we wszystkie dzwony. Potem

zacząłem lecieć do góry, na dół, do góry, na dół, coraz głębiej, coraz niżej.

Głos dzwonów ucichał, jakby wsiąkał w głąb ziemi. Nie wiem, jak to długo trwać mogło.

Otrzeźwiałem na chwilę.

Wtedy poczułem, jakby mi się czaszka rozlu-pywała, w czole palił mnie straszny ogień.

Gdy dotknąłem tego miejsca ręką, dwa palce wsunęły się w jamę. Krew, szeroką strugą zalewająca mi oczy, napływająca we włosy, w usta i nos, krzepła.

Odgarnąłem ją z oczu, dźwignąłem się na kolana, odnalazłem omackiem sztucer i, kiwając się, zacząłem go nabijać, nabijać, nabijać...

Zdawało mi się, że nabiję, przyłożyłem kolbę do szczęki i mierzyłem do nieprzyjaciół, których już prawdopodobnie nie było...

Lecz wtedy znowu poleciałem w szarą mgłę, po której latały czerwone iskry, długie niby żyły krwawe...



Zapomnienie.

Zapowiedzieliśmy gajowemu Lalewiczowi, że nazajutrz przed świtem będziemy u niego, skąd ma nas poprowadzić na młode kaczkę — »kłapaki« — do jemu tylko wiadomego smugu nad stawem.

Słowo się rzekło, — trzeba było wstać przed drugą w nocy, naciągnąć długie buty i iść. Idziemy tedy z panem Alfredem, papierosy palimy, gwarzymy od niechcenia... Idziemy twardą ścieżką między zbożami. Zgięte już ku ziemi kłosa okwitłego żyta do twarzy nam niemal dostają, — na każdym z nich wiszą ogromne kropelki rosy. Z rozkoszą przesuwasz rękę po mokrych kłosach i pozwalasz, by cię biły po twarzy. Pachnie zboże...

Czasami pociąga od Wisły nie wiatr, lecz zdrowy chłód, niby wilgotny oddech ziemi, ukrytej w nocy. Nie porusza on ścian zboża, lecz je głaska, dotyka ustami, jak pocałunek. Wtedy

kłosa leniwo, przez sen, tłuką się o siebie i cichy szmer płynie w zbożu. Strząśnięte krople zlatują z łuski kłosów, przypadają do kolan ich, z kurzu zzutych, i wiszą tam do świtu. Z bardzo daleka, z głębi olszyn nad rzeczką, dolatuje odgłos pieśni słowika. Leci po rosie tkliwe nawoływanie: przyjdź, przyjdź, przyjdź!.. i niewysłuchane cichnie między trawami. Nastaje cisza długa, póki nie wypłynie z niej staccato ekstazy, gwałtownej, namiętnej, nerwowej, upajającej miłosnej pieśni. I ta zacichnie w rosach dalekich... Wtedy zadumane olszyny słuchają urwanych, radosnych wybuchów głosu, podobnych do pocałunków. Ale nie czas nam słuchać Szopena olszyny.

Wkraczamy już na szerokie łąki. Nad lasem ciemność się zmniejsza, — nie rozprasza się jeszcze, lecz rzędzie. Jest tam niby łuna dogasającego pastuszego ogniska. Obok nas ciemno tak jeszcze, że ledwo możemy dojrzeć wyżła Puka, o dwa kroki biegnącego przed nami. Zbliżamy się, brnąc po wysokiej trawie, do lasu i idziemy jego brzegiem po wrzosach, utykając na kreto-wiskach i krzaczkach jałowcu. Derkacze skrzeczą na przemiany w łąkach, gdzieś daleko odzywa się pierwsza przepiórka i melodyjny jej głos odbija się w lesie. Weselej iść w ciemności z jej wołaniem: — pójddzcie żać, pójddzcie żać!..

Jak woda przyplływają i otaczają nas zimne fale leśnego chłodu, nasycone zapachem pozio-

mek, jałowcu, młodej wikliny, smoły sosnowej, całym tym niedającym się opisać, wilgotnym, gęstym, duszącym, a tak zdrowym zapachem lasu, ukrytego w mgłach porannych. Pachnie to, jak dziki bukiet.

Blado - niebieski firmament zaczyna wreszcie przeświecać między gałęziami sosen. Zdało się, że eter przejrzysty las napełnia. Nieruchomo, bezwładnie, jakby pogrążone w znużeniu, leżą w powietrzu zwieszane ku ziemi gałęzie sosen. Kontury grubych, w burych sukmanach pni sosnowych odkreślają się już, a jednak toną w niebieskości, jak ryby w wodzie, plamami są w jednym wielkim kolorze, rozplývają się w tym żywiole, w szarym przedświcie. Dostrzedz już można mgły nad łąkami i pod niezmiernie ostrym kątem padający na nie cień lasu. I odbywa się w oczach zawzięta walka, bój nad boje, cienia ze światłem, odbywa się szybko, niepostrzeżenie, jak uciekanie czasu. Przesuwają się wszystkie fazy napaści, osłabienia, pogromu... Każda ma miarę czasu, ma trwanie, żyje, wysila się, walczy, umiera, a tem straszliwiej, że bez wrzasku, bez odgłosu. Aż wreszcie cień poczyna ustępować. Jest taka minuta przed wschodem słońca, gdy zlatuje w głąb' krzaków jałowcu i rokitin, przypada na twarz w trawy, chyłkiem idzie między badyłami, rowami i brózdami, zbliża się do lasu, wreszcie na łeb, na szyję doń ucieka, aby tam usiąść pod osłoną sosen, oddychać nocą i pa-

trzeć z wściekłością na bielejące pola. Od tej minuty głośniej krzyczą derkacze, zaczynają wołać przeciągle swoje »ku - wyk« czajki, i, jak chłop pracowity, wstaje śpiewać hymn pracy serdeczny brat roli — skowronek.

Drożyna nasza zarosła trawą, poprzerzynana wyschniętymi kałużami i korzeniami drzew, wybiega czasami na łąkę, by znowu ku lasowi zawrócić. Gdy, stosując się do jej kaprysów, wyjdziemy z lasu, bierzemy oddalone krzaki za pasące się konie, zbliżamy się ku nim z ostrożnością nadzwyczajną po to chyba, by je kopnąć nogą ze złe tajoną złością, gdy się okażą w całej swej niewinności, rosą białą od stóp do głów, jak komża, okryte.

Nareszcie purpurowym płomieniem zapala się zorza pod lasem. Złoto - ponsowemi brzeżkami otaczają się białe chmurki, leżące na niebie, jak plamy od bezmyślnych pociągnięć pędzlem na niezaczętym obrazie. Zdaje się, że jakaś ręka szybko ściąga z widnokregu oponę czarną i resztek ciemności wsiąka w ziemię. Wstają wsie z ich wysokimi topolami, co się w świtaniu niebieskimi wydają, kępy drzew, drogi, pola uśmiechnięte i dalekie, dalekie smugi lasów granatowych, jak ogromne, zastygłe fale.

Zbliżyliśmy się właśnie do »gajówki« Lalewicza, stojącej między chojakami na wydmuchu piaszczystym.

Lalewicz siedział już na progu. Gdyśmy po-
deszli, zerwał się strasznie szybko, czapkę z zie-
lonym lampasem miętosił w garści i kłaniał się,
trzaskając obcasami po oficersku. Jest to okrągły
człowieczek, z tłustą twarzą, uśmiechający się
zabawnie, jakby wszystkie zęby miał trzonowe.

— Lalewicz, kaczkę będą? — zagadnął pan
Alfred.

— Chmury, jaśnie panie, chmaaary!

— No, to jazda! Prowadź.

Zapaliliśmy papierosy, przełożyliśmy lanka-
strówki z lewych ramion na prawe — i jazda!
Lalewicz maszerował przodem, ja na ostatku.
Mgły bielusienkie kłębią się, kotłują na miejscu,
przewalają, jak słupy dymu. Wierzchołki drzew
i wikliny dają się widzieć czasami z głębi nich,
jak czarne plamy, i giną znowu. Na rosie białej
jak mleko ciemno-zielonemi, prawie czarnemi
pasami znaczą się ślady naszych butów.

— Piękności będzie dzień! — wypalił Lale-
wicz, pragnąc widocznie dla samej przyzwoitości
coś mówić.

— Uhm! — mruknął pan Alfred.

Nagle Lalewicz stanął i przykucnął nawet.

— Ehe-hej! ptaszek! — wyszeptał, wpatru-
jąc się w ziemię. Na mokrej trawie znać by-
ło świeży, w kierunku lasu idący ślad wozu.

— Deski, jaśnie panie, deski z pod tartaka
kradnie — wyszeptał z przekonaniem i z pewnem
aż zatkaniem w gardle.

— Chodźmy, a cichutko — wyszeptaliśmy prawie jednocześnie i wkroczyliśmy w las za śladem.

Podkradłszy się pod porębę, Lalewicza wysłaliśmy na zwiady, sami zaś usiedliśmy w cieniu. Wyszedł na polanę, między pniaki, jak lis; uśmiechnął się, nie przysiągłbym nawet, czy się nie oblizał — i kiwnął na nas palcem.

Podeszliśmy: w zaroślach leszczyzny stał wóz z zaprzęzoną doń szkapiną. Wóz był mały, z niezmiernie wyschniętymi szprychami w kołach. »Przewodek« z »pośladkiem« połączony był tylko »rozworą,« a na osiach leżały »ryczmany« z wysokimi kłonicami. Po prawej stronie dyszla stała kobyлина, przywiązana do orczyków odwiecznemi postronkami. Były one prawdopodobnie w równym z nią wieku. Chomąto bez »podkładu« wytarło jej szyję z sierści, »obladry« drewniane wyżarły boki, stare wędzidło wygryzło wargi. Chomąto zsunęło się jej z kłębu na uszy, gdyż spuściła łeb, i przymrużając oczy z wyrazem nieopisanego znużenia, szczypała trawę. Muchy i bąki siadały na jej szyi, gryzły grzbiet ostry jak piła. ssały pod brzuchem, włożyły w oczy. Nie raczyła ich zegnać, i jeżeli machnęła ogonem, to tak sobie odruchowo, czego zwyczaj.

Marna skóra wisiała na niej, jak sakpalto na szkielecie; zerwane nogi ledwo podtrzymywały ciężar kości; nie zwróciła na nas najmniejszej, nawet przelotnej uwagi, pomimo że Lalewic

»penetrował« już koło naszelnika, oglądał postronek, okręcony o kłonicę i pełniący obowiązki lejców. Kazali jej tu stać — to stoi; zdejmą skórę — niech zdejmują...

— Bogaty, psia kość, moderunek! — mruknął gajowy. — Żeby choć krzta rzemienia... Powrózek na powrózku — dodał z żalem.

Usiedliśmy pod sosną w oczekiwaniu. Lalewicz z za krzaka główkę wysunął, mruga oczkami i uśmiecha się: — dostrzegł go już, Wicka Obalę.

Idzie Obala cichaczem, chyłkiem, między krzakami, niosąc na ramieniu cztery deski. Ogląda się, nasłuchuje, czasem przysiadzie i miga się między zaroślami jego czerwona magiera.

— Czterocalówki — szepce nam za uchem gajowy tajemniczo, jak na spowiedzi.

Dopada do nas Obala, ma już złożyć na wozie deski i umykać, — aż tu wyrasta przed nim, jak z pod ziemi, Lalewicz, kłania się i powiada:

— Bon - dziur, Obala...

Chłop cisnął deski na ziemię, splunął nieznacznie i stoi. Było pewnego rodzaju podobieństwo między nim i jego kobyłą. Chudy, wyschnięty, wywiedły, zczerniały, niski, z niebywale szerokimi i wypukłymi plecami — robił wrażenie jakiegoś narzędzia do podważania ciężarów, czegoś w rodzaju dźwigni...

Z pod olbrzymiej jak poduszka, czerwonej magiery wysuwały się włosy długie, bez połys-

ku, nie czesane od dawna, bo wisiały w nich źdźbła słomy i siana. Miał na sobie dwa kawały płótna: koszulę do kolan zgrzebną w kształcie spodnicy, pod szyją na czerwoną tasiemkę zawiązaną i przepasaną na biodrach pasikiem; z pod koszuli do kostek sięgały spodnie także zgrzebne, a takie stare, takie czarne i tak podarte, że, patrząc na nie, doznawało się chęci wołania w niebogłosy: dawajcie, Obala, wasze spodnie na wystawę paryską, niech wie cywilizacya, że i wy produkujecie rzeczy wygody w miarę sił i środków! — Kolana miał zgięte raz na zawsze, jak konik polny i na tych kolanach dziury w spodniach, nie wskutek rozdarcia powstałe, ale wytarte, okrągłe, jak od wypalenia. Patrzałem na jego nogi, przerosłe gnojem, czarne, z wykrzywionemi palcami, z paznogciami jak u zwierzęcia, z piętami spłaszczonemi i wypchniętymi w tył, i doszedłem do przekonania, że cywilizacya nie zaniósła chyba do garderoby Obali ani jednej jeszcze pary butów.

A twarz nie była brzydka: — zwykła chłop-ska twarz, niby wykuta z piaskowca przez początkującego rzeźbiarza, bezmyślnie zimna i spokojna, twarz iście dżentlemeńska, niczem nieporuszona. Od nosa zbiegały ku brodzie dwie zmarszczki głębokie, w których skóra bledszą była cokolwiek niż na twarzy i szyi, czarnych od opalenia.

Podnieśliśmy się z ziemi — i wtedy nas dopiero Obala dojrzał. Ściągnął z głowy magierę, odgarnął garścią włosy z czoła, i kłaniając się nam, palnął w ziemię czapczyskiem.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — powiada.

— A na wieki, na wieki, mój bracie! — rzekł pan Alfred. — Chwalisz ładnie Pana Boga...

Chłop nic. Patrzy na nas od niechcienia. Czeka.

Pan Alfred usiadł obok niego na pniaku i mówi:

— Mój Obala... bo Obala się nazywasz, prawda?.. otóż mój Obala, ładnie to jest, żebyś ty w biały dzień szedł do cudzego lasu i tak sobie bez żenady brał co ci się podoba? Powiedz - że mi: ładnie to jest? I kary się boskiej nie boisz i tego... No, i jakże tu ciebie uważać za sąsiada, za obywatela, za, że tak powiem, brata?..

— Doprosom się łaski...

— Dajże pokój, proszę cię, dajże pokój. Pójdiesz za te deski do kryminału, bo ja tu od was niedługo z kijkiembym wyszedł. Uważasz mię?..

— Uwazom, jaśnie panie.

Podczas gdy Obala »uważał,« Lalewicz przysunął się do niego nieznacznie i tak go zgrabnie jakoś chwycił za czuprynę, że chłop ani się spostrzegł. Za chwilę miałem sposobność obserwowania przebiegu operacyi, tak zwanego »bi-

cia w morde.« Prawą pięścią Lalewicz bił, lewą trzymał Obalę za czub. Chłop od czasu do czasu odganiał go ręką, jak komara, mówiąc doń spokojnie:

— Odydź, Lalewic, odydź...

— Między oczy! — rzekł pan Alfred, częstując mię papierosem i zapaloną szwedzką zapalką.

»Dał« mu Lalewicz między oczy, dał w zęby, w nos, w gardziel raz, drugi, trzeci, czwarty, piąty... Zobaczyłem krew, sączącą się cienką strugą z nosa chłopca. Lalewicz bije precz, aż podskakuje... Wreszcie daje się słyszeć przejmujący, okrutny, wstrętny, obrzydliwy płacz człowieka mordowanego i nagle zakrzywione palce wpijają się w gardło gajowego. Zerwał się wtedy pan Alfred i dał Obali jedno uderzenie, tak zwane »durch,« gdzieś w brodę — takie, że, jak to mówią, nakrył się nogami i jak kamień wpadł w krzaki. Trochę go tam jeszcze obcasami poszturczał gajowy i wrócił do nas spocony i zarumieniony.

Chłop wstał niebawem, krwią plując i usta ocierając rękawem koszuli. Okazało się, że nawet pięciu palców, jakie tradycya na policzku »zamalowanego« mieć chce, nie było... Wypłuł się, wysapał, otarł podbite oczy i zaczął odmotywać postronek od kłonicy.

— Lalewicz, pójdiesz mi w południe do pana Biedermana i poprosisz o napisanie skargi

na Obalę o kradzież desek — rzekł uroczyście pan Alfred.

Chłop »podjął« pod nogi dziedzica.

— Doprosom się łaski, jaśnie dziedzicu... daruj mi une deski.

— Dzisz go, »psiandsza!« (psia dusza)... amator! — zapiszczał gajowy.

— Daruj, jaśnie panie!

— Dlaczegoż to mam ci darować mój Obala?

— Pierwszy i ostatni raz, jaśnie panie... Ni razickum tu nie był i nie będę... Trumnę przecie trza zbić, a tu głód taki, co »okez...«

— Jaką trumnę?

— Lo chłopaka. Syn mi niby pomar, Wojtek.

— A więc kradniesz? Na trumnę nawet kradniesz? Pomyśl tylko, jakiś ty łajdak...

— A i skądże wezne? skąd wezne? — zapytał dziwnie szybko i tupiąc śmiesznie nogami. — Tu pochówek, dobrodziejowi pięć rubli, pokładne rubel, a my oba już miesiąc zimionka nie widzimy. Daruj, jaśnie panie, śmiełuj się...

— Zobaczę, mój Obala, czy prawdę mówisz, czy ci umarł syn rzeczywiście. Prowadź nas.

Wrzucił chłop deski na wóz, zaciął szkape i ruszyliśmy. Obala ciężko szedł przodem obok szkapy, szeroko rozstawiał nogi i zacinał ją co chwila.

Obydwoje potykali się jakoś...

Wyszliśmy znowu na łąki. Przecudowny, jaśnie - wielmożny, urągający wszelkiemu opisowi

puklerz słońca wyszedł nad szczyty lasów. Mgły przejrzystymi obłokami unosiły się w niebo, — rosa tylko jeszcze, jak obrus biały leżała na łąkach.

Mała wioseczka tuliła się niedaleko, do ściany parowu. Chałupa Obali świeżo zbudowaną była, brakowało jej poszycia nad lewą połową, podwórze było nieogrodzone, a o kilka kroków wznosiła się mała stodołka, połączona ze stajnią.

— Gdzież umarły? — zapytaliśmy, zatrzymawszy się nad brzegiem gnojówki, zajmującej połowę podwórza.

— W stodolinie leży.

— Tyś żonaty?

— Nie.. »gdowiec.«

— Prowadź - no do umarłego, pokaż - no go.

Poszedł przodem Obala swym niedźwiedzim krokiem, otworzył wrótnię i wpuścił nas do wnętrza małej i pustej stodołki. W jednym zapole leżała trocha skoszonego siana na suchych chróstach, — na klepisku zaś, na rozpostartym snopku kłoci, leżał trup piętnastoletniego chłopaka. W szczycie stodoły wesoło świegotały na gniazdach wróble.

Chłopak taki sam był »chuderlawy« jak ojciec, także miał czarne nogi i spłaszczone pięty; włosy tylko miał uczesane, twarz umyta. W złożonych pobożnie rękach o kolorze ziemi trzymał krzyżyk, wystrugany z patyka. Słupami unosiły się nad nim komary i muchy, siadały na

twarzy, wsysały się w kąciki ust. Poszedł Obala z gałęzią, aby je zegnać. Gdy wracał znowu do nas, miał oczy bez blasku, podobne do płynu nalanego pod powieki.

— Na cóż umarł? — zapytał pan Alfred, zabierając się do wyjścia.

— A kto go ta wie? Ścisnęło i pokój.

— Jednym psubratem mniej! — rozśmiał się do nas gajowy.

Podniósł na niego oczy Obala i dziwny blask żółty zamigotał w nich na minutę.

— Masz więcej dzieci?

— Nie, jaśnie panie; jedynak był u mnie... jedynak.

Piorun żalu musiał w serce go uderzyć, gdy mówił ten wyraz. Tak go dziwnie wymówił. Podparł potem głowę na pięści, rozstawił nogi i patrzył do obłędu smutnym wzrokiem, co nic nie wyraża, podobnym do szeroko otwartej rany. Patrzył, patrzył i nagle wsunął rękę w kudłate swe włosy i z całej mocy je szarpnął.

Za chwilę był już spokojny, taki sam zimny; z wyrazem tępej zapobiegliwości w oczach zaczął wynosić z zapola »kobylicę,« siekierę, »olśnik,« piłkę, sznur ciesielski, »lubrykę,« rozmąconą w skorupce, i zabierał się do roboty trumny.

— Pomoglibyście a-to Ignacy... — wymówił prosząco, zwracając się do gajowego.

— Ii... pszeł, głupi! Akurat tu z tobą będę... Przyznaj się lepiej jaśnie panu, jakeście to

żyto łuskali. To to psiarstwo, jaśnie panie, na przednówku, na ten przykład teraz, to se idzie w pole i wyłuskuje, wyłuskuje nad ranem ten »mlicz« z kłosków. Dopiero jak ma pełne »zajdy,« to szast do chałupy i zupkę se taką gotują na mleku.

— A za tę dzisiejszą kradzież to, uważasz, skargę się poda. Jeśli zechcesz, możesz zagodzić się...

— A to już zapogodźwa się, jaśnie panie; odrobie...

— Ee... na odróbki ja się znowu nie godzę. Dasz cztery ruble i rubla na kościół, lub pójdziesz do kryminału. Namysł się do jutra, to uważasz, jutroby się dopiero skargę podało. Bądź zdrów, mój Obala...

Wyszliśmy. Pan Alfred szybko minął podwórze i wyszedł na drogę; ja przystanąłem za wrotami, aby podsłuchać rozmowę Lalewicza z chłopem — Lalewicz bowiem został jeszcze na chwilę w stodole. Wyrzał, a dostrzegłszy, że pan Alfred daleko, odwrócił się do Obali i mówił nadzwyczaj szybko:

— Wincenty, nie bójcie się nic... przekabacę go... nic się nie bójcie... Ja tu zalecę z heblem, to wystrugamy trumienkę galento, ino pójdą do dom te jamniki. Zalecę tu, zalecę...

Wypadł tymczasem i, dogoniwszy dziedzica, dowodził mu o konieczności skarania Obali, lecz ponieważ ten Obala ma dwie morgowiny piachu

lotnego, więc to nawet żadnej kary nie będzie, dla niego, gdy pójdzie do kryminału. Kuty złodziej wyjdzie, i cała parada.

— Zobaczysz się, zobaczysz się; a zresztą nie nudź — zakonkludował wreszcie pan Alfred, i kazał gajowemu »szorować« przodem.

Wkrótce potem wchodzimy przez spróchniałe pogródkki na olbrzymią groblę kilkunastomorgowego stawu. Tam otacza nas nagle nieopisany gwar ptaków. Piszczą żałośnie w trzcinach szpaki, kraczą kurki wodne, pogwizdują bekasy, huczą bąki, kwakają ukryte stada kaczek, smutnie pośpiewują rybitwy; rytmicznie wyrzucając do lotu skrzydła, kołyszą się kulony, srokosze kują żelazo na gałązkach olszyn, a wysoko na gałęziach sosen edukują swe dzieci, obrzydliwie wrzeszcząc, wrony - matki.

Kazano mi pozostać na grobli w celu strzelania do kaczek w »lot,« pan Alfred zaś i Lalewicz, okrążywszy staw dokoła, zniknęli mi z oczu.

Zdawało mi się, że mię opuszczają siły. Położyłem się na ziemi, z zamiarem niewstawania, choćby nastąpiło trzęsienie ziemi, lub nawet przejeżdżał powóz, pełen pięknych dam. Postanowiłem patrzeć, leżąc na wznak, na niebo, na kołyszące się wierzchołki sosen i olch, patrzeć jak od środka stawu wzdyma się woda i fale, uwieńczone pianą, biegną do brzegu, by obryzgać tataraki w kształcie szabel, co przeginając

się, przykładają do wody twarze i zdają się z zachwyty drzeć od tajemniczej, ledwie dosłyszalnej melodyi chlupania fal. Czasami od silniejszego podmuchu wiatru pochylały się wysnukłe pnie sosen i stawały się podobnymi do olbrzymich, cudaczych istot.

Wysoko przelatywały z krzykiem z drzewa na drzewo wrony, a czasami krzyk ich stawał się natarczywym, jak wołanie o pomoc. Wpatrzyłem się dobrze i dostrzegłem przyczynę ich niepokoju.

Na jednej z najwyższych sosen siedział chłopak i długą tyczką spychał z gniazd młode pisklęta wron, nieumiejące jeszcze fruwać. Podniosłem się i dostrzegłem chłopaka, co siedział na ziemi i wyrzucone łapał. Co chwila czarne, obrzydliwe pisklę spada na ziemię, jak kamień. Jedne zdychają od razu, inne podnoszą jeszcze ogromne łby na niecopierzanej szyi i maszerują po trawie wcale zabawnie. Wtedy mały myśliwy dogania zbiegów, wołając:

— A kej ty idzies, fajtasiu, kej?..

Ujmuje go za skrzydło i uderza łbem o pień, lub i bez tego obrzyna mu nogi, które główny leśniczy kupuje po trzy grosze parę.

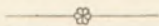
Matka - wrona miota się jak obłąkana, siada niemal na ramionach młodego śmiałka, czepia się dziobem jego kija, uczepi się gałązki tuż nad nim i bije głową jak młotem, w pień, odgryza małe gałązki i kracze zachrypłym, wysilonym,

przebrzydłym głosem rozpaczy. Gdy chłopak wyrzuci pisklę, rzuca się na ziemię z wlokącami się skrzydłami, otwiera dziób, chce krakać — głosu niema, bije więc skrzydłami i skacze oszalała, śmieszna, do nóg chłopaka, jakby pierwsza ze swego rodu zrozumiała potrzebę samobójstwa. Gdy zabiją wszystkie jej dzieci, wzlataje na drzewo, odwiedza puste gniazdo i, kręcąc się na niem wkoło, myśli nad czemś...

Położyłem się znowu na wznak. Cóż mię to obchodzi? Wiem, że tam gdzieś biją pioruny uczuć, na jakie my, ucywilizowani, mamy lekarstwo w samobójstwie...

...Pozazdrościłem Obali i wronie. Obydwoje oni szybko zapomną. Czemyby się ugasiła ich piekielna, niezgruntowana, okrutna, nieświadoma boleść, jakby przepędzili dzisiejszą noc sami w pustych swych gniazdach, gdyby nie to boskie, nie to wspaniałe, dobrotliwe, najlepsze z praw przyrody — mądre prawo zapomnienia? Dla nich »żyć« znaczy »zapomnieć« — i dobra przyroda pozwala im zapomnieć natychmiast...

Ach jakże im zazdrościłem!..



P o k u s a .

Najmłodszy z synów JW. Pani Anny Krzywosąd-Nasławskiej poświęcił się stanowi duchownemu. Od lat pacholących zdradzał niezwykle zamiłowanie do modlitwy, był cichy, pokorny, nad wyraz poważny i świętobliwy. Kształcił się w Rzymie pod okiem dalekiego kuzyna — kardynała i tam też, lat zaledwie dziewiętnaście sobie licząc, seminaryum chlubnie ukończył. Ponieważ nie mógł, dla braku lat odpowiednich, otrzymać święceń kapłańskich, przybył do kraju po raz pierwszy od lat wielu i w domu matki zamieszkał.

Umieścił się w narożnej izdebce pałacu, pustej i wilgotnej, jak cela więzienna, sypiał na ziemi, pościł bez przerwy, księgi łacińskie czytał, — podobno nawet biczował się nocami i włosienicę pod wyszarzaną sutanną kleryka nosił. Był niewysłowienie dobry, łagodny, przebaczący urazy i niecznośnie skromny.

Jeżeli siadał, to na samym brzeżku krzeselka, jak gdyby się lękał, by w chwili nastąpić mogącego wniebowzięcia o stołek sutanną nie zawadzić, — chodził na paluszkach, jakby pod podszwami sandałów miał mistyczne jakieś druci-ki, chroniące od pyłu ziemi, — przemawiał językiem niesłychanie biblijnym, unikał ludzi, szep-tał modlitwy na widok dziewcząt wiejskich...

Codziennie przed świtem opuszczał mieszka-
nie i szedł w pola. Tam najłatwiej mógł znajdo-
wać nazwy dla Stwórcy, tam ekstatyczne jego
marzenia najszersze zataczały kręgi. Ścieżką wy-
deptaną wśród niezmiernego ładu żyta, wstępo-
wał na wzgórze odległe, gdzie w cieniu sosen
kryła się leśna, napoły zmurszała kapliczka.

Dnia tego szedł, jak zwykle. Okolica zanu-
rzona była jeszcze w mroku nocy, choć na
wschodzie paliła się już liliowa wstęga brzasku.
U kolan zdziebeł żytnich wisały wielkie krople,
zmoczona była przez nie ścieżynka, schylały się
pod jej ciężarem szypułki kłosów. Zboże, słabo
oświetlone brzaskiem, jak wielka fala, rzuciło się
ku górze aż do lasu, w który wkraczało zatoka-
mi. Wisiął w powietrzu zapach ziemi i dojrze-
wającego zboża, co roznieca w człowieku poczu-
cie sił, zdrowia i młodości. Ostry, wilgotny od-
dech lasu pociągał stamtąd, z tej czarnej głębi-
ny wielkich drzew, po których szczytach rozcho-
dzić się zaczął przedświt niebieski. Kleryk szedł
wolno, nogi jego posuwały się bezwładnie, rękę

prowadził po powierzchni żyta. Z pod nóg zrywały mu się skowronki i dzierlatki i wpadały, jak kamienie, coprędzej w gąszcz zbożowy.

Brzask się w zorzę rozlewał: rósł jak płomień wielki, oświetlał szczeliny, wąwozy i załomy w czarnych chmurach, leniwo leżących nad lasem. Stuletnie świerki, wieńczące szczyt góry, wyszły z nocy niespodziewanie wielkie i wspaniałe, jak kapłany słowiańskie. Gałęzie ich sterzczały na przezroczysem tle błękitu, niby ręce wyciągnięte do słońca, które przyjdzie.

Nagle przepłynęła nad ziemią gwałtowna fala: — to podmuch wiatru, goniec świtania, zleciał z gałęzi świerkowych, zwiastując ziołom trawom, zbożom: słońce!

Zdawało się, że ziemia drgnęła, że zaczyna bić jej serce. Potem i wiatr zwinął skrzydła i zawisł w pachnącej żywicy, wikliną i zbożami przestrzeni. Nastąpiła chwila śmiertelnej ciszy, długa i dobra, nastąpiła ta tajemnicza minuta przedświtu, kiedy rośliny spalają wszystek węgiel, jaki tylko pochłonać są zdolne...

Ksieżyk miał wzrok zwrócony na zorzę. Słowa modlitwy wytaczały się z jego serca na usta, jak się wytacza żywica na skórę sosny, gdy przyjdzie wiosna. Dószedł do kapliczki, otwarł drzwi, zbite kołkami z szarych deszczulek i upadł na twarz z rozłożonemi rękami przed wizerunkiem Chrystusa, narysowanym niezgrabnie ręką prostaka.

Dusza jego uciekła, zdało się, z ziemi pod stopy Boże. Za chwilę spadną ze źrenic jego łuski ślepoty, ujrzy oblicze Przedwiecznego...

Nagle rozlega się rubaszny, brutalny prawie śpiew chłopski:

»Wtedyś mi się, wtedy Hanka, spodobała,
Jakaś się na polu, jak gąska, bielala...«

Spiewce tej odpowiedziała inna, kobieca, z daleka dochodząca:

»Nie ja się bielala, — koszulina lniana,
A tyś, Jasiu, myślał że ja malowana!...«

Młodzieniaszek podniósł się z ziemi i stanął w progu kaplicy. Zobaczył wysokiego parobczaka w koszuli, bosego, w kapeluszu słomianym, karczującego na zrębie lasu jałowce. Drab ten wydierał z ziemi kilofem korzenie, obmotywał sobie ręce gałązkami i wyciągał krzaki wraz z bryłami ziemi. Ścieszką szła dziewczyna, niosąca na plecach brzemień chwastu. Róg spódnicy zatknęła za pas, szerokie jej ramiona zbiegały się ku sobie pod ciężarem, głowę tylko, okrytą »szmata« czerwoną, podnosiła ku górze, gdzie pracował parobczak. Gdy stanęła na zakręcie ścieżki, kopacz zastąpił jej drogę, odwiązał końce płachty z jej piersi, brzemień złożył na ziemi... Odpychała go rękami, śmiejąc się.

Ksiądz zasłonił sobie dłońmi oczy, lecz po chwili ręce mu opadły na głos nowej śpiewki obojga, która odbijała się w lesie. Była to dziwna muzyka... Las, jak napięta struna, drgał i zanosił się od uderzeń tych dwu głosów.

»W ogródecku — wisienecka,
 A w sadecku dwie,
 Kochałem cię, Hanuś, zmała
 Ludziom, nie sobie,
 Dawałem ci na trzewicki,
 A tyś nie chciała,
 Bęłaś wtedyk młodziuleńka
 Niezrozumiała...«

Szli na dół, między zbożami, które sięgały do ich głów, pochylonych ku sobie. Głowy te jaskrawo odrzynały się od szarego żyta, oświetlone przez miedziany, olbrzymi puklerz słońca, które wyszło nad krawędź parowu. Szli długo, miedzami, póki ich zboże nie zakryło zupełnie.

Łzy płyną z pod zamkniętych powiek kleryka, ręce jego załamują się gwałtownie... Nieznane słowa, które nazywają po imieniu tęsknotę i błagania miłosne, cisną mu się na usta.

Mówi je do widma o łzawych oczach, o długich splotach dziewiczych włosów, które wypływa z jakiejś jaskini i spada mu na oczy. Wstaje w nim jakaś siła nieznana, nieodegnana, natrętna, potężna, potwornie słodka, i wciąga go w daleki przestwór. Dzika wolność duszy rozpe-

tała powrozy, i wrywa się jak koń młody, do rozhukanego biegu...

Po długiej chwili, w ciągu której był jak gdyby zespolony z ciszą pól i łąk, zaczął się budzić z letargu. Szmer jakiś wstrząsnął nim nagle. Obejrzał się dokoła i wzniosł oczy w górę, na błękity: pod srebrzystym obłokiem unosił się skowronek, dzwoniąc zwykłą swą piosnkę. Myśli ascety biegły za jej odgłosem, wzrok rozjaśnił się powoli, potęga wiary obejmowała nad nim utraconą władzę.

— Boże, przebacz mi, przebacz! — szeptały wybladłe usta.



S i ł a c z k a.

W nienajlepszym humorze powrócił do domu doktor Paweł Obarecki z winta, za pośrednictwem którego składał uroczyście życzenia księdzu plebanowi wraz z aptekarzem, poczciarzem i sędzią w ciągu ośmnastu godzin z rzędu. Powróciwszy, drzwi gabinetu zamknął tak szczelnie, aby się do niego nikt, nie wyłączając dwudziestoczteroletniej gospodyni, wedrzeć nie mógł,—usiadł przy stoliku i wpatrywał się przede wszystkim z uporem w okno, bez żadnego zresztą wyraźnego powodu, następnie zaś zajął się bębnieniem palcami po stole. Czuł najwyraźniej, że opanowywać go zaczyna »metafizyka...«

Wiadomą jest rzeczą, że człowiek kultury, wyrzucony przez pęd odśrodkowy niedostatku z ogniska życia umysłowego do Klwowa, Kurzwek lub, jak doktor Obarecki, do Obrzydłówka, podlega z upływem czasu, wskutek dżdżów jesiennych, braku środków komunikacyi

i absolutnej niemożności mówienia w ciągu sezonów całych — stopniowemu przeistaczaniu się w twór mięsożerno-roślinożerny, wchłaniający nadmierną ilość butelek piwa i poddany atakom nudy, osłabiającej aż do takiego stanu, jaki graniczy z usposobieniem, poprzedzającym wymioty. Zwyczajną nudę małomiasteczkową połyka się bezwiednie, jak bezwiednie zając połyka jajka tasiemca, rozproszone na trawie przez psy. Od chwili zagnieżdżenia się w organizmie bęblowca — »najzupełniej mi jest wszystko jedno« — zaczyna się właściwie proces umierania. Doktor Paweł, w epoce jego życia, o której mówię, zjedzony już był przez Okrzydlówek wraz z mózgiem, sercem i energią — zarówno potencjonalną, jak kinetyczną. Doświadczał nieprzezwykłego wstrętu do czytania, pisania oraz rachowania, mógł całymi godzinami spacerować po gabinecie lub leżeć na szezlongu choćby z niezapalonym papierosem w zębach w tęsknem, dokuczliwym i bolesnem niemal oczekiwaniu na coś, co się stać musi, na kogoś, kto musi nadejść, mówić cokolwiek, choćby kozły przewracać, w natężonem wsłuchiwaniu się w szmery i szelesty, zwiastujące przerwanie ciszy, która dławi i przygniata niejako do ziemi. Szczególniej dokuczała mu zazwyczaj jesień. W ciszy jesiennego popołudnia, zalegającej Obrzydlówek od przedmieścia do przedmieścia było coś bolesnego, coś, co poduszczało do wołania o pomoc.

Mózg, opleciony niby miękkim przedziwem pajęczyny, wypracowywał myśli czasami niesłychanie pospolite, a niejednokrotnie — stanowczo do niczego niepodobne.

Gwizdanie i dysertacje z gospodynią raz przyzwoitsze (o niesłychanej np. wyższości pieczonego prosięcia, nadzianego kaszą tatarczaną, rozumie się, bez majeranku, nad takimże prosięciem, nadzianem innemi substancjami), kiedy indziej zaś ohydnie nieprzystojne — stanowiły jedyną rozrywkę. Wytoczy się bywało, na połowę niebios chmura z potwornemi odnogami w kształcie łap tytanicznych i bury jej kłęb za wiśnie bezwładnie, nie mogąc rozwiać się w przestwór i grożąc zawaleniem się na Obrzydłówek i dalekie, puste pola. Od chmury tej leci, niesiona przez wiatr ukośnie mgła kropelek, które osiadają na szybach w postaci kryształków, sprawiając w szumie wiatru szelest odrębny a przejmujący, jakby obok, gdzieś za węglem domu łkało dziecko, dobywające resztki jęku. Daleko na miedzach stoją, pozbawione liści, samotne gruszki polne, miotają się ich gałęzie, deszcz je siecze... Myśl zbierała z tego krajobrazu smutek, w którym było coś chronicznie kataralnego — i mglisto, niejasno, bezwiednie wyczuwaną trwogę. Ten właśnie nastrój kataralno-melancholijny stał się nastrojem dominującym i rozciągał się na sezony letnie i wiosenne. Zagnieździł się w duszy doktora smutek zjadli-

wy, a nie mający żadnej podstawy. Za nim nadciągnęło lenistwo nieopisane, lenistwo zabójcze, wytrącające z rąk ofiary nawet nowelle Alexis'a.

»Metafizyka,« jakiej doktor Paweł doświadczał ostatnimi czasy raz, czasami dwa razy do roku — to kilka godzin świadomego samobadania bystro, z szaloną gwałtownością napływających wspomnień, niecierpliwego zbierania strzępów wiedzy, szamotania się, graniczącego z wściekłością szlachetnych porywów, przywalonych gliną beczynności, rozmyślań, wybuchów goryczy, postanowień niezłomnych, ślubów, zamiarów... Wszystko to, rozumie się, nie prowadziło do żadnej zmiany na lepsze i przemijało, jako pewna miara czasu mniej lub więcej dotkliwego cierpienia. Z »metafizyki« można się było wyspać, jak z bólu głowy, by wstać nazajutrz z umysłem odświeżonym, energiczniejszym i uzdolnionym lepiej do podjęcia zwyczajnego jarzma nudów, oraz zużywania wszystkiej energii mózgu na wymyślanie najsmaczniejszego jadła. Endemia »metafizyki« wskazywała jednak naszemu doktorowi, że w jego egzystencji roślinnej, najeźdzonej, niejako nasyconej filozofią mocnego, zdrowego rozsądku, kryje się jakaś rana nieuleczalna, niewidoczna, a dolegająca nad wyraz, niby ranka nad próchniejącą kością.

Doktor Obarecki przybył do Obrzydłówka przed sześcioma laty, zaraz po ukończeniu stu-

dyów, z umysłem rozwidnionym zorzą niewiele wprawdzie, ale nadzwyczajnie pożytecznych myśli, tudzież z kilkoma rublami w kieszeni. Mówiono podówczas bez przerwy o konieczności osiedlania się w lasach i Obrzydłówkach. Posłuchał apostołów. Był śmiały, młody, szlachetny i energiczny. W pierwszym zaraz po osiedleniu się miesiącu wydał niebacznie wojnę aptekarzowi i felczerom miejscowym, uzdrawiającym za pomocą środków, wkraczających w dziedzinę misteryi. Aptekarz obrzydłowski, »eksploatując sytuację« (do najbliższej, apteką przez cywilizację obdarzonej, miejscowości było mil pięć) — nakładał haracz na jednostki, pragnące powrócić do zdrowia dzięki jego olejom, — balwierze zaś wybudowali, trzymając się z farmaceutą za ręce, wspaniałe domostwa; w *kacabajach*, niedźwiadkami podbitych, chadzali, zachowując na obliczach wyraz takiej powagi, jak gdyby w każdej chwili żywota prowadzili księdza plebana na procesyi Bożego Ciała.

Gdy delikatne i oględne perswazyje, skierowane do farmaceuty, a wypowiedane patetycznie z rozmaitych »punktów widzenia,« traktowane były, jako idylle młodzieńcze i skutku żadnego nie odniosły, — doktor Obarecki, uzbierawszy nieco grosza, kupił apteczkę podręczną i zabierał ją ze sobą, jadąc do chorych na wieś. Sam przygotowywał na miejscu lekarstwa, udzielał ich za bezcen, jeżeli nie za darmo, uczył hy-

gieny, badał, pracował z fanatyzmem, z uporem, bez snu i odpoczynku. Rzecz prosta, że natychmiast po rozejściu się wieści o apteczkach przenośnych, udzielaniu pomocy za darmo i tym podobnych punktach widzenia — wybito mu wszystkie szyby, jakie istniały w ubogim mieszkaniu. Ponieważ zaś Boruch Pokoik, jedyny szklarz w Obrzydłówku, odprawiał w owym czasie święto Kuczek, — trzeba było okna wykleić bibułą i czuwać nocą z rewolwerem w prawicy. Wprawione wreszcie szyby wybito powtórnie i wybijano je odtąd peryodycznie, aż do chwili sprawienia dębowych okiennic. Rozpuszczono między ludnością miasteczka wieść, jakoby młody doktor obcował z duchami ciemności, oczerniono go w opinii inteligencji okolicznej, jako niesłychanego nieuka, odciągano przemocą chorych, zmierzających do jego mieszkania, wyprawiano w majowe wieczory kocie muzyki i t. p. Młody doktor nie zwracał na to wszystko uwagi, ufając w zwycięstwo prawdy. Zwycięstwo prawdy nie nastąpiło. Nie wiadomo dlaczego... Już po upływie roku doktor poczuł, że jego energia staje się zwolna »dziedzictwem robaków«. Zetknięcie blizkie z ciemną masą ludu rozczarowało go nad wyraz: jego prośby, namowy, istne prelekcyje z zakresu higieny upadały, jak ziarna na opokę. Robił, co tylko mógł — napróżno! Szczerze mówiąc — trudno nawet wymagać, aby człowiek, nie mający butów na zimę, wy-

grzebujący w marcu z cudzych pól zgniłe, zeszlóroczne kartofle w celu czynienia sobie z nich podpłomyków, mielący na przednówku korę oliszową na mąkę, aby tej domieszać do zbyt szczupłej miary mąki żytniej, gotujący kaszę z niedojrzałego ziarna, nabranego o świcie »sposobem kradzionym,« — mógł zreformować w sensie dodatnim zaniedbane zdrowie swoje pod wpływem choćby najzrozumialej wyłożonych praw zdrowotności. Nieznaczenie doktorowi zaczęło być »wszystko jedno...« Jedzą zgniłe kartofle — cóż począć? — niechaj jedzą, jeżeli im smakują. Mogą nawet jadać surowe — to trudno...

Ludność żydowska miasteczka leczyła się u marzyciela, ponieważ nie odstraszały jej duchy ciemności, a zachęcała nadzwyczajna taniaść »medycyny.«

Pewnego pięknego poranku doktor skonstatował, że ów płomyczek nad jego głową, z którym tu przyszedł i którym chciał rozwidnić drożynę swoją — zgasł. Zgasł sam przez się: wypalił się. Wówczas apteczka podręczna została na klucz do szafy zamknięta i doktor sam jedynie z niej korzystał.

Co za męczarnia jednak dać się pokonać farmaceutyce i balwierzom, ustać, zakończyć wojny obrzydłowskie zamknięciem apteczki do szafy!

Zwycięzcami mają prawo się okrzyknąć i zbierać łupy, lecz nie oni go pokonali: sam się pokonał. Zadusił proste i wysokie myśli i uczyn-

ki, może dlatego, że się w jadło zbyt znacznie wdawać zaczął — dość, że zadusił. Coś tam jeszcze robił, leczyl myśląc, — nie miał już jednak nikt z całej jego ówczesnej »działalności« za pół papierosa pożytku.

W okolicznych siedzibach pańskich przemieszkiwali dziwnym zbiegiem okoliczności sami troglodyci »z dziada pradziada,« którzy doktorów wogóle traktowali w sposób cokolwiek niewspółczesny. Jednemu z nich złożył doktor Paweł wizytę, co było pomysłem chybionym, ponieważ troglodyta przyjął go u siebie w gabinecie, siedział podczas wizyty w kamizelce i jadł spokojnie szynkę, krając ją scyzorykiem. Doktor poczuł w sobie napływ ducha demokratyzmu, powiedział półhrabi coś cierpkiego i nie składał więcej wizyt w okolicy.

Pozostał tedy do wymiany myśli ksiądz proboszcz i sędzia. Obcować jednak zbyt często z plebanem — markotnie jest nieco; sędzia zaś był człowiekiem, mówiącym rzeczy, których zupełnie nie można było pojąć, — pozostała tedy właściwie samotność. Aby uniknąć złych następstw absolutnego przebywania z samym sobą, usiłował zbliżyć się do przyrody, odzyskać spokój, harmonię wewnętrzną ducha, poczucie siły i odwagi, wynalazłszy te żelazne ogniwa, jakie człowieka zespalają z przyrodą. Żadnych jednak ogniw żelaznych nie odnalazł, pomimo, że błąkał się po polach, docierał nawet do poręb

w lesie i zagrzął pewnego razu w bagnie na pastwisku.

Płaski krajobraz otaczało zewsząd sinawe pasmo lasu. Bliżej na wydmuchach szarego piasku rosły samotne chojaki, a naokół ciągnęły się, nie wiedząc do kogo należące zagony. Pastwiska, porośłe »kozicą« i żółtawymi trawami, umierającymi przedwcześnie, jakby do rozwoju gałązek zieleni w ich pędach zabrakło światła — stanowiły jedyne upiększenie Obrzydłówka. Zdawało się, że słońce oświetla to pustkowie po to jedynie, aby okazać jego bezpłodność, nagość i posepność,...

Brzegiem drogi, okrytej brudnym piaskiem, porytej wybojami i wygradzonej ruinami płotu, włókł się codziennie biedny doktor z parasolem... Droga ta nie prowadziła, zdawało się, do żadnych osad ludzkich, rozszczepiała się bowiem wśród pastwiska na kilkanaście ścieżek i ginęła między kretowiskami. Zjawiała się znowu dopiero na szczycie wydmy piaszczystej w postaci dwu trójkątnych wyżłobień w piasku i szła w las karłowatych sosenek.

Jakaś niecierpliwa złość ogarniała doktora, gdy patrzył na ten krajobraz i pożerała mu spokój nieokreślona obawa...

Lata upływały. Zarządzono z inicjatywy księdza plebana zgodę między aptekarzem a doktorem, gdy skonstatowano dodatnie zjawisko »ochłonięcia« tego ostatniego. Antagoniści zaczęli od-

tań wspólnie »orać« w wincie, choć doktor z obrzydzeniem zawsze patrzył na farmaceutę. Stopniowo i obrzydzenie nieco się zmniejszyło. Zaczął chodzić z wizytą do aptekarza i emablować jego żonę. Pewnego razu przeraził się nawet wynikiem analizy własnego serca, która okazała, że zdolnym jest do platonicznego rozmiłowania się w pani aptekarzowej, damie, tępej umysłowo jak siekiera do rąbania cukru, gotowej dać się ukrzyżować za przekonanie zupełnie nawet bezzasadne, że jest wiotką, powabną i niebezpieczną i opowiadającej z przedziwnym zapałem, a bez przerwy o grzechach głównych swojej pokojówki. Słuchał doktor Paweł całymi godzinami wy-mowy pani Anieli, zachowując na obliczu uśmiech mdło uprzejmy, taki właśnie uśmiech, jaki oglądać można na ustach młodzieńca, emablującego grono pięknych dam w chwili, gdy mu najstraszliwiej dokucza ból zębów.

Do czynów bohaterskich w zakresie demokratyzacyi w Obrzydłówku pojęć, choćby w imię znośniejszego przepędzania czasu, nie był już zdolnym. Za żadną cenę nie byłby składał wizyt rzeźnikom, jak to zamierzał swojego czasu; jeżeli mógł rozmawiać, to jedynie z ludźmi, będącymi w jakiej takiej kulturze.

Wówczas to nietylko już energia ulegała zniszczeniu, — znikło i poszanowanie dla wszelkiej myśli szerszej. Z wielkich widnokręgów, le-dwie dających się zmierzyć rozmarzonemi oczy-

ma, został widnokrąg tak dalece mały, że można go było zakreślić końcem modnego kamaszka. Na rozbrzmiewające po artykułach szukanie »prawdy jasnego promienia i nowych, nieodkrytych dróg« zapatrywał się w początkach umiærania z goryczą, żalem, zawiścią, następnie — z ostrożnością człowieka, mającego pewien zasób doświadczenia, później z niedowierzaniem, wkrótce potem z półuśmiechem, potem ze zdecydowanym lekceważeniem, a koniec końców nie zapatrywał się wcale, ponieważ było mu najzupełniej wszystko jedno. Leczył według wskazówek rutyny, praktykę jaką taką wyrobić sobie zdołał, przywykł jakoś do Obrzydłówka, do samotności, do nudy nawet, do prosiat pieczonych i nie kwapił się bynajmniej do ogniska życia umysłowego.

Zasadą, do której, niby do wspólnego mianownika, sprowadzały się czyny i myśli doktora Obareckiego, stała się ta: — dawajcie pieniądze i wynoście się...

A jednak w chwili, gdy siedział po powrocie z imienin księdza proboszcza, zajęty bębnieniem palcami po stole, »metafizyka« opanowywała go z dawną siłą. Już podczas jakiejś szesnastej godziny wintowej doktor czuł się niedobrze. Wywołał to aptekarz znowu, który zaczął ni z tego ni z owego studyować historię powszechną Cezara Cantu (w przekładzie Leona Rogalskiego), i, wyrobiwszy w sobie bardzo radykalny pogląd

na działalność Aleksandra VI-go, w bezwyznaniowość jakoby popadł.

Doktór Obarecki wiedział aż nadto dobrze, dlaczego farmaceuta dysputami destrukcyjnymi rozbiewia księdza proboszcza; przeczuwał, że są to preludya do zbliżenia się, zaprzyjaźnienia na mocy jedności poglądów... Przeczuwał, że odwiedzi go kiedykolwiek, będzie, zdaleka zachodząc, wskazywał umiejętnie na brak kapitału, źródło »stagnacyi,« a zniżywszy loty do spraw obrzydłowskich, wykaże, ileby oni dwaj. trzymając się za ręce, korzyści społeczeństwu przynieśli: jeden pisaniem recept na łokcie, drugi eksploataowaniem sytuacji... Kto wie — może proponuje szczerze i otwarcie, »nóżki kładąc na stół,« założenie czysto wekslowej spółki, której celem będzie wspólne maszerowanie w tonie gnojówki. Przeczuwał także doktor, że nie będzie miał siły do zakończenia propozycji aptekarsowych nakręcaniem mu z lekka kości policzkowej, ponieważ nie wiedzieć w imię czego kość tę nakręcać... Przypuszczał nawet, że spółka ta stanie, — któż wie... Gorycz zalała mu serce. Co się stało, jakim sposobem aż dotąd zaszedł, dlaczego nie wyrывa się z tego błota, czemu jest leniuchem, marzycielem, refleksyonistą, psowaczem własnych myśli, karykaturą wstrętną samego siebie?..

I zaczęło się, podczas wpatrywania się w okno, nadzwyczajnie szczegółowe, pilne, badawcze, bez-

litosne i subtelne oglądanie własnej bezsilności. Śnieg padał wielkimi płatkami, przesłaniając smutny krajobraz zimowy mgłą i zmrokiem.

Chimeryczną a bezpłodną gonitwę myśli przerwały nagle wykrzykniki gospodyni, usiłującej przekonać kogoś, że doktora w domu niema. Doktor jednak wyszedł do kuchni, aby rozerwać pasmo męczących go myśli.

Ogromny chłop w żółtym kożuchu zmiótł »wściekłą czapą« pył z pod jego nóg w głębokim pokłonie, odgarnął pięścią włosy z czoła, wyprostował się i zamierzał rozpocząć oracyę.

— Czego? — zapytał doktor.

— A to, wielmożny doktorze, sołtys mię tu przysłał...

— Po co?

— A po wielmożnego doktora.

— Kto chory?

— Nauczycielka ta u nas we wsi zachorzała, sparło ją coś. Przyszedł sołtys... jedźcie, pada Ignacy, do Obrzydłówka po wielmożnego doktora, może, pada... .

— Pojadę. Konie dobre?

— A konie ta, jak konie: śwarne gady.

Podobała się doktorowi myśl jazdy, zmęczenia się, choćby nawet niebezpieczeństwa. Wdział z nagłym ożywieniem grube buty, kożuszek, futro, którem możnaby było otulić wiatrak, pasem się opasał i wyszedł przed dom. »Gady« chłopskie nie wielkie były, ale okrągłe, wypa-

sione, — wasąg olbrzymi na saniach, słomą wyładowany i okryty kilimkiem. Zanurzył się w słomę, otulił, — chłop przysiadł bokiem na przednim siedzeniu, odmotał parciane lejce z kłonicy, konie zaciał. Pomknęli.

— Daleko to? — zagadnął doktor.

— Będzie ta może ze trzy mile, może niema...

— Nie zbłądzisz?

Chłop obejrzał się z uśmiechem ironicznym.

— Któż... ja?

Wiatr dał w połu przejmujący; niekute, ukośne, ledwo ociosane siekierą sanice wrzynały się w głęboki, świeżo spadły śnieg, odwracając na bok białe jego skiby. Drogę zaniósło.

Chłop »wściekłą czapę« na bok przechylił i zaciał konie. Doktor czuł się dobrze. Minąwszy lasek, który zdawał się tonąć w śniegu, wyjechali na pusty, bezludny przestwór, oprawny w ramy lasu, ledwie widzianego na krańcu widnokregu. Zmrok zapadał, powlekając ten nagi i surowy obraz pustkowiecia niebieskawym kolo-rytem, który ciemniał nad lasem. Grudki zbitego śniegu, wyrzucane kopytami koni, przelatywały koło uszu doktora. Nie wiedzieć czemu chciało mu się stanąć na saniach i wołać po chłopsku, z całych sił, w ten głuchy, niemy, nieskończony przestwór, urzekający ogromem, jak przepaść. Nachylała się szybko noc dzika i ponura, noc pól niezamieszkaných.

Wiatr się wzmógł, dał jednostajnie z hukiem, przechodzącym od czasu do czasu w głucho *largo*; śnieg zaciął z boku.

— Strzeżcie drogi, gospodarzu, bo może być źle — zauważył doktor, kryjąc nos w futro.

— A no, maluśkie! — wrzasnął chłop na konie, zamiast odpowiedzi.

Głos ten ledwo już można było dosłyszeć w wichrze. Konie biegły w cwał.

Zamieć rozszalała się nagle. Bałwanami miała się począł wicher, uderzał w sanie, skowyczał między sanicami, tłumił oddech. Słychać było parskanie koni, lecz ani ich, ani furmana doktor nie mógł dostrzedz. Kłęby śniegu, zdzierane z ziemi przez wiatr, leciały jak stado koni, i słychać było niby tentent ich tytanicznych skoków; chwilami wywierało się z ziemi piekło huku i szła ta melodia uderzać wszystką potęgą tonów w chmury, łamać je i upadać nagle z łoskotem. Wtedy rozpryskało się w puch posłanie śniegowe i otaczało podróżnych naszych wirującymi słupami. Wydawało się, że jakieś potwory zataczają w szalonym tańcu olbrzymie koła, że doganiają z tyłu, zabiegają z przodu, z boku i sypią po szczypcie śniegu na sanie. Gdzieś, najwyżej, w zenicie uderzał niby wielki, rozkołysany dzwon przeciągle, głucho, jednostajnie.

Doktor poczuł, że nie jada już po drodze; sanie posuwały się zwolna, uderzając końcami sanic o grzbiety zagonów.

— Gospodarzu! — zawołał z trwogą, — a gdzie my jesteśmy?

— Jadę polem do lasu — odpowiedział chłop; w lesie ciszej będzie... pod samą wieś lasem zajedziemy...

Rzeczywiście wiatr wkrótce ucichł, i dawał się słyszeć tylko huk podniebny i trzask łamiących się gałęzi. Na czarnem tle nocy majaczyły osypane śniegiem drzewa. Prędzej jechać nie można było, drożyna bowiem leśna, zawałona zaspami, przeciskała się wśród pniaków i gałęzi. Nareszcie po upływie jakiejś godziny, podczas której doktor szczerze namartwił się i naoba-
wiał, dały się słyszeć powtarzające się głuchoe odgłosy: — psy czekały.

— Nasza wieś, wielmożny panie...

Zamigotały światełka w oddali, podobne do chwiejących się w różne strony punkcików, dym zapachniał.

— Nuże, małe! — zawołał wesoło na konie woźnica, rozgrzewając się za pomocą obijania boków pięściami.

Za chwilę mijali pędem szereg chat, do strzech zasypanych śniegiem. Na tle szyb zamarzniętych okien, od których padały na drogę kręgi światła, rysowały się cienie głów.

— Wieczerzę ludzie jedzą... — bez żadnej potrzeby zauważył chłop, przypominając doktorowi czas »wieczerzy,« której spożywać dnia tego nie miał nadziei.

Zatrzymały się konie przed jakimś domostwem; chłop wprowadził doktora Pawła do sieni i znikł. Namacawszy klamkę, doktor wszedł do małej nędznej izby, oświetlonej kagankiem naftowym.

Zgrzybiała i zgarbiona, jak rączka parasola, kobiecina zerwała się, ujrawszy go, z łóżka, poprawiła chustkę na głowie i jęła mrugać powiekami, a wytrzeszczać czerwone oczy ze złe tajonem przerażeniem.

— Gdzie chora? — spytał. — Samowar macie?

Stara w przerażeniu swem do słowa przyjść nie mogła.

— Samowar macie, herbaty możecie mi zrobić?

— Jest ten ta samowar... jeno cukru...

— Masz tobie! cukru niema?

— A niema... chybaby Walkowa mieli, bo to panienka...

— Gdzież ta wasza panienka?

— A dy w stancyi nieboga leży.

— Dawno chora?

— Pokłada się to ta już ze dwie niedziele, a teraz ani ręką, ani nogą. Ścisnęło i pokój.

Uchyliła drzwi do izby sąsiedniej.

— Zaraz! ogrzać się muszę, — zawołał gniewnie doktor, zdejmując futro.

Ogrzać się w tej norze nie było trudno: z pieca rozchodziło się takie gorąco, że doktor co prędzej wsunął się do pokoju »panienki.«

Małą tę i nadzwyczajnie ubogą izdebkę oświetlała lampa przyćmiona, stojąca na stole obok wezglowia chorej. Rysów twarzy nauczycielki nie można było rozeznąć, gdyż padał na nie cień jakiejś dużej księgi. Doktor zbliżył się ostrożnie, lampę rozświetlił, usunął książkę i przyglądać się zaczął pacjentce. Była to młoda dziewczyna, pogrążona we śnie gorączkowym. Szkarłatem powleczone była jej twarz, szyja, ręce, — na tle tem znać było jakąś wysypkę. Jasno-popielate, niezmiernie bujne włosy leżały poplątanemi pasmami na poduszce, wiły się na twarzy. Ręce bezwiednie i niecierpliwie szarpały kołdrę.

Doktor Paweł pochylił się aż do samej twarzy chorej i zaczął nagle mówić głosem, który przecinało i dusiło przerażenie:

— Panno Stanisławo, panno Stanisławo, panno Stanisławo...

Chora leniwie i z wysiłkiem dźwignęła powieki, lecz zamknęła je natychmiast. Przeciagała się, przesuwając głowę od jednego końca poduszki do drugiego i jakoś cicho, boleśnie, głucho jęczała. Co chwila otwierała usta z wysiłkiem, jak karp, połykając powietrze.

Doktor powiódł oczami po nagich, wapnem wybielonych ścianach izby, dostrzegł okno źle opatrzone, przemokłe i zeschnięte trzewiki chorej, — stosy książek leżące wszędzie: na ziemi, na stoliku, na szafce...

— Ach ty, szalona, ty, głupia! — szeptał, załamując ręce.

Gorączkowo, z trwogą i żalem zaczął ją badać, mierzył drżącymi rękami temperaturę.

— Tyfus... — wyszeptał, blednąc.

Z wściekłością ścisnął sobie gardło, w którym dławili go, niby zwitki pakuł, łyzy nie zdolne wypłynąć. Widział, że nic jej nie pomoże, nic nie może pomódz, — roześmiał się nagle, wspomniawszy, że po taką chininę lub antypirynę trzeba posyłać do Obrzydłówek... trzy mile. Panna Stanisława otwierała od czasu do czasu oczy szklane, bezmyślne, podobne do zastygłego pod powiekami płynu i patrzyła, nic nie widząc przez długie, koliste rzęsy. Wołał na nią najczulszemi nazwami, unosił jej głowę, słabo trzymającą się na szyi — nadarmo.

Usiadł bezwładnie na stołku i wpatrywał się w płomień lampy. Oto nieszczęście, jak wróg śmiertelny, zadało mu ślepy cios i wlecze teraz bezsilnego do jakiejś mroczonej pieczary, do jakiejś szczeliny bez dna...

— Co począć? — szeptał, drżąc.

Przez szpary okna wdzierał się chłód burzy zimowej i przechodził przez izbę. jak widmo złowieszcze. Zdawało się doktorowi, że go ktoś dotyka, że prócz niego i chorej, jest w izbie ktoś trzeci...

Wyszedł do kuchenki i zakrzyknął na służącą, aby mu wołała natychmiast sołtysa.

Stara wdziała co tchu olbrzymie buty, okryła głowę »zapaską« i, zabawnie podskakując, znikła. Wkrótce potem zjawił się sołtys.

— Słuchajcie, nie znajdziecie mi człowieka, któryby pojechał do Obrzydłówka?

— Teraz, panie doktorze, nie pojedzie... zawieja. Na śmierć pojedzie... Psa ciężko wygnać.

— Ja zapłacę, wynagrodzę.

— Nie wiem ja... przepytam się.

Wyszedł. Doktor Paweł ścisnął skronie, które zdawał się rozsadzać napływ krwi. Przysiadł na skrzynce i o czemś dawnem, dalekiem myślał.

Dały się wkrótce słyszeć kroki: sołtys prowadził parobczaka w kozuszyne przedartej, nie dosięgającej mu do kolan, w zgrzebnych spodniach, kiepskich butach i czerwonym szaliku na szyi.

— Ten? — zapytał doktor.

— Powiada, że pojedzie... śmiałek. Ja konia mogę dać, ale gdzież to w taki czas...

— Słuchaj, jeśli wrócisz za sześć godzin, dostaniesz ode mnie dwadzieścia pięć, trzydzieści rubli, dostaniesz... co chcesz...: słyszysz?

Chłopaczyna popatrzył na doktora, — miał zamiar coś powiedzieć, ale się powstrzymał. Utaął nos palcami, bokiem się odwrócił i czekał. Doktor powrócił do stolika nauczycielki i zaczął pisać. Ręce mu się trzęsły i skakały co chwila do skroni. Kombinował, pisał, przekreślał, darł papier. Wystosował list do aptekarza, prosząc,

aby natychmiast wysłać konie do miasta powiatowego po tamtejszego lekarza, prosił o wysłanie mu chininy; nachylał się nad chorą, badał ją jeszcze. Wyszedł wreszcie do kuchni i wręczył list chłopakowi.

— Mój bracie, — mówił jakimś nieswoim, dziwnym głosem, kładąc ręce na ramionach wyrostka i wstrząsając nim, — co koń skoczy, co tchu... Słyszysz, mój bracie!..

Chłopiec skłonił mu się do nóg i wyszedł z sołtysem.

— Ta nauczycielka dawno tu u was we wsi siedzi?.. — zagadnął doktor Paweł babinę, przytuloną do komina.

— Trzy zimy!.. jakoś bodaj.

— Trzy zimy. Nikt tu z nią nie mieszkał?

— A któż ta miał... ja jeno. Przygarnęło mię chudziatko... służby, powiada, już nie znajdziecie, babko, a u mnie ta roboty nie wiele... aby ta aby... Teraz masz: com sobie obiecowąła, że mi trumnę sprawi, to ja... módl się za nami grzesznemi...

Zaczęła niespodziewanie szeptać modlitwę, odcinając wyraz od wyrazu i poruszając wargami jak wielbłąd. Głowa jej się trzęsła, zmarszczkami wlewały się łzy do ust bezzębnych.

— Dobra była...

»Babka« zaczęła chlipać śmiesznie i machać rękami, jakby pragnęła doktora od siebie odegnać. Wszedł do pokoju i zaczął na palcach

chodzić po swojemu, dokoła... chodził, chodził... Zatrzymywał się od czasu do czasu przy łóżku i z gniewem, od którego bieleły mu wargi i wyszczerzyły się zęby, mówił do chorej:

— Niemądra byłaś! Tak żyć nietylko nie można, ale i nie warto. Z życia nie zrobisz jakiegoś jednego spełnienia obowiązku: zjedzą cię idyoci, odprowadzą na powrozie do stada, a jeśli się im oprzesz w imię swych głupich złudzeń, to cię śmierć zabije najpierwszą, boś za piękna, zbyt ukochana...

Jak płomień suche drewno, obejmowało go dawne, przeżyte, zapomniane uczucie; zjawiało się... porywające jak niegdyś i zabójczo słodkie. Wmawiał w siebie, że nigdy o niej nie zapomni, że do tej chwili ją uwielbiał i pamiętał... Przypatrywał się tej twarzy znajomej z jakąś nienasyconą ciekawością i cichy, przeszywający ból wjadał mu się w serce. Trzy lata tu mieszkała obok niego, — dowiaduje się o tem, gdy mu umiera...

Wszystko, co go spotykało tego dnia, wydawało mu się, jako dalszy ciąg udręczeń przymusowo-borsuczego istnienia. Jednocześnie rozchyłał się jakiś tajemniczy horyzont, jakiś ocean, ginący we mgłach. Po nerwach jego, aż do najdalszych ich gałązeczek ściekały zimne dreszcze. Miotał się, jak śliz na błotnistem dnie strumienia wychowany, gdy go zanurzyć w wodzie morskiej...

To też całym wysiłkiem rozpaczliwej niecierpliwości uchwycił się wspomnień, uciekł w nie przed nieznośną rzeczywistością, zatonął, jak w obłoku mgły czerwcowego przedświt.

Za jakąkolwiek cenę pragnął być choćby przez chwilę sam, aby myśleć, myśleć...

Z pokoju nauczycielki wszedł przez małe drzwiczki do dużej izby, zastawionej ławkami i stolikami. Tam usiadł w ciemności i niby skupiając ducha, niby obmyślając środki ratunku, zaczął wspominać. Oto, co sobie przypomniał:

Jest ubogim studentem czwartego kursu. Idzie w poranek zimowy do szpitala, tak misternie stawiając nogi, by nie wszyscy przynajmniej widzieli, iż dziury w podeszwach tekturą umiejętnie są pozatykane. Paltocik ma ciasny, jak kaftan waryata, wytarty tak dalece, że żyd letnią porą ośmiu zań złotych dać nie chciał. Bieda nastraja go pesymistycznie, wtrąca w jakiś stan ciągłego smutku, który jest czemś nieskończenie większem, niż nuda przykra, lecz daleko mniejszem, niż cierpienie. Można się z tego obudzić natychmiast: dość jest wypić kilka szklanek herbaty, zjeść befszytk, — lecz herbaty nie pił i obiadu prawdopodobnie jeść nie będzie. Biegnie niemal po brunatnem błocie z ulicy Długiej, aby o trzy kwadransy na dziewiątą wchodzić w bramę ogrodu Saskiego. Tam spotka panienkę, przejdzie obok niej, przyjrzy się ciężkiemu, długiemu, jasno - popielatemu jej warkoczowi... Ona

nie podniesie oczu, zmarszczy brwi, podobne do prostych a wązkich skrzydełek jakiegoś ptaka.

Spotykał ją wówczas w tem samym miejscu codziennie. Szła szybko na Krakowskie-Przedmieście, wsiadała do tramwaju i jechała na Pragę. Nie miała więcej nad siedmnaście lat, a wyglądała, jak stare pannisko, w baszłyku, zarzuconym niedbale na futrzaną czapkę, w kaloszach za dużych trochę na jej małe nogi, w niezgrabnej i niemodnej salopce. Niosła zawsze pod pachą jakieś kajety, arkusze zapisane, książki, mapy. Raz jeden, czując się w posiadaniu kilku dziesiątek przeznaczonych na obiad, postanowił zbadać, dokąd ona jeździ. Puścił się wtedy w pogoń, wsiadł do tego samego, dziesięciogroszowego przedziału, lecz zaraz po zajęciu miejsca stracił całą odwagę. Nieznajoma zmierzyła go wzrokiem tak okropnej pogardy, że niezwłocznie wyskoczył z tramwaju, tracąc tym sposobem wazkę rosołu i nic nie wskórawszy.

Nie czuł jednak do niej żalu, — tem wyżej, dalej się wzniosła. Myślał o niej pomimo woli, bezwiednie, bez przerwy. W ciągu całych godzin usiłował przypomnieć sobie, uprzytomnić jej włosy, oczy, usta o kolorze torebek owocu dzikiej róży — i wysilał pamięć nadaremnie.

Zaledwie mu znikła z oczu, znikają z pamięci jej rysy, — zostawało natomiast natrętne widmo, podobne do białego obłoku o niejasnych rysach, które szło przed nim gdzieś górą. Obłok

ten goniły jego myśli z tęskną i pokorną bojaźnią, z odrobiną nieuchwytnego żalu, ze smutkiem i nieodegnaną sympatyą. Szedł co rano, aby żywą dziewczynkę ze swem widmem porównywać. I wydawała mu się ta żywa piękniejszą, napawały go jakimś strachem jej kryniczne i mądre oczy...

Podówczas jeden z jego kolegów, tak zwany »Ruch w przestrzeni,« wielki »społecznik,« zaczynający wiecznie pisać wstępne artykuły, których dokończyć nie pozwalał mu brak potrzebnych po temu książek, nagle i niespodziewanie »wziął« i ożenił się z ubogą, jak mysz kościelna, emancypantką.

Żona wniosła »Ruchowi« w posagu stary dywan, dwa rondelki, gipsowy posąg Mickiewicza i kilkanaście nagród gimnazyalnych. Młodzi małżonkowie zamieszkali na czwartem piętrze i zaczęli zaraz po ślubie głodem przymierać. Udzielali oboje korepetycyi z takim zapalem, że rozbiegłszy się rano, spotykali się dopiero wieczorem. Dom ich jednak stał się punktem, do którego zmierzał wieczorem każdy »społecznik« w zabłoconych sandałach, aby się wysiedzieć na fotelu, napalić cudzych papierosów, nagadać do ochrypięcia i wydać ostatnie kilka groszy na składkę, za którą uprzejma gospodyni kupowała bułki i serdelki, układała artystycznie na talerzyku i częstowała gościnnie. Można się tam było zawsze z kimś spotkać, zaznajomić z nieznanymi

do owej pory wielkimi ludźmi, z koleżankami gospodyni, a niejednokrotnie można było nawet pożyczyć czterdzieści groszy. Jakże pobladł Obarecki z radości, gdy wchodząc pewnego wieczora do tak zwanego salonu, ujrzał ukochaną swoją panienkę w gronie koleżanek! Rozmawiał z nią i aż do nieprzyzwoitości tracił przytomność... Wracając tego wieczora do domu, pragnął być sam — nie marzyć, ani myśleć, tylko być z nią całą duszą, wszystką ją mieć w oczach, w uszach mieć dźwięk jej głosu, tak myśleć, jak ona, zamknąć powieki i niechaj idą pod niemi te obrazy, które wydzierają się z serca. Pamiętał jej oczy przedziwne, posępne a miłosierne, łagodne i tajemniczo myślące, w których przerażała jakaś głęбина. Doznawał uczucia radości i spokoju, jakby po skwarnej i dręczącej podróży doszedł do czystego stoku, ukrytego w cieniu sosen na wyżynie górskiej.

Otaczano ją szacunkiem, przywiązywano szczególną wagę do jej słów. »Ruch,« przedstawiając Obareckiego nieznajomej, wydeklamował poważnie:

— Obarecki, refleksyonista, marzyciel, wielki leniuch, zresztą przyszła sława; panna Stanisława Bozowska, nasza »darwinistka...«

»Wielki leniuch« dowiedział się o »darwinistce« nie wiele: ukończyła gimnazjum, dawała lekcyjne, miała zamiar jechać do Zurychu czy Paryża na medycynę, nie miała grosza prz duszy...

Spotykali się odtąd w »salonie« często. Panna Stanisława przynosiła pod salopką funt cukru, jakiś zimny kotlet w papierze, kilka bułek; Obarecki nic nie przynosił, ponieważ nic nie miał, pożerał za to bułki i pożerał oczami »daruwinistkę.« Raz nawet, odprowadzając ukochaną do domu, oświadczył się o jej rękę. Roześmiała się serdecznie i pożegnała go przyjacielskiem uściśnieniem ręki. Wkrótce potem znikła; wyjechała do guberni Podolskiej, jako nauczycielka, do jakiegoś wielkopańskiego »domu.«

Spotyka ją teraz oto w tym zapadłym kącie, w tej wsi, ukrytej w lasach, zamieszkaanej przez chłopów samych, gdzie niema dworu, gdzie niema żywego ducha... Sama tu żyła w tej puszczy. Teraz umiera... zapomniana...

Wszystkie dawne zachwyty, niespełnione sny i pragnienia zrywają się nagle i biją w niego, jak porywy wichru. Serce ściska mu ból chorobliwy i jad namiętności wsącza się nieznacznie w krew wzburzoną. Powrócił na palcach do łóżka chorej, oparł łokcie na jego poręczy i nasycał się widokiem nagich ramion, które cudownymi liniami kojarzyły się z zarysem piersi i szyi. Panienska spała. Na skroniach jej nabrzmiały żyły, z zagiętych ku dołowi kątów ust sączyła się ślina, gorąco od niej biło, powietrze wpadało do ust z głośnym świstem. Doktor Paweł usiadł obok niej na krawędzi łóżka, pieścił rękami miękkie końce promieni włosów, głaskał się nie-

mi po twarzy, dotykał ich wargami z wydzierającym mu się z piersi szlochaniem.

— Stasiu, Stachno... kochanko... — szeptał cicho, aby jej nie obudzić, — nie ucieczesz mi już... prawda? nigdy... moją będziesz na zawsze... słyszysz... na wieki...

Usiadł potem obok wezgłowia chorej, na stołku i zapadł znowu w marzenia. Bujna młodość zbudziła się w nim z letargu. Wszystko teraz będzie inaczej. Czuje w sobie siłę atlety do pełnienia uczynków, które z serca płyną. Bolesć i nadzieja mieszają się, jakby w płomień, który liże mózg, trawi go, nie da mu spocząć.

Noc mijała. Godziny upływały leniwo, lecz upłynęło ich już od wyjazdu posłańca więcej niż sześć. Była czwarta po północy. Doktor zaczął nasłuchiwać, zrywał się za każdym szelestem. Co chwila zdawało mu się, że ktoś idzie, że otwiera drzwi, że stuka w okno... Wsłuchiwał się całym niemal organizmem. Wiatr huczał, szyber w piecu kołatał — zresztą cisza znowu. I biegną minuty, trwające po sto lat, w ciągu których niecierpliwość rozpręży nerwy i wprawia go w stan dygotania całym ciałem.

Gdy po raz szósty mierzył temperaturę, chora otwarła zwolna oczy, które w mroku rzęs wydawały się prawie czarnymi, patrzyła w niego z uporem i wyszeptała jakimś skrzeczącym głosem:

— Kto to?

Zapadła jednak zaraz w stan poprzedniego bezczucia. Pocięsział się jak skarbem, tą sekundą świadomości. Ach, gdyby mieć chininę, zmniejszyć jej ból głowy, powrócić przytomność! Posłaniec nie nadjeżdżał i nie nadjechał.

Przed świtem doktor Obarecki szedł wzdłuż wsi, po głębokich zaspach, łudząc się ostatnią nadzieją, że go zobaczy. Złe przecucie, jak koniuszek igły, wrzynało mu się w serce. W nagich gałęziach topoli przydrożnych głucho huczał wiatr, choć burza ucichła. Z chat wychodziły kobiety po wodę i dźwigały ją w konewkach, zagięte powyżej kolan. Parobcy »zadawali« bydłu, z kominów dym się wznosił. Tu i owdzie z otwartych na chwilę drzwi wybuchał obłok pary.

Doktor odnalazł chatę sołtysa i kazał natychmiast zaprzęgać konie. Sprzężono ich dwie pary i jakiś parobczak zajechał przed szkołę. Doktor pożegnał chorą oczami, rozszerzonymi od znużenia i rozpaczony, wsiadł na sanie i pojechał do Obrzydłówka.

O godzinie dwunastej w południe powracał, wioząc swą apteczkę, wino, całe zapasy żywności. Stawał co chwila na saniach, jakby pragnął wyskoczyć i wyścignąć konie, w cwał biegnące. Zajechał wreszcie przed szkołę, lecz nie wysiadał... Zdławiony, krótki wrzask wydarł mu się z ust, wykrzywionych prawie ukośnie, gdy ujrzał otwarte okna domostwa i gromadkę dzieci, tłoczącą się w sieni. Szedł blady, jak płótno, do

okna, zajrzał i został tam, łokciami oparty o futrynę.

W obszernej izbie szkolnej leżał na ławce rozebrany do naga trup młodej nauczycielki; dwie jakieś stare baby myły go... Drobne pyłki śniegowe wlatywały przez okno i osiadały na ramionach, na zmoczonych włosach, na półotwartych oczach umarłej.

Doktór poszedł do pokoiku nieboszczki, zgarbiony, jakby na ramionach dźwigał górę. Usiadł, nie rozbierając się, na krzeselku i powtarzał jeden wyraz, w który zmieściła się wszystka jego boleść:

— Czyż tak? czyż tak?

— Było mu zimno, jakby zmarzł, zmartwiał, jakby w nim krew zakrzepła. Nie cierpiał, nie wiedział, co mu jest, tylko po głowie toczyły mu się niby koła nienasmarowane z przeraźliwym skrzypieniem.

Łóżko Stasi było rozmiecione: kołdra leżała na ziemi, prześcieradło zwieszało się na podłogę, poduszka przepocona leżała na środku łóżka. Druciane haczyki okien stukały monotonnie o ramy szyb; listki jakiejś rośliny, moknące w doniczce, zwieszały się i zwijały od mrozu.

Przez uchylone drzwi widział chłopów, kłękających dokoła ubranego już trupa, dzieci, modlące się na »książce«, stolarza, zdejmującego miarę na trumnę...

Wszedł tam i ochrypłym głosem rozkazał, aby zbić trumnę z czterech desek nieheblowanych, wiórów pod głowę nastać.

— Nic więcej... słyszysz! — mówił do stolarza z tajoną wściekłością — czery deski, nic więcej...

Przypomniął sobie, że trzeba kogoś zawiadomić... rodzinę. Gdzież jest ta jej rodzina?..

Zaczął z tępą, idyotyczną zapobiegliwością układać na jeden stos książki, rejestry szkolne, kajety, jakieś rękopisy. Natrafił wśród papierów na początek listu.

»Kochana Helenko! Od kilku dni czuję się tak źle, że prawdopodobnie przeniosę się przed oblicze Minosa i Radamantesa, Eaakosa i Tryptolemosa, oraz innych wielu z półbogów, którzy i t. d. W razie tego »przesiedlenia się stąd na miejsce inne« zechciej zażądać od wójta mojej gminy, aby pozostałą po mnie spuściznę książkową na ręce twoje wysłał. Opracowałam nareszcie »Fizykę dla ludu,« nad którą tyle nałamałyśmy sobie głów dziewiczych; opracowałam na brudno — niestety! Jeżeli ci czasu starczy, — zawsze w razie mego przesiedlenia się na miejsce inne, — uszykuj to do druku i zmusz Antosia niech przepisze; on to dla mnie zrobi. Ach, co za smutek..! Prawda!.. księgarzowi naszemu winnam edenaście rubli kopiejek sześćdziesiąt pięć... wypłać mu... Spencerem moim, gdyż pustki u mnie w szkatule. Sobie na pamiątkę weź...«

Ostatnie wyrazy nieczytelnymi już były pisane kreskami. Nie było adresu, — nie można też było listu wysłać. W szufladzie stolika znalazł doktor rękopis owej »Fizyki,« o którym w liście czytał, zwiłki notatek i szpargałów, w szafce — trochę bielizny, salopkę, kotkami podbitą, jakąś starą, czarną sukienkę...

Krzążając się po pokoiku, dostrzegł w izbie szkolnej chłopaka, który jeździł po lekarstwo; stał przytulony w kącie do pieca, przestępując z nogi na nogę. Zwierzęca nienawiść zadrgała w duszy doktora.

— Dlaczegoś na czas nie wrócił? — zawołał, przyskakując do chłopca.

— Zabłądziłem na polu, koń mi ustał... piechotą przyszedłem rano... panienska już wtedy...

— Kłamiesz!

Chłopiec nie odpowiedział. Spojrzał mu doktor w oczy i dziwnego doznał wrażenia; oczy te były zmęczone i straszne, wyglądała z nich, jak z podziemnej jaskini, chłopska, głupia, zdziaczała rozpacz, podobna do niedocieczonej tajemnicy.

— Ja tu, panie, odniosłem książki, co mi ta nauczycielka pożyczyła, — mówił, wyciągając z zanadtra kilka wyszarzanych i zabrudzonych tomików.

— Daj ty mi pokój... idź precz! — zawołał doktor, odwracając się od niego i uciekając do pokoiku.

Tam stanął wśród porozrzucanych na podłodze rupieci, papierów, książek i ze śmiechem pytał sam siebie:

— Czego ja tu chcę?.. Nic tu po mnie, nie mam prawa!

Obejmowała go cześć głęboka, zrozumienie, wwiadywanie się pilne, wielka pokora. Gdyby tam zostawał choćby godzinę dłużej, doszedłby do tego szczytu łańcucha gór, na którym siedzi szaleństwo. W sekrecie przed samym sobą wiedział, że go zdejmuje obawa o siebie. W tem wszystkim, co go miażdżyło owej chwili, była ogromna niesymetria z nim samym, coś, co wywazało z głębi jego duszy ostateczny rdzeń uczuć ludzkich — egoizm i, egoizm ten dusząc, kazało naprawdę dać się otaczać tęczy, która uniosła z ziemi tę głupią dziewczynę. Trzeba uciekać co prędzej... Zgodziwszy się na wyjazd natychmiastowy, zaczął rozpaczać pięknymi frazesami, co było już ulgą znaczną.

Kazał zajechać...

Pochylił się nad trupem Stasi i szeptał na jej uczczenie najpiękniejsze wyrazy, jakie wymarzyć mogły na chwałę wielkości puste serca ludzkie. Zatrzymał się raz jeszcze we drzwiach, obejrzał; przez sekundę myślał, czy nie lepiejby było umrzeć natychmiast, potem rozsunał gromadę chłopów przed drzwiami, wskoczył na sanie, przewrócił się na twarz i poniosły go konie, duszącego się spazmatycznym płaczem.

Śmierć panny Stanisławy wywarła wpływ niejaki na usposobienie doktora Pawła. Przez pewien czas czytywał w wolnych chwilach »Boską komedję« Dantego, w winta nawet nie grywał, gospodynię dwudziestoczteroletnią odprawił. Stopniowo jednak uspokoił się. Obecnie ma się znakomicie: utył, pieniędzy worek uczciwy nabijał. Ożywił się nawet; dzięki jego usilnej agitacyi wszyscy prawie optymaci obrzydłowscy, z wyjątkiem krzykliwych, prawda, ale też nie licznych konserwatystów, zaczęli palić papierosy w gilzach niesklejanych, zaszczytnie znanych pod godłem »nieszkodliwych piersiom.« Nareszcie!



Oko za oko.

Kiedy zawiadowca stacyi Trebizondów Wielki, wyekspedycyowawszy pociąg towarowy, wracał na tak zwaną salę klasy drugiej, aby połączyć się z towarzystwem, które przed trzema kwadransami opuścił, i otworzył drzwi wchodowe, z peronu wprost do owej klasy wiodące, oczom jego przedstawił się widok dosyć niezwykły. Zgromadzeni dokoła stołu przedstawiciele pewnego odłamu inteligencji miasta powiatowego Trebizondów tworzyli niby jedno ciało, wywijające mnóstwem rąk i nóg, chwiejące się na krzesłkach w najrozmaitsze strony i wrzeszczące dziwnemi głosami, Dwaj urzędnicy powiatowi, wtłoczeni na małą kanapę i zasunięci stołem, trzymali się nawzajem za guziki od tużurków i co chwila ośliniali w czułym pocałunku. Geometra (drugiej klasy), z pięścią i oczyma w kierunku sufitu, oświadczał w niebogłoso, że nie pozwoli, aby mu ktokolwiek, kiedykolwiek, jakimkolwiek

sposobem lub uczynkiem ubliżał, — chociaż nikt mu nie ubliżył, ani przed obecnem posiedzeniem, ani podczas jego trwania. Młody doktor miejscowy, czarny i chudy, jak sztalugi, żydek, w niebieskich binoklach, — zwany złośliwie przez bogobojne stare panny »kościotrupem z bakami« — pluł bez skrupułu na środek stołu, w kufle piwa i na kamizelki sąsiadów, mrużąc od czasu do czasu, że będzie pluł i nikt nie może go zmusić do odmówienia sobie tej przyjemności. Ryżawy telegrafista wymiotował melancholijnie na kolano inżyniera powiatowego, który przyglądał się temu procesowi z wyrazem niekłamanej życzliwości. Podtatusiały »pan profesor,« pełniący obowiązki filozofa i ateusza powiatowego, pukając palcem w plecy chorego telegrafisty, perorował coś na temat »konwersyi pożyczki« głosem przerywanym przez czkawkę, w sposób tak szczególny, że monolog jego sprawiał literalnie wrażenie gdakania kury, chorej na *pypcia*. Wykwintny w manierach i doborze koloru skarpetek, tłumacz sądu pokoju zrywał się co chwila od stołu, klękał i, składając uroczyście dwa palce w resztkach sosu na półmisku, przysięgał komuś, że go nie opuści aż do śmierci...

Stosunkowo najtrzeźwiejszy z całego tego grona pan Jaksa - Świerkowski, zrujnowany obywatel, obecnie posiadający dom i kilkanaście morgów gruntu tuż pod miastem, szlachcic kolosalnych rozmiarów, w butach z cholewami po same

pachwiny — nie tyle śmiał się, ile rżał, patrząc na scenę, jaka miała miejsce w ciemnym kącie sali, obok pieca. Młody student uniwersytetu — Adam Wawelski — siedział tam na ziemi przed skurczonym kelnerem stacyjnym i wydierał mu rękę, którą ten, płacząc rzewnie, chował do kieszeni. Rzecz tak się miała: Wawelski zażądał od kelnera zapalki, wzamian za szybkie udzielenie której ofiarował czterdzieści kopiejek. Wzruszony kelner pocałował hojnego studenta w rękę. Demokratycznie usposobiony słuchacz prawa wrzasnął, że trupem natychmiast padnie, jeżeli służący nie pozwoli mu pocałować się również w rękę... Po długim wahaniu się kelner zezwolił, lecz sam znowu pocałował Wawelskiego w rękę. Od tej chwili zaczęło się między tymi dwoma wydzieranie sobie gwałtem rąk do całowania, trwające już od kilkunastu minut.

Zawiadowca stacyi przyłączył się czynnie do towarzystwa i właśnie sama pani bufetowa krzątać się zaczęła dokoła jego osoby, odkorkowując butelki, gdy nagle student Wawelski porzucił płaczącego kelnera i stanął pośród biesiadników z włosom rozwianym i oczami tak dalece zbielełymi, że przypominały dwie bryłki masła.

— Panowie! — zawołał, wyciągając rękę z giestem krasomówczym, o tyle niefortunnie, że, wskazując palcem, trafił w rzymski nos »kościotrupa z bakami,« — ten oto wyzyskiwany

obywatel — (tu wskazał na skruszonego kelnera) — na własne uszy słyszał, jak ksiądz Piwko z ambony mówił, że wszyscy ludzie równi są na tym padole płaczu. Proponuję, abyśmy księdza Piwkę podnieśli na naszych barkach... w górę księdza Piwkę!

— A gdzież macie tego księdza Piwkę? — zagrział pan Świerkowski.

— A w Przebrzmiałowicach, proszę łaski pana — szepnął kelner.

— No, to przecie cztery mile stąd...

— Pójdźmy, panowie, po niego — wołał Wawelski, — przyniesiemy go na barkach! Nie jestem wcale zwolennikiem wodzenia klas pracujących na pasku klechów, ale pójdźmy, panowie!.. na barkach i... w górę księdza Piwkę!.. Idziecie łajdaki, czy nie? — krzyczał co sił, bijąc pięścią w plecy pierwszego z brzegu.

Wszyscy zaczęli z miejsc swych powstawać, aby iść po owego księdza Piwkę. Wówczas pan Świerkowski chwycił w pól Wawelskiego, nałożył mu pierwszy, jaki był pod ręką, kapelusz na głowę, wyprowadził go z sali i kazał posługaczowi przywołać dorożkę. Za chwilę wsiadali obadwaj z niemałym trudem na lichą bryczkę, zaprzęzoną w jednego konia.

— Do mnie! — rozkazał ex - obywatel powożącemu żydkowi.

Ciepły oddech gruntu, spieczonego upałem całodziennym, owionął rozpalone głowy jadą-

cych i odebrał im resztki przytomności. Za każdym uderzeniem kół bryczki o kamienie i wyboje drogi, głowy ich uderzały się znienacka i rozbiegały w różne strony. Wówczas obadwaj zdejmowali cudze kapelusze i wpatrywali się w siebie nawzajem uparcie.

— Uprzejmie przepraszam — bełkotał Wawelski.

— O, nie... to ja raczej przepraszam...

— No, dobrze... ale dokąd ja właściwie i z kim właściwie mam przyjemnośćjechać?

— Wiozę pana do mnie. Chcę pana przedstawić siostrze mojej żony. Śliczna dziewczyna! Jak żyję na świecie nie widziałem nic podobnego...

— A jeżeli tak... Wzruszony jestem cokolwiek. Zresztą... co mnie przyjdzie tak dalece z pańskiej żony?

— Z siostry mojej żony! Cudna dziewczyna. Co za biodra, panie, u tej kobiety...

— Ależ ja jestem zupełnie obnażony z piciniedzy! Gdzież u licha ta kieszeń!..

— Posagu ona, biedactwo, wprawdzie niema, ale cóż to za serce złote, co za edukacja! Ślicznie panu gra, maluje na porcelanie. Dokądże mi zresztą będzie siedziała na karku... to jest...

— Na porcelanie?! — przerwał ze zdziwieniem Wawelski. — Nie, wie pan, tego to już nie rozumiem... Przytem to pan dobrodziej, o ile

sobie przypominam, wyjąłeś mi z twarzy mego własnego papierosa...

— Mogę panu służyć moim — mruzczał Świerkowski, szperając po kieszeniach.

Wózek wtoczył się w uliczkę zamiejską, wygrodzoną opłotkami chróścianami i pełną nie wysychającego nigdy błota. Z łąk wracały gromadki ludności rolniczej miasteczka z kosami i grabiami, tu i owdzie wlokły się powoli, wpoprzek skoszonej murawy, ku drodze »drabinki« z sianem. Przechodzący zatrzymywali się na widok zdziuczonych min i pomiętych kapeluszków naszych biesiadników i przeprowadzali ich wybuchami śmiechu, aż do tak zwanej szlacheckiej willi. Willa pana Świerkowskiego była domostwem starem, dosyć niezgrabnem i zasuwaną się w ziemię. Z prawej strony przybudowano widocznie niedawno, rodzaj baszty drewnianej z dachem śpiczastym, podobnym do wieżyczek kościelnych w Szwajcaryi i sprawiającym w tozrystwie poobdzieranego dachu całego domostwa efekt wielce humorystyczny. W tyle domu ciągnął się świeżo założony ogród, otoczony powyginanym i zataczającym się parkanem.

Kiedy zmęczona szkapa zatrzymała się przed drzwiami willi, nasi panowie zachęcali się uprzejmie do wysiadania w ciągu tak znacznego przeciągu czasu, że wreszcie mały woźnica zmuszony był powyciągać ich jako tako z głębi słomianego siedzenia, które zupełnie rozkopali i po-

rozmiatali. Ugarnirowani wiechciami słomy weszli do sieni. Gospodarz wprowadził Wawelskiego do saloniku i próbował umieścić go na fotelu, czemu jednak student oparł się z zapalem; minęli więc salon, pokój sypialny i stołowy i znaleźli się na balkonie, skąd po kilku stopniach schodziło się do ogrodu. W kącie werendy, na długiej ławce siedziały dwie młode i ładne kobiety, a u nóg ich bawił się kamykami trzyletni może chłopczyk, tłusty i zabrudzony, jak połeć wędzonej szynki.

— Pan Wawelski, student uniwersytetu... — wygłosił patetycznie gospodarz i, złożywszy damom niebывały ukłon, cofnął się do pokoju.

Obiedwie te panie szybkimi, nieznaczniemi ruchami poprawiły bluzki i włosy, gdy tymczasem Wawelski, usiłując wykonać nogą ruch pełen elegancyi, oderwał z cementowej posadzki, pękającej i podziurawionej, znaczny kawał tynku i przyglądał mu się z oburzeniem. Drobnym wypadkiem zdetonował go tak silnie, że nagłym ruchem oddalił się na przeciwległy koniec ganku i usiadł tam na niskiej balustradzie.

— Niechże pan będzie łaskaw... — zaczęła mówić starsza, powstając, lecz, spostrzegłszy nagły odwrót gościa, przerwała i pytająco spojrzała na towarzyszkę. Zapanowało milczenie. Szczęściem zjawił się pan Świerkowski i pragnął zagaić rozmowę.

— Uważasz, Zosiu, — mówił — chciałem przedstawić wam pana...

— Co to wszystko znaczy. Wiktorze? — pytały szeptem obiedwie, gryząc wargi.

Wawelski z dystynkcyą poprawił kołnierzyk i wpatrywał się w panią Zofię z oddalenia tak ponuro i groźnie, że ta ledwo mogła powstrzymać śmiech głośny.

— Będziemy musieli obadwaj odpocząć cokolwiek, mój serdeczny przyjacielu, — zwrócił się do studenta pan Świerkowski — nieprawdaż?

— Co do mnie... nie sądzę... Bądź co bądź... — mówił, wstając i prostując się Wawelski.

Mdlejącymi ruchami zbliżył się do stolika i usiadł na ławce, zajętej przez panią Zofię i jej siostrę. Za chwilę jednak, zawiadomiwszy te panie, że społeczeństwo nie jest bynajmniej organizmem, gibnął się na bok w sposób tak zatrważający, że go natychmiast odprowadzono do gabinetu pana domu, gdzie też wkrótce zasnął na kanapie snem kamiennym. Za jego przykładem poszedł niezwłocznie pan Wiktor.

Młodzieniec nasz obudził się nazajutrz dosyć późno. Za ledwie otworzył oczy i przypomniał sobie jako tako przygody dnia poprzedzającego, usiłował zasnąć jeszcze, zaciskał powieki, aby przynajmniej nie natychmiast zaglądnąć w oczy gorzkiej rzeczywistości. Lecz już usnąć nie mógł. Słońce świeciło prosto w okno otwarte, zastawione siatką tiulową. i rzucało na podłogę kwa-

dratowy odblask, posuwający się w miarę jak ciepły podmuch wiatru wpychał do pokoju lub wydymał na zewnątrz białą zasłonę. Duże muchy wciskały się do pokoju przez szczeliny i, rozbijając się o ściany i belki wybielonej wapnem powały, warczały groźnie, z okna dolatywał cichy szelest liści i brzęk os; zresztą w całym domu i ogrodzie cisza była śmiertelna.

— Ucieknę chyba — myślał zrozpaczony student, — innej rady niema. Wyjmę z okna siatkę, skoczę do ogrodu... Po południu przyjdę, przeproszę i t. d.

Zerwał się i zaczął szukać ubrania. Niestety — ubrania nie było: wzięto je do czyszczenia.

— Ładna historia! Wyobrażam sobie, jak te kobiety spojrzą na mnie, gdy się wobec nich zjawię... Gdzie ten stary arcy-nygus miał rozum, żeby mnie wieźć tutaj w takim stanie! Przytem co za kapitalny katzenjammer...

Drzwi się nagle otwarły i weszła pokojówka wzrostu kirasyera. Położyła ubranie na krzeselku i uciekła co tchu, parskając śmiechem.

— Zaczyna się... — mruknął Wawelski, wstając.

Umył się i ubrał szybko, marząc rozkosznie, że może nikogo w domu i ogrodzie nie spotka, wymknie się niepostrzeżenie i uniknie przynajmniej na teraz wstydu. Wkrótce był gotów i, zauważywszy, że w sąsiednim pokoju niema

nikogo, wsunął się tam na palcach, wyrzał przez okno, wychodzące na ogród, i zaklął z głębi serca. W bliskości balkonu widać było między drzewami zielone słupy niezgrabnej chuśtawki i ową siostrę pani domu, kołyszącą się niedbale z książką w ręku. Piękna panna miała na sobie jakąś jasną suknię, nogi jej, obute w żółte, letnie pantofle, muskały rozłożyste trawy, uniesiona cokolwiek spódnicą odślaniała niesłychanie ładne pończochy na niebywale zgrabnych łydkach. Ciemne włosy, zdobiące jej piękną głowę, uczesane w sposób najmodniejszy, to połyskiwały i lśniły na słońcu, to się zanurzały w znikomy, przejrzysty, ledwo dostrzegalny cień, jaki odrzucały drzewiny owocowe.

Z głębi ogrodu szła uliczką pani Świerkowska i zbliżyła się do chuśtawki. Była podobna do siostry i może o dwa lub trzy lata tylko od niej starsza.

— Co ja właściwie tym panom powiem, gdy się wobec nich zjawię? — myślał z rozpaczy Adam.

— O, Boże!

Układał jeszcze w ciągu jakich dziesięciu minut pięknie brzmiące tyrady, a wreszcie otworzył z trzaskiem drzwi i przymrużywszy oczy, wszedł na uliczkę ogrodową.

— Kto widział, panie Wawelski, tak się upijać? — zawołała pani Zofia, nim się zdołał do chuśtawki zbliżyć. — Z naszymi panami trzeba

się znać z wielkiej odległości, inaczej będą pana co kilka dni wyciągali na te ohydne pijatyki. Nie wiem, czy nas pan sobie przypomina: jestem żoną pańskiego »serdecznego przyjaciela,« a oto moja siostra, Wanda. Czy głowa pana boli? Wczoraj jeszcze dałam znać mamie pana, aby się nie obawiała...

— Doprawdy, nie wiem, jakimi słowami przeprosić panie... — jęknął Wawelski, myśląc w głębi duszy, że to jednak dobra *baba*.

— Wiemy dobrze, że nie doświadcza pan uczuć przyjemnych, to też nie będziemy wcale mówili o tej przygodzie. Skąd się pan wczoraj wziąłś między tymi obrzydliwymi biboszami?

— Przypadkowo zaszedłem na dworzec, a że znałem doktora Daktylberga jeszcze z Warszawy, jakoś więc tak...

— Teraz napije się pan herbaty z cytryną, a nieco później rosołu. Głowa przestanie boleć. Chodźmy, Wanducho; proszę pana...

— A gdzie pan Świerkowski? — zagadnął Adam.

— O, on dawno już odebrał należne natarcie uszu, teraz jest znowu na dworcu... ekspedjuje sery do Warszawy.

— Dawno pan już bawi w Trebizondowie? — zapytała panna Wanda, wstępując na ganek.

— Od dwu tygodni. Matka moja utrzymuje, jakoby tutaj było przepyszne powietrze, jakobym

ja był chory na płuca, najęła w willi Odrobinka mieszkanie i zmusza mię pośrednio do takiego oto, jak wczoraj, przepędzania czasu.

— Ach... więc to mama pańska zmusiła pana?..

— No... nie! ale absolutna samotność. Las i las... Myślałem, że zdziczeję zupełnie i zacznę chodzić na czworakach.

Przy stole panna Wanda siedziała naprzeciwko studenta i przyglądała mu się od czasu do czasu bacznie dużemi oczami, lazurowymi, jak niebo w południe. Pani Zofia zajęta była nalewaniem herbaty. Była szczuplejsza od siostry, ubrana mniej modnie i jakby nieustannie o czymś smutnem zamyślona. Kolor jej oczu był prawie ten sam, co u siostry, bardziej tylko jasny i jakby zamglony. Wawelski wiedział dobrze, że wyraz melancholii, tajemniczego zamyślenia, nieujęty wyraz oczu pięknych kobiet ukrywa najczęściej wybitną płytkość umysłu i oschłość, jeśli nie zatwardziałość serca, a jednak nie mógł się oprzeć urokowi, jaki wywierały oczy tej mężatki. Było to wejrzenie łagodne, miękkie, dobre i ufające; wyrażało jakby przystosowywanie się subtelnych myśli i delikatnych uczuć do przymusowo narzucającej się rzeczywistości, nie skończenie od tych myśli dalekiej. Popierało takie wrażenie, gładkie i białe, jak welinowy papier, czoło, otoczone jasnymi, zaczesanymi w górę włosami — i usta. Co za usta! Jeden jedyny

Greuze umiał utrwalac̄ tę właŝnie, tkwiac̄ą w pewnych twarzach kobiecych harmonijną melodyę rysów, jakiej nie mógł się do syta napatrzeć Wawelski w twarzy pani Świerkowskiej.

— Rany pana Jezusa! cóż za śliczna baba... — myślał, połykając gorącą herbatę. — I to ona jest żoną aligatora...

— Pan kończy już zapewne uniwersytet? — zapytała panna Wanda.

— Właŝciwie mówiac̄... jeszcze nie kończę. Powziąłem zamiar przestudyowania pewnych umiejętności na tym samym kursie.

— Aha... jest więc pan pewno prawnikiem?

— Tak, pani.

— Znałam bardzo wielu studentów prawa, będąc jeszcze na pensyi.

— Kończyła pani pensyę w Warszawie? Dawno ją pani opuściła?

— Przed trzema laty.

— Obecnie chwilowo wypoczywa biedactwo u nas — wtrąciła pani Zofia, — po trudach i nudach zawodu. Była nauczycielką w pewnym domu obywatelskim. Niegdyś, będąc dziewczętami, nie przypuszczałyśmy, że jedna z nas będzie się zajmowała wyrabianiem serów, pieleniem rosady i ogórków, a druga zapracowywała na utrzymanie tułaniem się po domach obcych.

Panna Wanda spojrzała na mówiac̄ą z pewnym wyrazem surowości i zmusiła ją do mil-

czenia. Wawelski nie brał bardzo do serca zmiany losu, jaka zaskoczyła te panie; to też, uśmiechając się nieodpowiednio, myślał tylko o tem, jakby wyjść z honorem z całej tej afery.

Po herbacie pani Świerkowska zaproponowała swemu gościowi mały spacer. Z ganku widać było kawał łąki już skoszonej, — gładką, równą, jasno-zieloną nizinę, od której nie można było oderwać oczu. Pośrodku łąki stała grupa szaro-zielonych olszyn. Małeńki ten, a dziwnie uroczy krajobraz otaczały, jakby ramionami, smugi lasu sosnowego. Cały ogród skrzętnie i pracowicie uprawiony był pod przeróżne ogrodowizny. Wzdłuż i wpoprzek przecinały go uliczki, wysadzone krzakami agrestu, porzeczek, malin i drzewami owocowymi. Od tła jasnej jeszcze zieloności młodych listków, powleczonych jakby lśniącym pokostem — płomienistą smugą odrzynało się staje wysokiego i kwitnącego ponsowo maku, dalej kilka zagonów kartofli, przyprószonych kwiatem, niby śniegiem. Kwitły różowo i pachniały młode jabłonki, wiśnie, — rozlegał się wszędzie melodyjny gwar pszczół, trzmieli, os, nieprzerwany krzyk kosów i pogwizdywanie wilg. Pod parkanem rosły dokoła ogrodu dwa zagony grochu tyczkowego, rozrosłego bujnie i tworzącego istny las, pełen uliczek, grot, zieleni, korytarzy i tunelów. Tylna część płotu ginęła całkowicie w zaroślach dzikiego chmielu. W rogu tego wału z roślin, kryła się wążka

i niska furtka. Pani Zofia otworzyła ją wyjętym z kieszeni kluczem i, stanąwszy już po tamtej stronie płotu, doradziła młodemu, aby pozostali w ogrodzie, — tam bowiem, dokąd ona idzie, około inspektów, rosa jest jeszcze.

— Zdaje się, że to polowanko na mnie — pomyślał Wawelski.

Zaczęła się tedy rozmowa mdło-dowcipna: o maku, fasoli, Schopenhauerze, pięknej łące, emancypacyi kobiet, o słowikach, o ciekawości, jako zgubnej wadzie, sięgała już nawet takich wyżyn, jak deklamowanie piosenki Heinego:

»Wenn ich in deine Augen seh',
So schwindet all' mein Leid und Weh;
Doch wenn ich küsse deinen Mund« i t. d.,

gdy na uliczce zjawił się pan Świerkowski.

Szedł, śmiejąc się i z odległości czterdziestu kroków wyciągając do Wawelskiego prawicę, jak skrzydło wiatraka.

— Tośmy, panie, komedye wczoraj pokazywali... ha! — wołał, kłując policzki studenta niegoloną od tygodnia brodą. — Jakże tam kätzenjammerek... dokucza psubrat? A ja, panie łaskawy, musiałem od rana awanturować się z temi serami. Kapelusz pański znalazłem aż u profesora... Eh... barszczu by teraz, barszczu kwaśnego! A gdzież to Zosia?

— Przy inspektach — rzekła panna Wanda.

— Aha. Tak to, uważa pan, nasza szlachta do roboty się bierze. Teraz dopiero zrozumiałem gdym na zagrodowca zeszedł, że gdzie pan, drogi panie, nogą stąpisz, tam leży, jeżeli nie cały rubel srebrem, to napewno siedmdziesiąt pięć kopiejek! Dasz pan wiarę, że ja z dziecięciu morgów i z tej oto łączki utrzymuję dom, żyję...

— I bawię się przynajmniej raz w tygodniu na dworcu... — dorzuciła panna Wanda.

— Z dziesięciu morgów ziemi — wołał, nie zwracając uwagi na sarkazm, aż mu żyły na czole nabrzmiały. — Trzymam ośm krów, wyrabia się sery, masło, szczerze mówiąc, letników warszawskich obciąża się należycie na mleku. Ogórki takie widziałeś pan też kiedy za żywota swego? To wszystko *furt* do Warszawy idzie; maliny, porzeczeki, agrest, włoszczyzna... wszystko! A owoce? to śmiech! Zasypię tę waszą Warszawę mojami śliwkami za jakie dwa lata. Teraz panie, z książek się uczę o uprawie cykoryi. To może być artykuł; co też pan sądzi?

— Ja, uważa pan...

— Myślisz pan może, że żydom oddam moją cykoryę?.. akurat. Wie pan, co ja panu powiem, — mówił dalej, biorąc Wawelskiego pod rękę i zniżając głos do szeptu demonicznego, — wiesz pan, co ja zamierzam? Zamierzam ni mniej ni więcej, tylko... jajami handlować! Odrobinię kapitału niech mam... no jakieś kilkaset rubli...

i mogę do konkurencyi z żydami stawać. Taki, panie, u nas pozytywizm się zagnieżdża!

— Pozytywizm... — dziwił się Wawelski, obserwując uśmiech panny Wandy, z jakim oskubywała listki polnej skabiozy.

Długo, szeroko i patetycznie rozpowiadał pan Świerkowski o daleko sięgających planach założenia w Trebizondowie sklepu akcyjnego, gdzie on pełniłby rolę subjekta, o nieuniknionej ruinie handlu żydowskiego, dzięki samej tylko niżce na żelazie, o uprawie pszenicy sposobem pana Pełłowskiego, o melioracyach, nawozach sztucznych, nawet o azocie i Liebigu — i piorunował na niedołęstwo szlachty.

— Ja sam, niestety, takim capem byłem... Nie piłem, nie jadłem, w kartym nie grałem... i rozlazło się; gdzie, jak i kiedy... nic nie wiem. Żydy, panie, o, tu jest rdzeń... Co prawda — szeptał Wawelskiemu do ucha, — czasami tam z temi aktorkami... pojmuje pan? Przyjedzie do miasta gubernialnego stado takich ładnych bestyi, że ani podobieństwo wytrzymać. Tak; to była rubryka także swego rodzaju... Ale dziś mi się, panie, oczy otworzyły: sami rękawy powinniśmy zakasać albo, panie, kaput! Na mnie już dowcipnisie anegdoty układają. Opowiada, na przykład, jeden pędziwiatr, że jedzie niby bryczką, aż tu patrzy... na drodze leży kupa jaj potłuczonych, a między skorupami biała karteczka. Co takiego? podnosi on tę kartkę... patrzy...

bilet wizytowy, na którym stoi moje nazwisko: Wiktor Jaksa-Świerkowski. To ma być dowcip, że niby mi się jaja w drodze potłukły i żem tę jajecznicę, w braku innego przyrzędu, biletem wizytowym zgrzebywał. Głuptasy! ja jeszcze pieniądze zrobię, gdy oni... No... ale chodźmy na barszcz, bo rzeczywiście w ustach, uczciwszy uszy jak w niewyszlamowanym stawie.

Wkrótce po spożyciu owego barszczu, podanego rączkami panny Wandy, Wawelski ruszył najbliższą drogą do domu, żegnany czule i zapraszany nadal uroczyście.

* * *

Pan Józef Wawelski. nieboszczyk ojciec Adama, posiadał swego czasu w jednym z miast prowincjonalnych świetny »interes« mydlarski, składający się z fabryki na wielką skalę i dużego sklepu. Wawelscy pochodzą z żydów, chociaż dziad Adama był już żarliwym katolikiem a i pradziad podobno jawnie świninę jadał, chociaż pozornie trwał w wierze ojców. Pan Józef był człowiekiem prostym, nigdy żadnym umiejętnościom się nie oddawał, nie miał żadnego »sposobu myślenia,« bardzo rzadko wypuszczał spodnie na cholewy i miał wówczas minę zakłopotaną; interes prowadził sprytnie, pracował zapamiętale i według mniemania dorobił się majątku uczciwie, a przetrącał parobkom pisz-

czele i miażdżył nosy chłopcom sklepowym w sposób tak mistrzowski i rodzimy, jakby z żyłach jego płynęła odwieczna krew sarmacka. O umeblowaniu salonu, powozie i przyswojeniu sobie przekonañ plutokratycznych pomyślał dopiero pod koniec życia i to nie z własnej inicjatywy, lecz ulegając natarczywym żądaniom żony — Róży z Rubinów. Przez cały czas małżeńskiego pożycia pani Róża była prawą ręką męża w gromadzeniu majątku i nie zdradzała żadnych niewłaściwych nawyknień; dopiero gdy jedynak Adaś przestał wykradać pierniki z szuflad sklepowych, otrzymawszy promocyę do klasy czwartej, nabrała skądś zupełnie niezrozumiałych dla starego mydlarza pojęć 'o »tonie« i przebąkiwać nawet zaczęła o jakimś high-life...

— Powinieneś pojąć — mawiała do męża w pasyi, że są obecnie czasy demokratyczne... jesteśmy katolikami i Polakami..., byle chcieć, chłopiec do najlepszych towarzystw dostać się może, Bóg wie z kim ożenić!

— Róziu — odpowiadał zazwyczaj pan Józef, — ja ciebie bardzo kocham i bardzo cię przepraszam, ale ty jesteś głupia. Niech on skończy sześć klas, no, gimnazyum całe niech skończy i obejmie fabrykę. Ja jestem już stary, będę siedział w sklepie i tych złodziejów pilnował...

Nic jednak nie pomogły persfazye. Adaś, po ukończeniu gimnazyum, wyeksperywowany został

do Warszawy na wydział prawny. W rok niepełna po jego wyjeździe pan Józef zaniemógł nagle i skończył życie, nim syn, wezwany telegraficznie, zdążył przyjechać. Wdowa niezwłocznie interes zwinęła, odstąpiwszy go na lichych warunkach; przeniosła się do Warszawy i, żyjąc z procentów od kapitału, usiłowała wprowadzić syna w świat. Latem wyjeżdżała zawsze jeśli nie do wód galicyjskich, to przynajmniej do Trebizonkowa.

Adaś, który w gimnazyum z klasy do klasy *piecem* przechodził, w uniwersytecie okazywać zaczął talenty niebywale. Nie dość że masy książek czytał, ale wygłaszał niejednokrotnie w obecności matki, fanatycznej katoliczki, i niemniej po katolicku myślących jej znajomych, takie zdania, takie zasady, że włosy powstawały na głowie. Okrzyk Börne'go: »Zginajcie się w haki i zarzućcie się na ogniwa świata, a o tem wiemy, że go w dobrym pociągnięciu kierunku!« — był ulubionym jego okrzykiem. Utrzymywał o sobie, a może nawet w to wierzył, że jest jednym z owych haków, zarzuconych na ogniwa świata. Po przodkach Adaś nie otrzymał w dziedzictwie żadnych nadzwyczajnych popędów altruistycznych, wychowanie nie wszczepiło mu ich również; nadto nie doświadczył jeszcze żadnego prawie cierpienia, nie wiedział co to jest właściwie ów pan nad pany — głód, co znaczy choroba, której niema za co leczyć, nędza, której niema końca,

nie wiedział nawet, co to jest brak biletu do cyrku. Nie zdarzyło mu się ani razu zajrzeć zblizka w wygniłe oczy niedoli i zrozumieć gorzką potrzebę niesienia krzywd i grzechów świata we własnem sumieniu, to też życie właściwe było dlań wesołą komedią, skupieniem werend cukierni, przyzwoitych salonów, wesołych kobiet, modnych ubrań i t. d. Znie-nacka wdarły się do tego świata promienie dalekowidzącego humanizmu i wytworzyły w umyśle Wawelskiego szczególne, raczej artystyczne, niż naukowe zamiłowanie do nazw i obrazów niedoli, z jakich znowu spletał się wieniec »przekonań,« dający jego posiadaczowi niewyczerpany temat do rozmów, sprzeczek, dysput i dowodzeń. Naturalnie zjawił się zaraz wstręt do »kompromisów...« Z przerażającą oczywistością Adaś wyłuszczał w salonach bogatym a oburzonym do najwyższego stopnia ex-żydom, co, kiedy i w jaki sposób stanie się z tą lub ową klasą społeczną; wiedział na pamięć, do jakiego paragrafu wciągnąć dane zjawiska i przepowiadał rzeczy przyszłe. Wyznać należy, że był w przyswojonych sobie zapatrywaniach bardzo konsekwentnym. Owo kochanie niedoli, zaglądnienie zblizka w wygniłe oczy i t. d. — uważał wprost za szkodliwe dla umiejętnego badania i przeprowadzania w życiu umiejętnych wskazań. Znał i chciał znać fakty pozytywne, przyczyny i skutki, — wszelkich zaś »mar mglistych« oraz wszystkie-

go, co z niemi ma związek, nie uznawał, ponieważ ich nie rozumiał, a więc nie uważał za potrzebne powstrzymywać się od opluwania ich, o ile to mu się wydawało koniecznem. Był natomiast o tyle bezstrony, że, wyjeżdżając na wieś, zamierzał niejednokrotnie przyjrzeć się tak zwanemu ludowi, lecz że między willą Odrobinka a najbliższą siedzibą *ludu* leżał ogromny kawał zarosłego pastwiska, porzucił więc tę myśl w samym jej zarodku tem łatwiej, że popieranie interesów chłopskiego podwórka nie mieściło się na horyzoncie jego altruizmu. Siedząc w Trebizondowie, zachodził z nudów na dworzec kolejowy, nie wiedział bowiem, że sala drugiej klasy tego dworca stanowi dla mężów trebizondeńskich pewnego rodzaju *agorà*. Owego pamiętnego popołudnia wypadło właśnie tygodniowe zebranie i Adaś wciągnięty na nie został na prawach członka nadzwyczajnego, wskutek czego spił się nadzwyczajnie.

W kilka dni po pijatyce, pani Wawelska, pragnąc podziękować państwu Świerkowskim za opiekę, rozciągniętą nad jej synem, przyoblekła się w jedwabne szaty oraz biżuterję i pojechała z wizytą do willi szlacheckiej. Adam towarzyszył matce. Zaledwie pani Róża zaczęła nudzić panią Zofię długimi okresami, panna Wanda wysunęła się z saloniku do ogrodu. Wawelski przyglądał się przez czas pewien starym, powygniętym fotelom i niezwykle zakopconym sztychom,

wyobrażającym jakieś krwawe boje, przerzucił numery »Kłósów« z przed lat ośmiu, a wreszcie, zachęcony filuternie łagodnym uśmiechem pani domu, wyniósł się również. Panna Wanda przechadzała się po zacienionej uliczce w głębi ogrodu; gdy zbliżył się, przechyliła niedbale głowę i rzekła:

-- Myślałam, że się pan już nie domyśli...

— Czego?

— Tego, że tyle czasu, bo pewno z kwadrans, nie jest pan przyjemnym warszawiakiem.

— Dla siostry pani?

— Dla siostry mej siostry.

— Ach, Boże! ja ani tam ani tu nie umiem być przyjemnym.

— I czemuż to, biedny panie Adamie?

— Bo straciłem wszelkie probierze krytyczne...

— Pragnęłabym szczerze współczuć panu, ale rozumiem, co to znaczy.

— Idzie tutaj o kolor błękitu. Raz wydaje mi się, że najpiękniejszym jest jasny błękit, kiedy zaczyna się zmierzch, to znowu czaruje mię lazur południa, czaruje, jak preludjum Chopina.

— I długo trwa ten ostatni stan bolesny?

— Trwa chwilkę, ale...

— Wiem: ta chwilka to wieczność. Czytałam już o tem w ponurych nowellach. Niech się pan upaja chłodem wieczornego błękitu, — mówiła,

siadając na darniowej ławce, otaczającej dokoła gruby pień jabłunki.

— Chłodem? Co znowu? Poezyą, proszę pani, dramatem wreszcie. Ale ja przecież jestem podobno synem południa; złośliwi nazywają co prawda taką przykrą południowość po prostu żydowstwem; więc, jako niby syn południa, kocham tylko te szafiry ciemne, cudowne, porywające...

— Aż kocham? panie Wawelski, synu południa...

— Aż kocham...

— No i cóż się dalej stało w tej nowelli?

— Piękny bohater truchleje z trwogi, że przepiękna bohaterka nie pozwoli mu usiąść obok siebie.

— Nieszczęśliwy! czyż nie znajduje dokoła siebie na tym padole płaczu jakiegoś krzeselka?

— Krzeselka... nie, ale znajduje w sobie tyle odwagi, że siada obok ubóstwianej.

— Rozumie się na brzeżku kanapy.

— Ponieważ okrągłe kanapy nie mają żadnego brzegu...

— Więc biedak stoi, a pragnąc być uprzejmym i zajmującym, zrywa różę, tylko nie tę sztamową, bo te pan Świerkowski sprzedaje po piętnaście groszy sztukę, ale tamtę, z tego dużego krzaka, ponsową...

Adaś zerwał wskazaną różę i, niosąc ją ostrożnie, mówił:

— Bohater dotyka róży ustami...

Panna Wanda oparła głowę o pień drzewa i przyglądała się Wawelskiemu z pod rzęs. Ledwie dostrzegalny rumieniec zabarwił jej policzki.

— Co pan powiedział? — zapytała cicho.

— Mówiłem — szeptał Adaś, siadając obok niej bardzo blisko, — że...

— Ależ, panie Adamie, jak pan śmie... — mówiła z oburzeniem udanem, odsuwając się od niego na odległość cala.

— Czyż ja śmiem cokolwiek?... Chciałem tylko, aby pani dotknęła paluszką tej róży.

Pochylił się bliżej ku jej skroniom. Zapach włosów i ciała na wskroś go przeniknął. Słyszał, jak mu bije gwałtownie serce, widział, jak jej oczy ciemnieją, niby od napływającej do tęczówek fali błękitu, jak białka pokrywają się siateczką delikatnych naczyń, jak usta rozchylają się i ponosowieją i przepyszne ramiona ledwie dostrzegalnie drgają.

— Niech pan usiądzie tam, dalej!... Proszę wziąć sobie tę różę i przypiąć do żakietu.

— Nie dotknie jej pani ani jednym paluszką? Nie prawą ręką, broń Boże! lewą... Przecież lewą można, o, tym paluszką...

Położył na jej wypieszczonej i miękkiej, jak bukiet fijołków, ręce swoją i gładził ją, ledwie dotykając. Gdy chciał tę rękę podnieść do ust, panna Wanda usuwała ją, uśmiechając się prze-

kornie. Teraz wstrząsnęły nim te same dreszcze i jakby mu odebrały samowiedzę. Pochylił się nagle i ucałował usta panny Wandy.

— Ach! — krzyknęła gwałtownie i zerwała się z ławki, lecz ręka jej pozostała w jego dłoni. Stała z przymkniętymi powiekami przed Adasiem, oblana po brwi rumieńcem.

Z tego gwałtownego jej ruchu, z tej nawet chwilowej bezwładności, Wawelski wywnioskował, że na ustach panny Wandy złożył pocałunek — on pierwszy. Sprawilo mu to nieopisaną, przez mgnienie oka trwającą rozkosz. Schylił się, aby nieznacznie pocałować rękę, którą pieścił; wtedy panna Wanda wyrwała ją i odeszła.

Z odległości kilku kroków rzekła, nie odwracając się:

— Proszę nie iść za mną, bardzo pana proszę...

— Panno Wando, niech mi pani przebaczy — mówił Adam w pewnego rodzaju zgłupieniu. Nie wstał jednak z ławki. Zdała od ganku słyhać było rozmowę zbliżających się pań starszych.

Panna Wanda wracała ku ławce. W oczach jej cudnie zawstydzonych malowało się ukrywane pod maską min, przeraźliwie surowych, uczucie szczerzej i radosnej rozkoszy. Zbliżywszy się, mówiła ze zmarszczonem czołem i nie patrząc na winowajcę:

— Co pan zrobił? Jak pan się ośmielił? Co za bezczelność!.. Ja teraz chyba ospy dostanę ze wstydu!..

— Ja panią przepraszam, ja serdecznie żałuję, ale pani ma takie prześliczne oczy...

— Znowu bezczelność!.. nie, wie pan, że to coś przerażającego!

Stała tak blisko, że Adam nie mógł się powstrzymać, aby jej nie objąć. Nim pani Wawelska i pani Zofia weszły na uliczkę, zdołał przyciągnąć pannę Wandę do siebie łagodnie i w ciągu niewysłowionej sekundy trzymać ją w objęciach. Panna Wanda była pewna, że w tej chwili bogaty młodzieniec oświadczy się o jej rękę i dlatego nie opierała się. Wtem usłyszała rozmowę i odsunęła się chyżo. Pani Wawelska szła uroczyście, wykładając coś bardzo poważnego. Gdy podeszły blisko, pani Zofia przyglądała się siedzącej na ławce parze z uśmiechem zadowolenia. Stara dama zajęła miejsce na ławce i potoczyła się rozmowa, wahając się między powieściami Kraszewskiego a konfiturami z niedojrzałego agrestu.

Słońce za las zachodziło. Na łąkę wpełzała mgła jasna i rozpościerała się cisza letniego zmierzchu.

— Przecudny wieczór — zauważył Adam.— Co za cisza! »Słyszę, kędy się motyl kołysa na trawie, kędy wąż ślizką pierśią dotyka się zioła.

— Słyszysz pan, że wąż się dotyka?.. — zapytała pani Zofia z uśmiechem. — Ach! te zioła... Rosada. buraki, selery...

— Nie lubi pani wsi?.. — zapytał Wawelski.

— Wieś lubię i nie potrafiłabym literalnie wyżyć w mieście, nie mogę tam wytrzymać przez trzy dni, ale najbardziej lubię wieś wtedy, gdy wszelkie »zioła« leżą w beczkach, słoikach, w piwnicy. Jesień, to dopiero prawdziwa radość moja! Idę wtedy do lasu i siedzę sobie tam z robotą. Widział pan kiedy las w jesieni, podczas szarugi i wichru? Zdaje się, że świerkom zimno, gałęzie tulą się do pnia, niby ręce zmarznięte. Czasami znowu wydaje się, że drzewa wpadają w straszny gniew, że powydzierają z ziemi korzenie i pójdą dokądś w świat... Szczególniej lubimy obiedwie z Wandą szum jesienny. Raz chodziłyśmy tak po lesie ze dwie godziny, nic do siebie nie mówiąc. Mżył deszcz, poubierałyśmy się więc w grube obuwie Wiktora, pamiętasz *szwesterko*? Najlepiej myśleć sobie wtedy podczas głuchego szumu i huku, idącego górą po szczytach.

— Myśleć czy marzyć? — zapytał filuternie Wawelski.

— Marzyć? może Wanda marzyła, bo ja dałam już marzeniom dymisyę od dawna i patrzę na świat bardzo szaro. Rok temu, gdy Wandzia bawiła u nas w jesieni, chodziłyśmy czytywać Mickiewicza. Ja go bardzo lubię, bo to taki so-

bie dobry, poczciwy, prosty, a taki mądry człowiek. Czasami się egzaltował, ale bardzo rzadko. Szczególniej lubię, jak on opisuje miejscowości w »Panu Tadeuszu.« To takie jest dziwne... Albo gdy smutnie pisze, to kaździuteńki wyraz jest mądry: czasami jedno słowo ma ogromną masę znaczeń. Prawda, panie?

— O, tak... Mickiewicz... rzeczywiście... Tylko że to zacofaniec, według mnie, straszny, który nic nie widzi poza swoim powiatem. Radby skisnąć w swoich pojęciach upartych i nieraz ogromnie ciemnych. Szczególniej ten jego cały towianizm coś tak komicznego.

— Towianizm? — zapytała ze zdziwieniem pani Zofia — co to znaczy?

— Ja lubię bardzo Heinego — rzekła panna Wanda, spoglądając ukradkiem na Adama.

— Ba! Heine — uśmiechnął się, to — król.

Pani Róża przysłuchiwała się tej rozmowie z sympatycznym uśmiechem, wykazującym, że stara dama zupełnie nie pojmuje o co idzie, a ponieważ wieczór zapadał, zaczęła zabierać się do powrotu. Dorożka dawno odjechała, wypadło wracać piechotą, a że czas był prześliczny, więc pani Świerkowska i panna Wanda oświadczyły się z chęcią odprowadzenia nie tyle zapewne pani Róży, ile jej syna. Student znał już drogę przez las, podjął się tedy prowadzić karawanę. Od szlacheckiej willi do Odrobinki była zapewne z wiorsta drogi, willa bowiem leżała na

przeciwnej stronie miasteczka. Ciemno już było zupełnie, gdy całe towarzystwo dosięgło wreszcie stacyi kolejowej i kilkunastu domostw, porozrzucanych wśród lasu. Pani Zofia nie chciała wstąpić do Odrobinki, gdyż spodziewała się powrotu męża z Warszawy i nie mogła zaniedbywać swych zajęć gospodarczych. Adaś odprowadził te panie tą samą drogą.

Wszedł księżyc i nastąpiła jedna z tych nocy letnich, a może ta noc w lecie jedyna, gdy na ziemię zstępuje czar przedziwny. Tkwił w bladoniebieskiej przestrzeni rozmielony pył świetlisty, podobny do niezmiernie rzadkiej mgły, ledwie widzialnej. Przez konary świerków wdzierały się do głębi lasu białe promienie księżycowego światła i rzucały na jego dno oraz na pnie i leśną podszewkę bezkształtne plamy. Zimne światło odszukiwało krople rosy, leżące jak w miskach, w zagłębieniach listków i szyszek; czepiało się brzegów uschniętych zeszłorocznych igieł, co przygniatają jak bale i płyty kiełki, wypychające się z gruntu, wciskało się między włókna mchów i w nory pniów zbutwiałych.

Po całym lesie błąkały się jasne blaski, jak widma. Stanąwszy na brzegu lasu, pani Świerkowska zwróciła się do Wawelskiego, żegnając go; willa szlachecka była tuż za łąką.

— Mamy jeszcze tylko kilkadziesiąt kroków — mówiła, — miniemy mostek i wrócimy jeszcze przez furtkę. Nikt nie zauważy naszego spaceru.

Otuliła się szalem pod szyję i zwróciła twarzą do Adama. Na twarz tę padło światło, zamigotało jak lśniące pyłki we włosach, zlekka wzburzonych nad czołem, i nadało tej głowie jakiś wyraz szczególny, Student doznał takiego wrażenia, jakby panią Zofię w tej chwili dopiero po raz pierwszy zobaczył. Rozkoszny spazm ścisnął go w okolicach diafragmy i słodko obezwładniał. Radość wewnętrzną a bezmyślną sprawiało mu fizyczne przypatrywanie się tej twarzy, nacechowanej w tej chwili czemś niewysłowienie znajomem i blizkiem.

— No, dobranoc panu — rzekła pani Zofia.

Panna Wanda serdecznie i z trwożną namiętnością uściśnięła rękę Wawelskiego.

— Dobranoc — rzekł jakimś nieswoim i mimowoli smutnym głosem, ukłonił się i patrzył na oddalające się sylwetki tych pań. Długi, dziwaczny cień, padający od ich postaci, posuwał się po ubielonej rosą łące, wydłużał się, zwężał..

Wtedy młody człowiek poczuł w głębi serca jakby próżnię. Czuł bezwiednie, że mu czegoś brak, brak niesłychanie.

— Tu, przed chwilą stała ta pani — myślał, — o dwa kroki ode mnie... taka nadzwyczajnie piękna...

Z wysiłkiem uprzytomnił sobie oczy pani Zofii, barwę jej twarzy w świetle, dźwięk ostatniego wyrazu i, schwytawszy te kształty szczególnem pojmowaniem, poszedł do domu szybko,

co tchu, szerokimi krokami, jakby przed kimś uciekał ze zrabowanym skarbem.

Nazajutrz wstał bardzo wczesnie i poszedł do lasu. Sprawiało mu przyjemność brodzenie po dywanie z zeschniętych liści grabowych, w dalekich zakątkach lasu, błąkanie się fizyczne, kiedy wszystkie myśli błąkały się tak samo. Było to pewne rozbitcie i rozproszenie się zdolności, nagły zanik pamięci, zatracenie rozsądku i sprytu. Nie pamiętał tego poranka nic, literalnie nic, oprócz koloru niebieskiego stanika pani Zofii, a właściwie pamiętał tylko o jakiejś plamie niebieskiej, i to nieprzerwanie obecne a bezmyślne wspomnienie, będące jak gdyby wytworem nieświadomego myślenia, sprawiało mu przejmującą, jątrzącą skrycie, głęboką rozkosz. Ilekroć usiłował uprzytomnić sobie cały dzień ubiegły, rozmowę z panią Zofią, rysy jej twarzy, — gubił się w niejasnej pustce.

Okolo południa wyszedł na brzeg lasu, położył się na mchu w pobliżu drogi, prowadzącej przez łąkę do willi szlacheckiej, i patrzył. Słońce paliło; wysoko, w bezchmurnem niebie krążyły kanie, wołające przeciągle swoje *pić - pić*; na łące, w lesie, na drogach panowała nieruchoma cisza. Ze wzgórze, gdzie się ukrył, widać było dach willi, połyskujący w słońcu, czuby drzewek ogrodowych, szary parkan, żółty piasek na drodze, błyszczący złotawym blaskiem. Wszystkie te punkty zwracały i przykuwały do siebie jego

uwagę, ale w sposób dziwaczny: były to formy jego uczucia bezwiednego, kształty przemijających to udręczeń, to uniesień dziecinnie wesołych. Chwilami nie zdawał sobie zupełnie sprawy z kierunku tego chaosu wrażeń i pojmował to tylko jedno dręczącą i niecierpliwą półwiedzą, że ta droga żółtawa, przerośnięta skrawkami murawy, leży tak nieskończenie daleko, że tamtędy nie pójdzie w tej chwili, że nie można, niepodobna...

Nierychło przypomniał sobie, że trzeba iść na obiad i powłókł się do domu ze zwieszoną głową. Po południu wrócił co tchu na zajęty rano punkt obserwacyjny. Wzgórze to, do połowy wykarczowane przez pana Świerkowskiego i zasiane owsem, który kołysał się teraz wełną ciemno-zielonych piórek pod tchnieniem ciepłego wiatru, — wieńczyła kępa niskich chojaków. Leżały tam stosy wykopanych przy karczunku kamieni, kupy suchego jałowcu, powydzieranego z korzeniami i, wykroty pniów starych. Wawelski wpełzał między krzaki, zdejmował kapelusz, kładł się na mchu i czekał. Nie miał żadnej nadziei zobaczenia dziś pani Zofii, a jednak czekał na coś, podniecany przez niejasne, senne przecucia.

Ukośne promienie słońca padały na drogę, dźwigającą się z dołu między dwoma podartymi przykopami, zarysowywały wyraźnie każdy krzaczek tarniny, każdy kołek i żerdź zmurszałego

płatku i zdawało mu się, że zbliżały te ciemne punkty, jedynie odbijające od tła jasno-zielonej przestrzeni.

W głębi zabudowań czekał z nudów jakiś pies. Chwilami szczekanie rozlegało się [głośniej, czy może wiatr wyraźniej niósł jego echo, — wtedy Adam podniósł głowę. Nic nie widać, niema nikogo...

Dla oszukania własnej niecierpliwości obserwował ciche życie dna lasu, licząc, że zajęcie to skróci czas między chwilą obecną i tą chwilą bezgranicznego upojenia, jaka może nadejść, a może nie nadejść wcale. Upływały minuty, kwadranse, godziny...

Oto mały pająk na krótkich kabłąkowatych nogach mknie szybko po badyłu konwalii, przeskakuje z listka na listek, jak zwinnie góral, dobiega do szczytu i siedzi tam, w zamyśleniu przebierając nogami. Skacze zniecka na sąsiedni kwiatek, wdziera się na jego wierzchołek i cały, z nogami i szarem cielskiem, pakuje się w kieliszek kwiatu. Siedzi tam nieruchomo, jak zbójnik tatrzański. Po tym samym badyłu spina się z mozołem do góry brunatna boża krówka; jak uboga kobiecina z brzemieniem na plecach, lezie i zsuwa się maleńki syzyf, opiera się silnie nogami i usiłuje dotrzeć do tego właśnie dzwonka kwiatu, gdzie siedzi chybki rozbójnik.

— Jeżeli dojdiesz, maleńka,—myśli Adaś — to pani Zofia... tu przyjdzie... pani Zofia... Zofia...

Wiatr przynosi wyraźne, radosne szczekanie psa — i nim boża krówka zdołała wstąpić na odnóżkę małego badyla, z bramy folwarku wysuwają się dwie jasne figury. Błyszczą w słońcu ponsowa parasolka, a opodal — niebieska suknia.

— To idzie pani Zofia, — szepce Wawelski, przypadając twarzą do mchu w jakimś ogłupieniu, czy szale radości.

Serce mu bije, krew pulsuje w skroniach, w gardle zasycha. Wkrótce słyhać już odgłos rozmowy, niejasne dźwięki odbijają się o ścianę lasu, przerywa ciszę krótki, urwany wybuch śmiechu, potem wszystko znowu zacicha. Za chwilę te panie rozmawiają już w lesie, — wyminęły schronienie Adama, nie zauważywszy go: panna Wanda śpiewa półgłosem preludjum: »Czemu w sercu smutno?...«

Wówczas student jął na gwałt oczyszczać ubranie z igieł świerkowych i mchu, wstał i, wysunąwszy się na drogę, podążył w kierunku echa rozmowy.

W głębi lasu przecinały się na wzgórzu, tworzącem maleńką polanę, dwie zapuszczone drogi. W środku stał spróchniały pniak starego świerka, obdarty z kory i porzeźbiony śladami dróg drzewojadów. Przy pniaku siedziały obiedwie damy w pozach nie tyle malowniczych, ile niedbałych. Kiedy Wawelski zbliżył się i mógł widzieć twarz pani Zofii, uspokoił się nieco, acz-

kolwiek nie mógł zebrać rozproszonych myśli i wrażeń.

Panna Wanda była niesłychanie zadowolona z jego przybycia, kokietowała go oczami, ruchami, pantoflami, półsłówkami, uśmiechami, a nawet usiłowała drażnić, oddalając się co pewien czas o kilka kroków. Wówczas Adam mógł rozmawiać z panią Zofią i patrzeć jej w oczy. Uderzał mu wtedy do głowy jakby czad, dzięki czemu nie mógł mówić głośno, i najzwyczajniejsze zapytania i odpowiedzi wypowiadał zdławionym szeptem.

Pani Zofia siedziała na murawie, oganiając komary gałązką świerczyny. Teraz wsiąkły w jego pamięć na zawsze rozmaite szczegóły: kształt jej ramion, piersi, kształt podwiniętych nóg, od-ciskający się na sukni, charakterystyczne pochylenie na bok głowy, gdy wymawiała rzadko przez nią używane wyrazy, leniwe wznoszenia się powiek, dźwięk śmiechu, śmiechu półgłosnego, jakby był zaledwie echem czyjejs wesołości. Adam doznawał wreszcie tego radosnego upojenia, jakie niedawno przeczuwał, a jakie teraz zdawało się uciekać, wrywać, unikać go... Każde zbliżenie się panny Wandy sprawiało mu niewypowiedziane cierpienie, każde jej słowo wydawało się nierozsądnem, każde spojrzenie wyzywającym, natrętnem i nudnem.

Gdy się słońce nachylać zaczęło ku zachodowi, mieszkanki willi poprosiły Adama na her-

batę. Poszedł z wielką chęcią. Pan Świerkowski był już na ganku, gdy się do willi zbliżyli. Pragnąc ufetować swego gościa, w którym przeczuwał jakiegoś demokratę, używał co kilka słów: »bo to, uważa pan, ta nasza szlachta...« — »ja tam z całą szlachtą o... tyle nie mam styczności...« i t. d.

— Ale i ten chłop, — wołał — to jest także! Tak się to mówi: chłop, chłop... Daj mi pan z łaski swojej takiego chłopca, któryby wziął ode mnie ogród w dzierżawę. Parch, uczciwszy, przychodzi, wylicza siedmdziesiąt pięć rubli, siedzi całe lato w budzie, nie wiem, czy on tam je co, czy nic bestya nie je, — dość, że ja moje siedmdziesiąt pięć rubli mam w kieszeni i on na pewno zarobi. Jaby m z duszy serca rad zgnieść żydów ze szczeniem, ale komuż ten ogród wypuszczę? — wołał z desperacją. — Chłop będzie mi miesiąc medytował, potem się namyśli i da, wie pan, ile?.. czterdzieści rubli!.. Będzie się sam objadał gruszkami, będzie spał w nocy, owoc mu rozkradną, sam straci i ja na jego handlu. On musi się objeść, papierosika wypalić, wódeczki w niedzielę... No, da mi pan chłopca, któryby mi zastąpił żyda, któryby sam zarobił i mnie dał tyle, ile daje żyd? No, panie Wawelski...

— Skądże ja mogę wziąć jakiegoś chłopca? Może gdyby w *Kuryerze* ogłosić... — tłumaczył się Adam, a jednocześnie przez mózg jego prze-

mknęła myśl przykra, że w tym ogrodzie latem będzie jakiś żyd siedział.

— Tak ci moja! — śmiał się Świerkowski — w *Kuryerze* ogłaszać... Jeszcze i na *Kuryera* z pięć złotych wydać; zresztą, czy pan myśli, że chłopcy czytają pisma?

— A cóż ci chłopcy koniecznie mają brać pański ogród?.. Miał pan zamiar wysłać owoce do Warszawy, sam uskutecznić tę manipulację...

— Tak się to mówi... sam... manipulacja. A ile to ja wydam na koleje, na jazdy, na hotel w Warszawie? Panie! — wrzasnął nagle, — jeśli my się sami żydami nie staniemy, żydami, — panie, to ja sobie rękę daję uciąć, że nie zwyciężymy tych pijawek!

Wawelskiemu robiło się trochę nieswojo wobec perspektywy stawania się znowu żydem, szczególnie, gdy patrzył na przymusowo poważną minę pani Zofii.

Świerkowski, wybierając się o zmroku do obory i stajni, zaproponował Adamowi zwiedzenie gospodarstwa. Poszli tedy obadwaj. Oglądali parę młodych i ładnych koni; szlachcic kazał je natychmiast wyprowadzić, prezentował ich nogi, kłęby, kopyta, łopatki, szyje, odsady ogonów i t. d., a zachwalał, jakby miał przed sobą nabywcę. Przeszli następnie do obórki, aby obejrzeć krowy. Znowu zaczęło się wyliczanie przymiotów, życiorysów, narowów i wad każdej krowy zosobna. Studenta nudziło już to wszystko

śmiertelnie, to też pragnąc zakończyć szereg przymiotów jakiejś Kwiatuli, rzekł:

— Tak, to śliczna krowa; co za odsada ogona!

Świerkowski wytrzeszczył oczy i zaczął tłumić śmiech w taki sposób, jakby połykał jeden po drugim surowe buraki.

— Czego się ten plantator śmieje? — zapytywał siebie w duchu Adam, gdy wyszli wreszcie z pomiędzy stosów nawozu i skierowali się ku domowi mieszkalnemu.

Na tle bukietów rozkwitego bzu, którego cały gaj rozrósł się dokoła ganku, widać było głowę pani Zofii. Niedawny śmiech Świerkowskiego, jego obecność w danej chwili i widok tej głowy, coraz piękniejszej, sprawiły, że Adaś po raz pierwszy pojął, co się z nim stało; zrozumiał tę klęskę, ten cios, to nieszczęście, że pani Zofia jest żoną takiego oto pogromcy żydów. Głucha i ślepa energia instynktu miłosnego spotkała się po raz pierwszy z tamą, z nieugiętym i brutalnym hamulcem, to też w mgnieniu oka stała się przyczyną paroksyzmów cierpienia, kłusających zniecka, jak przypalenie rozpalonym drutem, a przepadających za chwilę przy napływie wrażeń miłosnych, przychodzących z zewnątrz, aby tę słodką i rozkoszną energię do nowych wybuchów zasilać. Nadmierną i dominującą nad zdrowym rozsądkiem litość dla dopiero co powstałego uczucia zmieniał gorzki żal do pani Zofii, żal nieutulony i skłaniający do łez

prawie. Poczucie dokonywającego się bezprawia, poczucie prawie fizyczne, bo ścisnęło za serce, tętniło w pulsach i uderzało do głowy falą krwi odszukało wreszcie w duszy Adama jakiś punkt i zatliło w nim coś złego. Ten mąż, z jego wąsami, butami, grubemi paluchami i wargami mlaszczącemi zaczął mu ciężyc na ciemieniu, jak kamień młyński. Przy herbacie, podczas gdy szlachcic usiłował rozweselać wszystkich cytowaniem kolejnym anegdot, jakie praszczurom jego obmierzły już od częstego powtarzania, Adam wpatrywał się w talerz z nieopisanie cynicznym uśmiechem. Nie mógł, literalnie nie był w stanie podnieść oczu ani na Świerkowskiego, ani na panią Zofię. Żyły mu na czole nabrzmiały, jak strąki grochu, nozdrza drgały. ręce potniały, łyzy piekły w oczach.

Zaraz po herbacie żegnać się zaczął. Obiedwie siostry przyglądały mu się z nadzwyczajną ciekawością i zdziwieniem. Świerkowski przeprowadził go z latarką przez ogród i, nagadawszy jeszcze wiele rzeczy, wypuścił przez furtkę w parkanie. Młody człowiek szedł po kretowiskach i ścieżkach, wydeptanych przez bydło, niosąc w sobie smutek taki, jakby go spotkało jakieś wielkie i niespodziewane nieszczęście. Wszystko teraz było mu obce, — cały świat, książki, idee nie miały z wewnętrzną treścią jego duszy żadnego literalnie związku. Czuł się obcym na

ziemi, rozbitym w sobie, opuszczonym i samotnym...

* * *

Pani Świerkowska i jej siostra znajdowały codziennie na pniaku w lesie bukciek narcyzów, ilekroć szły na spacer. A chodziły od ostatniego spotkania się tam z Adamem każdego odwieczera bardzo regularnie. Panna Wanda biegła zazwyczaj naprzód i, dostrzegłszy na rdzawej powierzchni pnia wypukłą, białą plamę, śmiała się głośnym, głęboko zadowolonym śmiechem zwycięstwa. Obiedwie były pewne, że Wawelski oświadczy się lada dzień, że matce jego pochlebiać będzie taki związek, że tedy... Pani Zofia cieszyła się również z tego tryumfu, aczkolwiek nie mogła się zgodzić, zdecydować wewnętrznie na moralne i rodzinne zbratanie się z pięknym mechesem. Nie krępowały jej żadne uprzedzenia szlacheckie, znała bowiem aż nadto dobrze wartość pieniędzy i pragnęła z całego serca uchronić za jakąkolwiek cenę od ich braku swą siostrę, ale nie mogła przewyciężyć skrytego i niewytłómaczonego uczucia iście kobiecej niechęci. Stały jej w oczach dzieci, istoty niewinne, które zjawiają się na świat, dzieci Wandy... A nuż powyrastają im garbate nosy i odstające uszy! Adam jest pięknym chłopcem, nie ma ani w rysach twarzy, ani w całej postaci, ani w mowie, ani nawet w charakterze cienia

zydostwa, ale te dzieci, te dzieci... Panna Wanda nie doświadczała żadnych tego rodzaju niepokojów — tem więcej, że pokochała Adasia nagłym, namiętnym i niecierpliwym uczuciem, jakie wobec warunków nieodpowiednich znika szybko, wobec sprzyjających nie trwa również dłużej nad niewyraźny kres miodowego miesiąca.

Nad wszelkimi zresztą humanizmami górowała ta zasada: Adaś jest bogaty, za rok będzie skończonym prawnikiem, a ona mieszkać będzie w Warszawie. Kiedy zestawiała nędzne położenie guwernantki, istoty najbardziej na ziemi nieszczęsnej, z położeniem mecenasowej, bogatej mecenasowej w Warszawie, czuła, że nad życie kocha Adasia.

Tymczasem Wawelski nie dla niej przynosił codziennie sześć pachnących narcyzów, nie dla niej wstawał rano, zrywał i niósł te kwiaty, jeszcze kroplami rosy okryte, mając w oczach mgłę, a w sercu smutek, dla którego jedynym ukojeniem były właśnie białe, wywinięte listki narcyzów. Były to symboliczne kwiaty: każdy z nich oznaczał jedną z liter wyrazu... »kocham.« Adaś przychodził do pniaka rano, kładł kwiaty i szedł następnie dokądś, daleko w las, aby w zapadłych jego kątach leżeć na ziemi i patrzeć przez gałęzie w niebo. Po południu spotykał piękne siostry na polance i patrzył z cynicznie mściwym uśmiechem na pieszczanie jego kwiatów przez pannę Wandę; czasami nic

prawie nie mówił, a czasami zachwycał swe słuchaczki naukowo-artystycznymi monologami, wypowiedzianymi z nienaturalną swadą i zamazyścią, jakby pragnął pokazać, co umie, czym jest. Był wszędzie, dokądkolwiek udawała się z siostrą pani Świerkowska. W sklepach, w kościele, na rozmaitych nudnych wizytach zjawiał się, jak cień. Nienawidził prawie teraz przywłaszczycielki jego symbolicznego »kocham« i odnajdywał w niej mnóstwo przywar, segregował je i codziennie dopisywał w pamięci jakiś nowy szczegół do aktu oskarżenia. Drwił w duchu z wewnętrzną uciechą z jej modnych stroików, z manii biednej nauczycielki, wydającej wszystkie zarobione pieniądze na suknie i kapelusze.

Codzień inny kubraczek: krótki, długi, wcięty, puszczonej wolno, bufiasty, porozpruwany, jasny, żółty, ciemny, czarny, — codzień inna suknia... Co ona ma tych spódnic, żakietów, pantofli, kapeluszy! Ciekawa rzecz, czy też ma czyste koszule, czy jej wystarczy pieniędzy na płótno? Czyż nie jest — myślał — dowodem jej marności moralnej to małpowanie ludzi bogatych, małpowanie, uskuteczniane z największym trudem, kosztem gorzkiej pracy, i w jakim celu?—w celu zdobycia na gwałt męża. Niema na świecie nic literalnie do spełnienia, tylko zdobyć na gwałt męża. Naturalnie wzgardziłaby człowiekiem rozumnym, ale ubogim, bo na horyzoncie widzi tylko cztery fuchy, zapewniające posiadanie

salonu: inżynier, adwokat, doktor, — ach, inżynier! — i od biedy agronom, — notabene nie żaden Świerkowski, ale dzisiejszy ziemianin, młody i nadobnie dumny radca Dyrekcyi szczegółowej... Usiłuje pochwyć tego bogatego młodziana za pomocą prześlicznych, coraz piękniejszych spódnic i staników. Co za ogon cywilizacyi! Co z tej panny za ofiara powszechnej zarazy, zatruwającej życie tego społeczeństwa! Jest arystokratką, chociaż nie umiałaby nawet tego sformułować; każdy jej czyn, krok, myśl jest krokiem, myślą i uczynkiem wielkiej damy. — Ona nie mieszka, lecz *bawi*, — życie jej dzieli się na *sezony*, charakterystyczne według tego, czy dobrze lub źle się bawiono w danym sezonie; jej wiedza, zamiłowanie do muzyki, uczenie się na pamięć rozmaitych mniej lub więcej mdłych wierszy, jej czytanie książek — to wszystko środki reklamowania się, boć ona tego wszystkiego nie lubi, na wszelką pracę patrzy, jak na najgorsze zło, warunki życia Świerkowskich uważa za jakąś wstrętną, anormalną, chwilową wegetacyę, a swoją urodę za pewną wartość, jaką radaby mnie ufetować dlatego, że wie coś o moich pieniądzech. Ruina majątkowa, pensya, życie, książki, niedostatek niczego jej nienauczyły, nic jej nie powiedziały... Pożądanie zbytku — oto treść duszy tej dziewicy; a że ten zbytek może jej się wymknąć, więc zdąża do niego przez wszelkie kłamstwa. Nie upadnie nigdy z ja-

kiejs miłości, bo wie, że to spowodowałoby spadek ceny towaru; będzie szukała tego inżyniera do śmierci, a przynajmniej staropanieństwa; za pieniądze, jakie wyda na kaprysy mody, można by sklep kolonialny założyć. Ach, ty sroko, papugo, papugo, jakże jesteś śmieszna...

Złość i odraza wzrastały w jego sercu w miarę gmatwania się tego stosunku, w miarę coraz większego rozczulania się wzroku panny Wandy. Sądził poprzednio, że tajemnica jego kwiatów odkryta wreszcie zostanie; uknuł nawet zdradziecki plan posługiwania się modną panną, jak parawanem, oszukiwania jej, zwodzenia półsłówkami w tym celu, aby wobec Świerkowskiego i tak zwanego świata mieć pretekst do częstego widywania pięknej mężatki. Atoli narcyzy zdobyły i zdobyły bez końca najbardziej uroczą okolicę gorsetu panny Wandy. Niepodobna było nawet przerwać zanoszenia bukietu, bo cóżby to znaczyło, do czego mogło doprowadzić?

Nosił go więc ze śmieszłą zapamiętałością, rzucał na pniak z jękiem jakiegoś niemądrego bólu...

Panna Wanda zrozumiała nareszcie tajemnicę Adasia panińskim instynktem. Wyśledziła w pewnej chwili jego oczy, gdy skrycie, z pod rzęs całowały, pieściły, obejmowały i tuliły głowę jej siostry. Z tego jednego wejrzenia jej biegłość w kunszcie zawracania głowy wyciągnęła wnioski o stopniu uczuć Adasia. Wnioski te doku-

czały jej, jak najpodlejsza zdrada, wywlekły z głębi jej serca nieznane dotąd uczucia mściwej goryczy i złego żalu. Musiała zrozumieć, że zniszczony został nie tylko fakt zbałamucenia bogatego młodzieńca, który uważała za dokonany, ale że rozdeptane są marzenia o końcu nauczycielstwa; dotkniętą została do żywego duma jej, jako pięknej, znieważoną jakoby uczciwość przez pocałunek w ogrodzie, oszukanemi nadzieje, które już przywarły do bukiecika narcyzów, zrosły się z samem pojęciem, z wyobrażeniem o kształcie i zapachu tego kwiatu.

Gorzko jej było wyrzec się wszystkiego, myśleć, że za dni kilka znajdzie się gdzieś daleko, w obcym domu, w małym »pokoju dla guwernantki,« — gdzie znowu będzie rodzajem sprzętu, potrzebnego chwilowo, piątem kołem u wozu, — gdzie przyjeżdżające z wizytą damy oglądać ją będą od stóp do głów wzrokiem, jakim się ogląda nową guwernantkę, i cenić o tyle o ile ma dobry akcent francuski — gdzie dokucać jej będzie tak samo, jak tu, oszukana ła-twowierność i pocałunek, pocałunek ofiarowany za darmo...

Podobało mu się — myślała — pocałować mię, więc pocałował, przyciskał mię do siebie, jak pokojówkę, — co za hańba! I niema na to rady... Kocha teraz Świerkowską (panna Wanda nazywała odtąd dotychczasową Zosię—Świerkowską), kocha uczciwą mężatkę, matkę, po-

rzadną kobietę... Zawiaże się romans, romansik z mężatką...

To jedno ją pocieszało, że Adaś będzie nie-
szczęśliwy, cokolwiekby się stało, zawsze będzie
nieszczęśliwy. Postanowiła wyjechać niezwłocz-
nie, aby na ohydny romans nie patrzeć i nie
brać w nim udziału, — a że na miejsce, które
opuściła niedawno, mogła powrócić w każdej
chwili, zatelegrafowała tedy w sekrecie przed
panią Zofią i po upływie dni kilku otrzymała
odpowiedź z zawiadomieniem, kiedy na ostatniej
stacyi kolei będą na nią konie oczekiwać.

Ukartowując ten niespodziewany wyjazd, pan-
na Wanda miała na celu zbadanie ostateczne
Adasia. Łudziła się jeszcze nikłym promykiem
nadziei, jaki dusił w gardle i lży z oczu wyci-
skał. — A nuż — marzyła — żal mu się zrobi,
a nuż zlituje się ten... żyd...

Następnego dnia po otrzymaniu przez pannę
Wandę wezwania do wyjazdu, Wawelski był
w lesie. Siedział, jak zwykle, oparty plecami
o krzak jałowcu, i monotonnie, wyraźnie, za po-
mocą dobrze uszykowanych zdań, wyłuszczał ja-
kąś kwestyę społeczną. Panna Wanda nie ro-
zumiała tego, co mówił, była bowiem zajęta
układaniem kategorycznej formuły swego wy-
jazdu, formuły takiej, jakaby zaskoczyła znie-
nacka i jego i panią Zofię. Obdzierała niecier-
pliwie palcami listki narcyzów, mięła je i gry-
zła. Gdy mówca przerwał na chwilę potoczysty

wykład, wstała i, hamując wzburzenie wewnętrzne, rzekła do siostry:

— Zosiu, nie siedźmy dziś długo tutaj, bo ja muszę jeszcze pozbierać rzeczy...

— Jakie rzeczy? Po co?

— Wiesz przecie, że dostałam telegram; jutro rano jadę.

— Wandeczko! cóż ty?.. Dlaczegoż masz jechać? — mówiła, podnosząc się szybko z ziemi mając już pełne oczy łez, pani Zofia.

— Pojadę stanowczo! Trzeba pracować, zarabiać na życie; namyśliłam się... Stanowczo!..

Wawelski poczół zimny dreszcz w plecach. Siedział ze spuszczonei powiekami, ważąc przebiegle to oświadczenie. Czy to dobrze, czy źle; czy dobrze, czy źle? — myślał. — Mogę bardzo wiele zyskać, ale mogę wszystko utracić. Jutro już tutaj »Zofia« nie przyjdzie; nie będę jej widywał, nie będę jej widywał...

Pani Zofia zapomniała prawie zupełnie o jego obcności i, obejmując siostrę za szyję, prosiła na wszystko, aby nie odjeżdżała. Nic jednak nie pomogły persfazy, a nawet mruganie powiekami. Zjadliwy uśmiezek Wawelskiego utwierdzał guwernantkę w zaciętym i dla niej samej dokuczliwym uporze. Obiedwie miały teraz łyzy w oczach, były wzburzone: szybko pożegnawszy towarzysza spacerów, odeszły do domów.

Nazajutrz raniutko, gdy panna Wanda wsiadała do wagonu i szukała zaognionemi oczami

»parszywego żydziaka« — w tym celu, aby mu nie odpowiedzieć na ukłon pożegnalny, aby mu nie podać ręki, aby go zmiażdżyć niemym a pogardliwym wyrazem ruchów i twarzy, — pogardzony niósł do pniaka bukiet, jak zawsze. Szedł szybko, chwilami biegł, co mu sił starczyło. Ten bieg i zmęczenie aż do braku tchu był jak gdyby dobrym przewodnikiem, odprowadzającym z jego nerwów nadmiar trwogi, pragnienia niepokoju i wzburzenia, które go nękało i nudziło przez całą noc bezseną.

Zostawił kwiaty na pniaku i wrócił do domu. Czytał tam jakąś książkę, nie rozumiejąc ani jednego zdania; wycierał mechanicznie chustką wilgotne ręce i czekał wieczora. O zmroku poszedł chyłkiem, okrążając las dokoła, dotarł do polanki, starając się nie sprawiać żadnego szelestu, i dostrzegłszy, że bukiet, zwinięty i poczerniały, leży na miejscu, wrócił do domu. Nazajutrz znowu zaniósł kwiaty i doczekał się tego samego skutku. Na trzeci dzień był już jakiś chory z uporu i dreszczów oczekiwania, oraz podniecenia moralnego. Szedł po południu do pniaka, ulegając mdłemu widzeniu, — bo nie kombinacyi i nie przeczuciu, że spotka panią Zofię. I rzeczywiście spotkał się z nią w lesie na ścieżce. Na godzinę przedtem spadł przelotny, rześisty deszcz letni, zmoczył ziemię aż do głębi, napełnił koleje dróg szorującymi wartko potokami, a las dusznym czadem pachnącej wilgoci.

Pani Zofia szła sama, wysoko obiema rękami unosząc suknię i tupiąc co chwila po korzeniach sosen, aby otrząsnąć błoto z przemoczonych trzewików.

Zobaczywszy Adasia, zmieszała się i wykonała niezdecydowany ruch, jakby chciała uniknąć spotkania, — lecz że był blisko, przywitała się z nim sztywno i, nie patrząc na niego, odpowiadała niedbale tylko na pytania.

— Czy pan nie wiedział o odjeździe mojej siostry? — zapytała wreszcie, patrząc mu w oczy z obojętnym uśmiechem. — Zostawił pan dla niej kwiaty...

— Tak, zostawiłem je tam, jak zwykle, dla pani... — odpowiedział szorstko, nienaturalnym basowym głosem.

— Dla mnie? — krzyknęła prawie i wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

— Może je pani przecie podeptać, rzucić, porwać na strzępy; ale pozostawiłem je dla pani.

Szli kilkanaście kroków, milcząc, jakby się mieli rozejść za chwilę.

— Nie rozumiem pana zupełnie, — rzekła z niejaką dumą pani Zofia, chociaż zrozumiała znakomicie. — Mogę tylko nie brać tych kwiatów, nie być tutaj nigdy, dopóki pan nie wyjedzie...

— Będzie pani tutaj choć raz kiedyś, aby zobaczyć trupa waryata, który sobie tutaj właśnie łeb roztrzaska... tutaj właśnie...

Zatrzymał się i patrzył na nią suchemi, pałającemi żrenicami.

— Panie Wawelski! Co też pan wygaduje?.. Bez sensu...

— Wiem, że bez sensu, to też żegnam... panią...

Dolna szczeka jego zielonkawato-bladej twarzy wysuwała się naprzód i drgała konwulsyjnie; oczy cofały się pod powieki i ćmiły bielmem wściekłości.

— Panie! Niech pan zaczeka... Niech pan powie, o co panu idzie; nie rozumiem, czego pan chce ode mnie.

Pamiętała nieustannie, że może ktoś zobaczyć ją samą w lesie z pięknym chłopcem; to też, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, z pośpiechem oddalała się od ścieżki, i przedzierając się przez zwarte zarośla młodej świerczyny, szła w głąb lasu, do tak zwanych Wilczych Dołów. Wilcze Doły były wyrwą między dwoma pagórkami, zacienioną ze wszech stron lasem. Na zboczach i osypiskach tego głębokiego wąwozu rosły pochyło, prawie pniami na dół, rozłożyste, okryte mnóstwem liści dębczaki, leszczyna, lipy i graby, nakrywając go gałęziami, jak płaskim dachem. Dno wyścielały bujne przepyszne, nasycone wilgocią, kędzierzawe trawy, wielkie badyle dziewanny, gencyana o fioletowych dzwonkach, kępy lancetowych szczawiów łopianów. Pani Zofia zeszła szybko po pochy-

łej szyi parowu w głąb i stanęła tam, trzęsąc się ze strachu. Adam szedł tuż za nią.

— O co panu idzie!.. niech pan powie... Czego mnie pan tak przeraża?

— O nic mi nie idzie... Żałuję, że panią przerażam, ale to mię, uważa pani, nadto już zmordowało...

— Co? Co pana zmordowało?

— Szalona miłość, straszna miłość, głupia miłość, podła miłość! Muszę patrzeć stąd na dom pani, z daleka; muszę myśleć, że pani tam jest z tym mężem, wielce dla mnie obca, cudza, na zawsze stracona, pożegnana! Niech pani zrozumie przecie te wściekłe myśli, że każdy chłop, każdy żyd wędrowny, każdy parszywy pies może pójść tam, patrzeć na panią; tylko mnie wara, chociaż za tę rozkosz oddałbym... I tak codzień, zawsze, na wieki! Nigdy... nie wolno!.. nie!..

Mówił to jedynym tchem, chrapliwie. Zdjął machinalnie kapelusz i miał go w ręku, tarł i szarpał. Przepocone włosy oblepiły mu czoło; oczy nie miały żadnego wyrazu, jak u obłąkanego; wargi zbladły, jakby były powalane kredą.

— Więc cóż ja mam zrobić, panie, panie Wawelski? — przerwała mu z naiwym żalem pani Świerkowska, bezwiednie naśladowując wyraz jego twarzy i ton głosu.

— Ach, nic, nic! Skończyć to raz, skończyć...

— Niech pan się uspokoi, mó złoty panie: proszę... — mówiła, jak do dziecka.

Te jego włosy, kosmykami przylegające do czoła, wywierały na nią szczególne wrażenie, wydawało jej się, że on już jest poraniony, że na tem jego czole są okropne, krwawe rany. W jakimś odurzeniu wyjęła z pośpiechem chustkę i obcierała mu czoło. Było jej tak strasznie żal tego chłopca, ścisnęła go w piersiach przerażenie, gmatwające wszystkie myśli rozsądne: — oto wyjmie z kieszeni pistolet i zastrzeli się, wyjmie pistolet i zastrzeli się — szeptał w niej jakiś głos obcy.

— Panie! niechże się pan uspokoi... — powtarzała krzykliwie, biorąc go i ściskając za rękę. — Co tu ja pocznę, Matko Boża, co ja pocznę?..

— Nic, niech pani powróci do domu, niech pani na pociechę popieści męża. Cóż to panią obchodzi? A ja nie mogę, nie mam siły do zniesienia!

— No, czego pan chce? no, niech pan powie, — zaczęła mówić pieszczotliwie, nic już teraz nie wiedząc, gdzie jest, czego od niej chcą, i dygocąc z przerażenia, że on natychmiast się zabije.

Wawelski tak zaciekł się w rozrabianiu poczucia własnego nieszczęścia, poczucia, dławiącego naprawdę, i dalszych jego rozgałęzień, którymi półbezwiednie się podniecał, że sam nie

wiedział czego chce. Przez zaćmiewający mu umysł tuman cierpienia przemknęła jednak myśl jasna, że ugodził w serce pani Zofii, że jej dokuczył i tem cierpieniem ją zahaczył, że się narreszcie włamał przemocą do jej duszy; to też, trzeźwiejąc z rzeczywistego bólu, zatrzymywał na twarzy wyraz zdecydowanej na wszystko rozpacz.

Widok trwogi i cierpienia w jej oczach rozniecał w nim miłość samą, słodką i radosną. Zaczął całować ręce pani Zofii, wyjękując jakieś wyrazy bez sensu, jakieś nazwy pieszczotliwe, których nie śmiał i nie umiał wypowiedzieć głośno.

— Nie robi pan sobie nic złego? Nie robi pan?.. — pytała, nie wzbraniając mu tych pocałunków, głosem wciąż przerażonym.

— Nic nie wiem, nie wiem...

— Niech mi pan da słowo honoru i niech pan jutro rano przyjdzie do nas...

— Nie, tam nie przyjdę! Ja tak kocham, tak kocham...

— Ja muszę pana jutro rano widzieć. Niech pan przyjdzie... Męża nie będzie.

Znaczenie tego ostatniego zdania zrozumiała dopiero po chwili.

— Nie, nie przyjdę tam. Tutaj... — szepnął Wawelski.

— No, dobrze...

Dostrzegła, że się uspokoił, i ochłonęła sama, Szybko podała mu rękę i odeszła blada, zmieszana, zgłupiała.

* * *

Burzliwy, zacinający z boku deszcz trzepał wśród półświstów wiatru w szyby sypialnego pokoju Świerkowskich. Dopiero świt się zaczął. Duża granatowa chmura, okrywająca pół horyzontu, wznosiła się leniwo ze wschodu i osłaniała zupełnie czyste niebo, skąd, jak przez szczelinę, tryskało purpurowe światło wschodu. Pani Zofia obudziła się, oparła brodę na poręczu łóżka i patrzyła sennemi oczyma przez nieosłonięte okno na ten przepyszny, czerwony blask, przełamujący się w niciach wody deszczowej.

— Deszcz... — ziewnęła i przytuliła twarz znowu do poduszki. Było jej w tym półśnie niesłychanie dobrze i wesoło. Chlupanie deszczu w czystej kałuży pod oknem sprawiało melodyjny, usypiający szelest; wiatr stopniowo uciuchał i rozszerzała się zorza, zapowiadając pogodę.

— Wawelski... — szeptała pani Zofia poduszce, ledwie zdając sobie sprawę z tego, co oznacza ten wyraz, i wmyślając się przez półsen w to coś rozkosznie wesołego, co się z wyrazem tym kojarzy.

Śpiący w przeciwległym kącie pokoju pan Wiktor pogwizdywał, cmokał, pykał, sapał i wypuszczał chwilami przez nos niepełne basowe tony, na podobieństwo zdezelowanych organów. Tuż obok spał cicho w maleńkiem łóżeczku nieprzyzwoicie obnażony mały Zygmus. Kołdrę odepchnął nogami, poduszkę zrzucił na ziemię i zwiesił małą opaloną głowę poza poręcz łóżka. Pani Zofia przyglądała się tej jego pozie ze współczuciem, ale leniła się podnieść; wreszcie wstała i podsunęła mu poduszkę pod głowę.

Było jej nie wiedzieć czego wesoło: miała chęć usiąść na łóżku męża i naśladować jego chrapanie. Stuliła wargi, gwizdnęła zupełnie tak jak on, a poczuwszy chłód, pociągający od okna, wskoczyła na swe łóżko, zawinęła się z głową w kołdrę i gwizdała a chrapała tam, wciąż go naśladowując.

— Trzeba iść do krów, o jej... — myślała — taki deszcz.

Wyciągała się jeszcze i wygrzewała w łóżku z kwadrans, a potem zerwała się raptem i na pół ubrana, okręciwszy głowę chustką, wyszła na palcach do kuchni. Ogromna dziewczka, zaspana rozkudłana, poprawiając »ciasnochę,« zbierała skopki, powązki, konewki i budziła szturchańcami drugą, śpiącą jeszcze na barłogu szerokiego werka. Pierwszy złoty, wesoły i połyskujący promień słońca wyrwał się z za chmury i trząsł się w czerwono-zielonych szybach okna. Gro-

mady much, obsiadające ramy i futryny okna, jak czarne plamy i smugi, zaczynały rozłazić się, brzęczeć i tłuc o szyby; gdakały kwoki; młodziutkie żółte kaczęta snuły się po zabłoconych czarnych dylach podłogi, łowiąc w lot muchy; osmolony, zgrzybiały kot wylazł z zapiecka i wyginał grzbiet, oblizując się z wyrazem zdecydowanej na wszystko obojętności w zaropiałych oczach,

Pani Zofia śmiała się i z kota, i z kaczek, i z zaspanej Marynki. Twardy i wzmacniający sen zupełnie zmienił wczorajszą jej niecierpliwą trwogę na miłe i radosne uczucie zdziwienia.

Wczoraj jeszcze miała zamiar powiedzieć o wszystkim mężowi, aby się uchronić od możliwie niemiłych następstw fantazyi młodego chłopca; obecnie, gdy szła do obory i siedziała na jej progu, nie myślała o zwierzeniach i zdecydowała się pójść do lasu.

— Jak on będzie wyglądał dziś, co będzie mówił, czy jeszcze trwa w tem?..

Z ciekawości wynurzyły się zaraz myśli o tem, jak się ubrać. Sukien i stroików miała bardzo nie wiele i ten brak zrodził w tej chwili niechęć i żal do męża.

— Żyję, jak zakonnica, a ubieram się, jak kucharka,—myślała z goryczą. Mam lat dwadzieścia cztery i pogrzebana jestem w oborze i ogrodzie...

Nie uczyniłaby jeszcze nic dla zmienienia stanu rzeczy, nie brała nawet na seryo niechęci

własnej do pana Wiktora; ale ta niechęć istniała w jej myślach i roiała się między szeregiem innych, luźnych, tyjących się to Wawelskiego i przygody wczorajszej, to śniadania, lub ilości dzisiejszego udoju.

Gdyby niespodziewanie straciła męża, czułaby się zapewne wielce nieszczęśliwą; ale gdy był obecny, zawsze jednaki, dosyć brutalny, wiele a głośno obiecujący bez zamiaru dotrzymania obietnic, — nudził ją i męczył. Nigdy go nie kochała bardzo, nawet w epoce narzeczeństwa, — to też teraz myślała o nim z niechęcią i niesmakiem. Przypominały się jej wyraźnie obrazy z niedawnej przeszłości: licytacye, najazdy komorników, defilady żydów, ta okropna, urągająca wszelkiemu opisowi nędza istnienia, — gdy pyszałkowatego panka licytują, lżą, wyrzucają z gniazda, — gdy ludzie, którzy dotychczas kłaniali się i milczeli, skaczą do oczu, mszczą się i krzywdzą. Wszystkie te historye odbiły się w jej duszy wiecznem, nie zmazanem znamieniem smutnej, uciskającej bojaźni. Pracowała ciągle w nadziei, że odwróci na przyszłość fatalne następstwa próżniactwa i nierządu, ale pracy tej nie lubiła, prawie tak silnie, jak lękała się trwonienia pieniędzy i zbytku. Wszystko na świecie, oprócz dziecka i panny Wandy, było dla niej martwe, złowrogie, bez wartości.

Obecnie pierwszy raz w życiu coś się w niej szamotoło. Usiłowała opamiętać się, zmierzyć te

nagłe odległości, które wytworzyły się w jej pojęciach i uczuciach, zwyczajną miarą codziennego rozsądku i, znajdowała co chwila, że się gmatwa i błąka w chaosie nieznanych pożądań. Chaos ten nie sprawiał jej przykrości, — owszem odurzał ją i weselił bezmyślnie, jak stare wino.

— O mało się nie zabił dla mnie, dla mnie... dla tej wyrobniczy, zapomnianej przez wszystkich... — myślała z upojeniem.

Obok niechęci do męża tuż stała wielka wdzięczność dla Wawelskiego, wdzięczność na nic nie baczna, prawie szalona...

Leniwo włókł się jej czas, męczyły ją codzienne zatrudnienia. Około południa, gdy Świerkowski wstał, najadł się przy kawie i, nagadawszy do syta, wyszedł do miasta, ubrała się starannie, niż zwykle, i ruszyła przez ogród do lasu. Gdy minęła furtkę, chwycił ją, ścisnął i ssał wewnątrz strach.

Jakakolwiek przeszkoda byłaby ją zawróciła do domu, najcichszy okrzyk powstrzymał...

Ale pola i łąki milczały, las na zieloną równinę pastwiska rzucał cień szeroki — i ten jego cień a chłód prawie decydował o postanowieniu poruszającej się w spiekocie pani Zofii. Szła z wypiekami na policzkach, bacząc tylko na to, aby jej kto nie widział.

Wawelski siedział dnia tego w lesie od rana. Dostrzegł zbliżającą się i wyczekiwał na skraju lasu. Gdy tylko stanęła pośród drzew, już był

przy niej i, nie mówiąc ani słowa, patrzył urzekającym spojrzeniem. Nim zdążyła wymówić słowo, objął ją i zaczął całować w usta, w oczy, w szyję...

— Co pan, co pan?.. — mówiła cicho, drżąc z przerażenia.

Przyszła z zamiarem pomówienia z młodzieńcem, pokokietowania go nieco, — a tymczasem od razu ją zdruzgotano moralnie, wyjęto z niej wszelką siłę. Zamiast oporu, zbudziło się poczucie słodczy pocałunków i prawdziwej gwałtowności uczucia. Bóg wie, kiedy obmierzyły jej pieśzcoty męzowskie, oznaczające zazwyczaj znaczną skalę jego podchmielenia się, wygasły pragnienia namiętne, — to też całusy Adama ogarnęły ją, jak płomień.

Daleko rozlegający się w lesie pisk kraski obudził w niej przytomność umysłu. Wyrwała się z objęć i rzuciła do ucieczki. Wawelski powstrzymywał ją przemocą.

— Kiedy się zobaczymy, kiedy? — nastawał głębokim basem.

— Nigdy...

— Przyjdę dziś wieczorem do furtki ogrodowej... Dobrze?

— Ach, dobrze, dobrze, tylko puścić...

— Na pewno?

— Wszystko mi jedno... na pewno...

— Wyrwała ręce i poszła wprost przez łąki.

O godzinie dziewiątej wieczorem Wawelski uzbroił się w rewolwer oraz głębokie kalosze i z przestraczem, łechcącym mu łydki, jak paroksyzm malaryi, poszedł na schadzkę. W lesie było tak ciemno, że co chwila tłukł się o pnie drzew lub wlatywał twarzą w gęstwinę kołających gałęzi. Mżył drobny deszcz, cichy deszczyk, podobny do rosy. W lesie nie czuć go było prawie, dopiero między zbożami dawał o sobie znać szelestem prawdziwym, dzwoniącym i niewymownie żalonym. Po niwkach żyta rozlegała się nieustannie szeroka a głucha melodia uderzeń małych kropel o puste dudki zbożowe, przypominając dźwięk struny skrzypiec, kołyszącej się szybkim, ostatnim ruchem po odjęciu smyczka. Adaś przezornie wymijał prostą ścieżkę i szedł po miedzach. Kilkakroć zastępowały mu drogę kępy mietlicy, podobne w pomroce do tajemniczego lasu, — grzązł w sapach na skraju łąki i gniótł niemiłosiernie kartofle, owsy, żyto. Pot go oblewał, ogarniał przestracz atawistyczny tej siły, że go zwracał do domu, — to znowu mocowało się w nim z ęchórzostwem jakby pożądanie niebezpieczeństwa. Zarysowały się wreszcie na ciemnym niebie olszyny. Adaś trafił omackiem na mostek i, dzwoniąc zębami, puścił się ku furtce po kępach trzęsawiska. Gdy się zbliżył do parkanu ogrodowego, wstąpiło weń zestrzelenie w jedno ognisko mocy nerwowej, podobne do ślepej odwagi. Szedł oślizgłym brze-

giem jakiegoś głębokiego rowu. Gałązki żywo-
płotu, niewidzialne w ciemności, drapały go po
twarzy; trzaskały pod nogami suche patyki, spra-
wiając podczas usiłowań zachowania śmiertelnej
ciszy wrażenie wystrzałów armatnich; oplątywa-
ły nogi jakieś żyłaste badyle, mocne, jak po-
stronki. Dowłókł się wreszcie do upragnionej
furtki, oblany zimnym potem, oparł o słupek
i czekał. Deszcz szemrał po liściach drzewek
owocowych, w willi migotały światła, na szczy-
cie starej topoli, stojącej w rogu ogrodu, trzepo-
tało się niespokojnie kilka twardych liści, wy-
wołując złudzenie zbliżających się kroków. Wa-
welski wsłuchiwał się całym jestestwem. Zwo-
dziło go co chwila bicie serca.

— Ktoś idzie... — szeptał, przytulając się
do krzaków. — Nie... nikt nie idzie, nikt nie
idzie...

Znowu ta cisza okrutna, natrętna, przera-
żliwa!

Liczył do stu, do dwustu, — zdecydował się
nawet na odwrót sromotny; gdy znienacka do-
biegł do jego uszu szelest oryginalny, wrywa-
jący się z pomiędzy innych. Wsłuchiwał się przez
sekundę niewystowienie przykrą, aż pojął.

— To szelest sukni damskiej... — wyszep-
tał, jak gdyby komuś na ucho.

Po chwili naprzeciwko furtki zamajaczył cień
jakiejs głowy.

— Kto to? — zapytała śmiesznie drżącym głosem pani Zofia.

Wawelski poznał jej wylekzioną mowę i zaczął prosić szeptem, aby otworzyła.

Wkrótce był w ogrodzie. Szli oboje zacienioną uliczką, nasłuchując i wstrzymując oddechy, ku darniowej ławce pod jabłonką. Pani Zofia okrywała się chustką, narzuconą na głowę, i co parę kroków chwyciła Wawelskiego za rękę, jakby szukała w nim obrony przed niebezpieczeństwem. Deszcz powoli ucichał, siejąc już tylko drobniutkim pyłem wodnym; z za kęp olszyny wynurzał się między chmury czerwony księżyc i rozpościerał nad łąkami rudą swoją zorzę. Gdy to spostrzegł Wawelski, ogarnęła go bezmyślna, isticie bydłęca wściekłość na to światło, przeszkadzające mu jakby na przekór. Posadził panią Zofię na ławce i tulił do siebie.

Chciałabym panu powiedzieć... ja tylko przysłałam panu powiedzieć... — majaczyła, odrywając jego palce od swych piersi; wypowiadała jednym tchem jakieś tyrady o niegodziwości, o obowiązkach matki, żony; usiłowała wstać, gdy pieśzcoty stawały się namacalnie jaskrawymi; ale nie była w stanie opierać się natarczywym naleganiom. Czas uciekał...

Księżyc wypłynął nad drzewa, oświetlił wązkie uliczki, mokre drzewa, trawy, ubielił rażącym światłem ścianę domu i dach śpiczastej wieżyczki...

Gdy Wawelski wymykał się z pomiędzy zarosli i lech fasoli, śmiech tryumfu i radości łał mu się z samej głębi serca. Poczucie zwycięstwa zwiększała aureola niebezpieczeństw pokonanych. Odpoczywał w lesie na wilgotnym mchu, patrząc z upojeniem, nie mieszczącem się w piersiach, na głębinę niebios, zasianą już gwiazdami, co zdawały się dotykać koron sennych. Szorstka i złowroga piękność lasu, głęboka i nieugięta ciemność miejsc osłoniętych i nasyconych wilgocią, powiększona przez dopełniające biało-zielonkowe światło księżyca — rozmarzały go i pieściły. Teraz oto nietylko jest upojony szczęściem, ale, co stokroć ważniejsze, nie jest żydem: złożył dowody odwagi męskiej, rycerskiej śmiałości, na jaką nie ważyłby się pierwszy lepszy nawet z tych... sarmatów.

* * *

Jeszcze za świetnych czasów wyprawiania rajskich wesel na walnych jarmarkach w Łęcznej, Skaryszewie i Jędrzejowie — Świerkowski przyuczył się do »facyendowania.« »Mieniał się« na konie, tarantasy, chomąta, baty, dubeltówki, — nawet na krawaty i czapki. Ruina majątkowa zmieniła i wywróciła do góry nogami wszystko w jego pojęciach, wyjąwszy żyłki do facyendowania. Co więcej, chętką handlarską urosła w nim stopniowo do potęgi motoru życiowego. Za gorz-

kich i bolesnych chwil osiadania na bruku, kiedy odwrócił się do niego plecami jednogatunkowy z nim świat braci szlachty, a otaczać go zaczął falą tratujący nogami, brutalny aż do wydzierania z rąk ostatniej kopiejki — świat nowy, a raczej nowe, pozbawione służalstwa, ukazujący oblicze, — Świerkowski myślał po nocach i zdecydował się sam wobec siebie, że, chcąc chleb jeść na świecie, trzeba pracować. Za resztki, ocalone z rozbicia, nabył kilka morgów gruntu i rudereę pod Trebizondowem; zbudował natychmiast śpiczastą basztę i ogłosił na wszystkie strony, że zaczyna pracować. Obiecywał sobie i całemu światu rezultaty nadzwyczajne. — w gruncie rzeczy jednak pracowała pani Zofia, a on rozmyślał nad nagłem i olśniewającym zrobieniem pieniędzy. Gdy stykać się zaczął z ludźmi nowego świata, obijały się o jego uszy dalekie, mętne, sparodyowane odgłosy mądrych nawoływań: utrzymujcie w czystości i wykwićności wasze waterklozety, naprawiajcie dziury w mostkach, handlujcie, handlujcie wszystkim, co jest pod utwierdzeniem, albowiem naucza socjologia, że potrzebne są rodzajowi ludzkiemu grube pieniądze!

Świerkowski pojął, o co rzecz idzie, a nawet napełnił go duch obywatelski; pojął dlatego zwłaszcza, że nigdy nie mógł się dosyć nadziwić sprytowi żydowskiemu, i na wszelkie sposoby pracował wyobraźnią, aby ten spryt sku-

teczenie naśladować. Piorunował na żydów jawnie, w duszy jednak uwielbiał ich i nie pojmował absolutnie stanu rzeczy pod nieobecność »tych parchów.« Kilkakrotnie udało mu się zarobić pewne, dość zresztą skromne sumki przy licytacjach lasów. Stawał w charakterze licytanta i bródził ciąglem podbijaniem ceny kupcom rzeczywistym, wskutek czego ci wciskali mu w łapę kilkanaście rubli i wydalali tym sposobem z koła. Te małe zarobki dodały mu otuchy, materiału do peror publicznych (choć o zarobkach licytacyjnych nie wszystkich znajomych zawiadamiał) i — ducha obywatelskiego. Całe dnie spędzał na obmyśleniu takiej facyendy, takiego interesu, jakiby mu naraz powrócił wszystkie rozkosze przeszłości, wszystkie cugi, liberye, lokajów z podbijanymi oczami i portretową salę z podobiznami przodków, od ojca generała i t. d. począwszy, a kończąc na samym wojewodzie Goworku. Skoro dowiedział się, że młody Wawelski ma znaczne kapitały, zaraz oświeciła mu umysł niby jasność niebieska. Mechesa przywabi, olśni szlachectwem i ożeni z panną Wandą, a później będzie od niego wyciągał pieniądze na kapitał zakładowy najrozmaitszych przedsiębiorstw. — Gdy to się nie udało, wykombinował jeszcze świetniejszy handel: obalamuci młodzieńca i sprzeda mu wilę wraz z gruntem po trzysta rubli za morgę. Tym sposobem osiągnie pewien kapitalik, spłaci długi, ciężące na fol-

warku i wytarguje na nowonabywcy całoroczne bezpłatne mieszkanie — wzamian za administrowanie gruntem i gospodarstwem przez zimę, wzamian za remont domu i budynków, z czego przecież także coś — he-he-he — kapnie. Kapitalik obróci na założenie w Trebizondowie sklepu »chrześcijańskiego;« zaraz po założeniu zorganizuje bandę akcyonaryuszów z inteligencyi miejscowej i przefacyduje jej sklep; na pewien czas przyjmie w nim obowiązki subiekta, a niezależnie od tych zajęć będzie się starał o otrzymanie posady agenta od ubezpieczeń w towarzystwie *Jakor*; znowu nieszczęsnego Wawelskiego namówi do założenia domu komisowo-handlowego w mieście gubernialnem; będzie kupował i parcelował folwarki, — zbije niezmierny kapitał, aby wziąć później handlować folwarkami, wsiami, dobrami, kluczami...

Owe kolosalne operacye późniejsze Świerkowski widział, jak na dłoni; nie pojmował tylko tego, jakim sposobem namówić młodego kapitalistę do kupna willi, czem go podniecić i zahaczyć.

Swoją drogą już od pewnego czasu trąbił zgromadzającym się na dworcu optymatom, że młody prawnik nabywa jego willę. Wsadzał podczas wypowiedzania tej wieści z wielką niedbałością ręce w kieszenie od rajtuzów i patrzył w przestwór w taki sposób, że najsceptyczniejsi

z biesiadników myśleli: bierze, bestya, najmniej po dwieście rubli za morgę, jak się patrzy...

Z zamiaru sprzedawania willi zwierzył się przedewszystkiem żonie, licząc na jej pomoc w »kaptowaniu« i faktycznie obarczając ją obowiązkiem przeprowadzenia handlu. Sam działał, zdaleka zachodząc: posyłał Wawelskiemu dzień w dzień konia wierzchowego, obwoził go bryczką po okolicy, załatwiał sprawunki mamy do brodziejki, zapraszał obydwoje i podejmował z gościnnością staropolską, prowadził młodego człowieka po sapać, zmuszał do podziwiania lichych owsów i porażonych kartofli, dobrze temu znanych z wycieczek nocnych, do oglądania tych miejsc na skoszonej łące, gdzie jakoby, pod słowem honoru, zasiano lisi ogon, koniczyny i tymotejki.

Pani Zofia przejęła się również myślą sprzedania willi. Pomimo, że została uległą kochanką Wawelskiego, nie zaniedbywała jednak, odruchowo niejako, obowiązków dobrej, dbającej, zapobiegliwej żony. Projekt uśmiechał jej się przedewszystkiem z tego względu, że dawał możność jawnego widywania się z ukochanym, — a powtóre, że, jak się pocieszała, skuteczne załatwienie interesu złagodzi na pewno jej wyrzuty sumienia i wynagrodzi krzywdę moralną, wyrządzoną łatwowiernemu wąsalowi. Pod wpływem nauk Wawelskiego religijny odcień wyrzutów i skrupułów pani Zofii złagodzony został aż do

zupełnej nieczułości przez kilka dobitnych zdań Holbacha i Chamforta; czasami jednak przenikało ją na wskroś poczucie hańby innej natury: fakt złamania prostego, nie pisanego słowa honoru, oszukanie ufności tego gaduły, z którym nagle, pomimo jej woli, samowiedzy i zamiaru, coś ją rozdzieliło i rozłączyło moralnie. Była to litość złodzieja, który czuje, że zabrał okradzionemu jedyną i ostatnią jego własność i pociechę. Miała przytem w usposobieniu instynktowy wstręt do oszukaństwa i tym przymiotem górowała moralnie nad Świerkowskim, trzymała go w ryzie porządku; obecnie pojmowała to, że nietylko oszukała jego wiarę w swoją uczciwość, ale sama, podczas gdy on jej ufał i wierzył, w każdej chwili krzywoprzysięgała ruchami, dwuznacznymi spojrzeniami i słowami.

Te niewidzialne moce, które opętały jej duszę i popychały do schadzek, kłamstw i pieścizot, czasami na mgnienie oka ją opuszczały. Wówczas kąsała jej serce ślepa, bezmyślna, podobna do obłądu zgryzota. Ale chwile tych niespodziewanych jasnowidzeń zdarzały się rzadko i nikły zaraz pod naciskiem rozkosznej tęsknoty ciała i nadmiaru wiecznie nowych wrażeń miłosnych. Kochała Wawelskiego, jak wierne zwierzę, ze ślepem i głuchem na wszystko uwielbieniem, nieprzerwaną tęsknotą, która nie opuszczała jej nawet wtedy, gdy on był obecny. Mocą tajemniczej zdolności zgadywała jego dążenia

i przywary; usiłowała zaspokoić wszystkie porywy jego imaginacyi, rozumieć go i zawsze mu służyć. Dla Wawelskiego oszukiwanie szlachcica, zamydlenie mu oczu, wyprowadzenie w pole — stanowiło największy przysmak miłości, rokosz szczytną, subtelną i doskonałą. Wiele godzin strawił na to, aby w pani Zofii wyrobić zamiłowanie i rokosz w zdradzaniu; twierdził, że to będzie prawdziwym dowodem jej miłości; rozdmuchiwał w jej duszy nienawiść, uczył dwulicowości i fałszu. Zgadzała się na wszystko i starała wypełniać rozkazy, jak mogła, najdokładniej.

Podczas jednej z wizyt popołudniowych Wawelskiego pan Wiktor postanowił osobiście wykonać zamach stanu. Wszyscy troje znajdowali się na werendzie. Szlachcic chodził od końca jej do końca z rękami w tył założonemi i już to poświstywał jakąś melodyjkę pod wąsem, już narzekał na czasy, stagnację, upadek cen ziemi i tym podobne nieprzyjemności. Pani Wiktorowa wsunęła się w kąt werendy, oparła głowę o poplątane łądygi dzikiego wina, i gdy Swierkowski zwracał się w swym spacerze ku niej, poważnie i z uwagą patrzyła mu w oczy, — gdy się odwracał, wolno, nadzwyczaj wolno, podnosiła powieki, aby z wyrazem niewysłowionej rokoszy przyglądać się siedzącemu w pobliżu Adasiowi. Oczy jej miały wówczas kolor podobny do barwy mgły porannej, ocienionej nikłym błękitem wschodu; wejrzenie ich drażniło opuszczo-

ne powieki kochanka, jak coś ciężkiego i słodkiego, a skoro tylko spoglądał na nią, to te zamglone, rozmarzone, zakochane oczy zasłaniały się długimi rzęsami, jakby dla okrycia wstydu i nagości ich wyrazu.

— Proszę pana — mówił, niby od niechcienia, Swierkowski, — co też pan zamierza ze sobą robić po skończeniu kursów? Adwokaturę traktować?..

— Tak... prawdopodobnie...—wycedził Adaś.

— Zawszeć będzie pan zaszczycał Trebizonców swemi letniami odwiedzinami... co?... spodziewam się...

Pani Zofia spojrzała na młodego człowieka; usta jej zacisnęły się i pobladyły.

— O, niewątpliwie! Przyjedziemy w roku przyszłym zaraz na początku maja.

— Phi, proszę pana, na początku maja... zapewne... Tylko, że to mieszkania nie uporządkowane jeszcze, zabrudzone, nie opalone, wilgotne. Gdyby tak...

— Ha, cóż począć?

— Począć-by można, i jak jeszcze... Mój Boże, kto jak kto, ale państwo moglibyście się urządzić w taki sposób, że po prostu...

Coś go jakby zadławiło; przybladł trochę, zakaszłał.

— Co po prostu? — zapytał ciekawie Wawelski.

— Po prostu kupić tutaj willę, i cała parada! Choćby ot moją willę kupić wraz z gruntem... Przy obecnej niskiej cenie ziemi... to złote jabłko... po trzysta rubli za morgę sprzedałbym — wyrecytował szlachcic od razu; potem odwrócił się nieznacznie, wyjrzał, przechyliwszy się przez balustradę, na ogród, i szeptał cichutko do siebie, niby dalszy ciąg tej operacji:—Święta Maryo, Matko Boża, módl się za nami...

Adaś spojrzał ostro w stronę Świerkowskiego, ale zobaczył tylko jego szerokie plecy; spuścił tedy oczy, medytował przez chwilę, a potem badawczo, uważnie przyglądać się zaczął pani Świerkowskiej z takim wyrazem, jakiego ta nigdy jeszcze nie widziała w jego twarzy.

— Mąż pani chce mi sprzedać swe grunta po trzysta rubli za morgę... to wypada po dziewięć tysięcy za włókę... Czy pani również... życzy sobie, abym tę willę nabył? — zapytał, patrząc jej prosto w oczy.

— Ja?... cóż ja? I owszem... Tylko mi się zdaje, że to za drogo; może pan nie może... — tłumaczyła się, błagając go oczami.

— Owszem... ja mogę, mogę, osobliwie, jeśli... państwo oboje tego sobie życzycie. Pan zapłaciłeś za ten grunt po siedmdziesiąt pięć rubli? prawda? — zwrócił się do Swierkowskiego wyniośle, tonem bogatego człowieka.

— Po siedmdziesiąt pięć rubli? Ależ panie! — zaperzył się pan Wiktor, — a kultura, panie,

kultura, do jakiej doprowadziłem; toć to inspektowa ziemia! a rowy, a irygacye łąk...

— Gdzież to są te irygacye? — przerwał mu Adaś.

— Zapytaj się pan Wicka Głaza, Antka Zycha, Piotra Gajkosa, jeśli mi pan na słowo nie wierzysz... Śluzę mi, prawda, powódź zabrała...

— A, powódź zabrała śluzę... — mówił poważnie Wawelski.

— Zresztą ja pana, broń panie Boże, nie chcę namawiać. To jest świetny punkt dla człowieka, co chce zrobić majątek. Ja nie mogę robić wielkich nakładów, ale pan... Willę wybudować nową, park założyć, same warzywa, panie... Ja sam za małe pieniądze mógłbym panu tutaj cudne gniazdko urządzić,

— Nawet gniazdko? — zaśmiał się Adaś i z utajonym bólem spojrzał przelotnie na panią Zofię.

Ona czuła, że ją o coś złego posądza; w tonie i w sposobie jego mowy było coś, co ją obrażało i gniewało. Nie mogąc w naiwności swej zrozumieć, o co mu właściwie idzie, wtrącała ciągle swe uwagi nieśmiało:

— Wiktorku, może za drogo... po dwieście rubli... może pan Adam nie może.

— O, nie... czyż to drogo? — zaśmiał się jadowicie. — Pomyślę, proszę pani, pomyślę, czy to rzeczywiście będzie dobry interes...

Skierował rozmowę na inny przedmiot, posiedział jeszcze chwilę i, pożegnawszy oziębłe wzruszonych małżonków, wyszedł.

Zaraz za bramą zaśmiał się gorzko.

— Ładny anioł, ładne małżeństwo... A ja głupi, ja głupi!.. Niewinne, cudownie zawstydzone oczy... Teraz rozumiem i zaprosiny, i zostawianie nas samych, i szybką zgodę na schadzki... Panie Świerkowski, chcesz być sprytniejszym nawet od żyda... za drogo jednak cenisz tę swoją... ziemię. Gniazdko mi uściele... cha - cha... Społeczeństwo facetek i facetów!..

* * *

Szybko upłynęła pierwsza połowa września, minął ostatni dzień pobytu Wawelskiego na wsi i chwila wyjazdu nadeszła niepostrzeżenie. Dniało zaledwie, kiedy Adaś przyszedł pożegnać Świerkowskich. Wysłał służącą, aby zawiadomiła panią Zofię, że przybył; powrócił na balkon i żegnał oczyma okolicę, wynurzającą się z mgły porannej. Liście pięknego klonu, stojącego w pobliżu balkonu, pozsychały się już i pomarszczyły, przybierając kształt pięści, pozaciskanych kurczowo; dzikie wino obwisło brunatnymi strzępami; płonęły purpurą, jak ogniska, kępy sumaków i rabaty nasturcyi; na pola i na łąki padła barwa oddalająca, błękitnawo - szara. Wśród ról, świeżo popodkładanych, po których czołgały się

od rannego zmierzchu brony i pługi, podobne z oddalenia wraz z ludźmi i końmi do dużych szarych pajaków, błędzących bez celu, ciskała się w oczy wyłączna, zimna, czysto-zielona farba lasu.

W ciągu ostatnich tygodni Wawelski doświadczał przesytu uciech i pragnął już niejednokrotnie wyrwać się z zaczarowanego koła, pragnął tem goręcej, im natarczywszemi stawały się zabiegi Świerkowskiego w celu sprzedania willi. Teraz, w chwili wyjazdu, mdlił go clikwy żal. Pola, ścieżki, drzewa ogrodu i ten stary dom przypominały mu się jak znajome istoty, jakby wzgardzeni sprzymierzeńcy, — zdawały się mieć duszę i nazwę kobiety o smutnych, błękitnych oczach. Niemiłe uczucie olśniewało co chwila, jak błyskawica, jego praktyczny samohód, jego subtelne, cienkie, do rdzenia rzeczy docierające myśli, ale też trwało tak właśnie długo, jak w cieniach nocy trwa światło błyskawicy.

We drzwiach, prowadzących na balkon, ukazała się pani Zofia. Była bledziutka jak papier; miała głowę odchyloną w tył i uśmiech serdeczny na ustach.

— Czy nie może pan zostać jeszcze... dzień, pół dnia?... żadną miarą?..

— Żadną miarą. Sama pani wie...

— Tak, tak. Wierzy pan przynajmniej, że byłeś pierwszym i ostatnim?

— Czem?

— Alboż ja wiem?.. Zmorą...

— Kochankiem!..

Nie miał nigdy zamiaru rozwiedzenia i poślubienia pani Zofii, a jednak do pasyi doprowadziła go rola tylko kochanka, chwilowego kochanka. Bezmyślny uśmiech, nieustępujący z warg tej kobiety, dokuczał mu, jak wyrzut i skarga.

— Nie — myślał, — dosyć już tej zabawy w Syngaleza; wkrótce wyglądałbym w tych okolicach jak kolega Daktylberg.

Właśnie w tej chwili, gdy tak myślał, pani Zofia spojrzała mu w oczy z bojaźliwą ciekawością. Niegdyś, za lat dzieciństwa, widział takie wejrzenie, niewysłowienie ciekawe, gdy stróż domu jego rodziców topił w strudze sparszywiałe ze starości psisko podwórzowe, a on asystował przy tej operacyi. Widać patrzyła bystro, bo niespodziewanie odwróciła się i weszła do domu. Gdzieś, za trzeciemi drzwiami, słychać było bohaterские chrząkanie i plucie, na odległość czterech sążni, pana Świerkowskiego. Wawelski poczuł, że znowu jest w chaosie przeciwności, wspomnień, pożądań i wstrętów, — w tej pustyni miłości nieprawej, gdzie ani robak nie umiera, ani ogień nie gaśnie. W sieni zatrzeszczała podłoga i przecisnął się przez drzwi wielki szlachcic.

Podając mu rękę, Wawelski objął wzrokiem pogardy i wstrętu ten tęgi kadłub, składający

się z trzech części, a raczej z trzech beczulek, osłoniętych trzema kawałami popielatego kortu.

— To musi być dopiero Syngalez — myślał, — i jak to w nim te beczułki spojone są mutrami *na fest!* Gdyby tak środkową naderżnąć kozikiem i pod nacięcie szaflik podstawić, tożby nakapało sadła!.. Co za doskonały i piękny brzuch! Wyobrażam sobie, no! wyobrażam sobie...

Okrutna, ślepa i bezrozumna mściwość znowu, jak za pierwszych dni tego romansu, kąsać go zaczęła.

Była sekunda taka, że popchnięty ciosami bólu omal nie rzucił się do ogrodu, aby z oddalenia wrzasnąć na całe gardło: Uwiodłem ci żonę, idyoto! była moją kochanką! Tłucz łeb o ściany, szalej, rozpaczaj, nie zaznaj chwili spokoju i bądź przeklęty w tem nieszczęściu!

Ale pięście szlachcica, jego palce, podobne do trybów palczastego koła we młynie, działały na niego uspakajająco. Stał w eleganckiej pozie, zginając w rękach giętką laseczkę.

— Co za szkoda, że oto i pana nam zabraknie, — mówił tymczasem Świerkowski. — A żeby też tak jeszcze z jaki tydzień, co?.. panie Adamie! Kopnęlibyśmy się konno, albo nie, to na upatrzonogo zapołowali po kartoflach... Sama pora: zając teraz, mówię panu, jak byk...

— Nie mogę... Jadę dzisiaj, muszę nawet iść niezwłocznie; pociąg odejdzie.

— Nie odejdzie; pociąg nie zając... Kazałem konie zaprządzić i odwieźć pana. Trafimy na czas. Teraz warto herbaty złopnąć na stojącą, i dopiero...

Ujął Adama pod rękę i wprowadził do stołowego pokoju, gdzie pani Zofia nalewała już herbatę.

Twarz miała jakby zmarzniętą, koloru ziemi pokrytą ceglastymi plamami. Ręce jej się trzęsły, na zmarszczone czoło spadały włosy kosmykami, jakby je przed chwilą garścią targała.

Świerkowski pił herbatę, stojąc, i opowiadając historię; szukał po kieszeniach, w szufladach stołu i szafy kredensowej jakiegoś listu z zaproszeniem na polowanie, a nie znalazłszy go między serwetami, wyszedł na poszukiwanie do sąsiedniego pokoju.

— Co ja teraz pocznę? Jak tu teraz być, jak żyć, jak tu żyć... — szeptała pani Zofia, jakby do siebie. Wyciągnęła rękę, ale nim dotknęła ręki kochanka, wszedł Świerkowski z listem. Rzucił przelotnie okiem na twarze obojga, i na jego szerokim, spokojnym, tryskającym zadowoleniem obliczu odmalowało się raptownie tępe i śmieszne zdumienie, jakaś bezradna struchlałość i bojaźń.

— Jedziemy, panie Świerkowski? — zapytał Wawelski, spoglądając na zegarek, — czas już wielki.

— Możemy; ano... tak, czas już wielki... — powtarzał szlachcic, kręcąc w palcach ów list pochlebny.

Niepewnemi ruchami poszedł do pani Zofii, objął ją w pól i pocałował dwa razy mocno, z mlaskaniem, co się zowie »z dubeltówki,« i wnet odzyskał dobry humor i pewność siebie. Wawelski stał z boku i przypatrywał się tej scenie z pod oka. Te dwa pocałunki zaboląły go, jak smaganie batem. Mówił w duchu do pani Zofii:

— Ja nie mam prawa przycisnąć cię do serca, i oto w tej chwili muszę patrzeć, jak cię całuje ten cham. Dobrze mamy urządzone świat! Porządną jesteś kobietą...

Ona nie podniosła oczu, gdy podszedł i uściśnął jej rękę na pożegnanie. Wychodząc na ganek, Świerkowski oglądał się raz za razem na żonę i Wawelskiego, postępujących tuż za nim; rzucał z pod oka zabawnie podstępne wejrzenie i kombinował z malującym się na twarzy naprężeniem umysłu. Wawelski pierwszy wskoczył na bryczkę, a gdy na jej stopniu zaciężyła noga szlachcica, obejrzał się ukradkiem. Pani Zofia cofała się do drzwi; nie podniosła spuszczonej powiek, gdy konie ruszyły i okrążyły gazon, — potem usiadła na ławce i pochyliła głowę na piersi.

Bryczka wtoczyła się na gościniec i pomknęła po wybojach. Wawelski, wyczuwając badaw-

czy i niespokojny wzrok węsala, dawał niejaka satysfakcyę swemu cierpieniu, trzymając go zimnym spokojem i udanym uśmiechem zadowolenia w błędzie i niepewności do ostatka.

Na stacyi zastał już Wawelski matkę, przyczepił do niej szlachcica, a sam wmieszał się w tłum osób.

Ostry, nasycony sadzą dym węgla drażnił go, dusił i rozkliwiał. Głos świstawek i dzwonekó w przeszywał go na wskrós, jakby był głosem istot nieznanyc, wrogich a świadomyc jego myśli aż do ostatka. Ściany budynków, wagony i gromadki obcych ludzi odpychały go z jakąś siłą sprężystą. Było mu źle i duszno. Tłum potęrał go, zabierał ze sobą, cofał i znowu ciągnął — zupełnie, jak požądania, bezmyślne postanowienia i obawy, władające jego umysłem. Nareszcie Świerkowski wyprowadził pontyfikalnie panią Wawelską, usadowił w wygodnym przedziale, polecił opiece konduktorów i przechadzać się zaczął około drzwiczek wagonu z miłą zarazem przebiegłego dyplomaty i wiernego kondotyera. Należało wsiąść do wagonu. W tej chwili Adam poczuł do Świerkowskiego pewien rodzaj sympaty; miał chęć uścisnąć go i patrzył na niego życzliwie, jak na ostatnie przypomnienie, na ostatnią rzecz, bliską pani Zofii.

Na schyłku dnia błądził po ulicach Warszawy, szukając napróżno tego miejsca, »co jest na smutek łaskawe.« Bez przerwy widział oczy pani

Zofii, słyszał jej głos, dotykał rąk, całował usta i długie, miękkie, jedwabne, nieskończone pasma włosów. Gdy wymijali go młodzi ludzie, rozmawiający wesoło, szedł za nimi i nasłuchiwał, czy nie mówią o niej; zdawało mu się, że wszyscy nieznajomi przechodnie patrzą na niego z udanym współczuciem i szepcą jeden drugiemu do ucha coś złego o nim i o ukochanej nad życie. O zmroku zabrnął na plac teatralny i pospołu z tłumem wszedł do przedsionka teatralnego. Nie namyślając się i nie spojrzawszy nawet na afisz, kupił bilet do amfiteatru i znowu wyruszył na bezcelową włóczęgę po mieście. Przyszedł dopiero na trzeci akt opery. Śpiewano »Manon« Meilhac'a i Gille'a. Gdy wszedł, właśnie kawaler de Grioux śpiewał: »Ach, opuść mię...« Niezglębione fale żalostnej pieśni porwały duszę Adama. Wszystko, co go dręczyło, wypowiadał, wyliczał, nazywał po imieniu ten śpiew, wzlatujący w nieskończoność, wyjawiał natarczywą chęć wyrwania ze siebie, nie miłości, ale tego bólu, jaki ona sprawia; a gdy z wysokości zlatywał, jak ptak z przestrzelonemi piersiami, i ciskał się nań i na ciche łkanie arfy huragan skrzypiec, zdawało się Adamowi, że słyszy płacz pani Zofii. Opłakuje ona dolę swą nędzną, opuszczoną i gorzkie przecucie, że szczęście już nie wróci; nie skarży się, nie rozpacza, nie przeklina, — tylko płacze; nie złorzeczy sobie ani jemu i nie potępia tej miłości jednej, pierwszej i ostatniej, — tylko w mę-

czarni kopie dla niej grób w sercu swoim; żali się płaczem ceniom lasu, kwiatom uwiędłym i zeschniętym trawom, miejscom samotnym a pełnym żalu, kolebce jej miłości...

Dalszy wątek tej elegii przerwała Adamowi pewna uboczna okoliczność: z jednej z łóż pierwszego piętra ktoś obserwował go uparcie, nie odrywając od oczu lornetki.

Po chwili pilnego wpatrywania się w ową lożę młodzieniec nasz poznał w damie, przyglądającej się mu tak ciekawie, pannę Wandę.

— A ta skąd się tu wzięła? — pomyślał w pierwszej chwili z gniewem, w następnej z ciekawością. Doznał takiego wrażenia, jakiego doznaje człowiek, czasami jadający obiady, gdy po kilkodniowym poście przymusowym znajduje przypadkowo za podszewką własnej kamizelki skromnego rubelka. Między nim a tą piękną i śmiałą dziewczyną istniała jakby przepaść, jakaś ciemna i ohydna próżnia; ale para tych oczu, para, do jakiej trudnoby było dobrać podobną na całej kuli ziemskiej, rzucała nad otchłanią złoty most. Czuł zresztą, że musi użyć jakiegoś środka, aby zubożenie na nieustanne niespokojne odruchy nieznannej władzy wewnętrznej, na ciągłe uświadamianie się, że pani Zofii już nie ma, — że niepodobna ulegać tak ciągłej jakiejś niezależnej od niego sile, — że trzeba wyprostować się, otrzeźwić i uleczyć z tej gorączki.

Późno w nocy kończył długi i rzewny list do pani Świerkowskiej słowami Romea: »Moja miłość równie jest niezgłębioną, jak morze, — równie, jak ono, bez końca; im więcej ci jej daję, tem więcej czuję jej w sercu...«

* * *

Kończył się jeden z ostatnich dni grudnia. W zaklętych podwórzach, wązkich ulicach i ciasnych ogrodach Warszawy stała już ciemność nocna, nie poprzedzona przez mrok, zjawiająca się tak prawie szybko, jak w dolinach górskich o zachodzie słońca. Mżył śnieg z deszczem. Okna pokoju Wawelskiego wychodziły na ogród, otoczony wysokim murem. Obdarte z liści, stare i ponure w swej starości drzewa głucho jęczały; tuż za oknem kołysały się szare kolczaste badyły i byliny wysmukłych kwiatów, z których zieleń uciekła aż wgłąb' korzeni, aby tam śnić nieskończenie o słońcu, o wiosnie, o świetlistych porankach i ciepłych wieczorach. Basen fontanny zasypano stosem zczerniałych liści, — resztę ich, rozrzuconą po zgniłej murawie, wdeptały w błoto buty stróża i nogi romansujących w tych okolicach wyżłów. Obok, na poręczach balkonu, opartych o dzbanuszkowate słupki, stały dwie drewniane wazy czarne i pełne w tej chwili brudnej, gnijącej wody; pozbawione krzewów, kwiatów, zapachów i barw, odrapane przez deszcz z farby, naśladowującej kolor marmuru, sprawiały teraz,

w tym, jakby pomyjami zalanym, zakątku efekt cudaczny, a smutny, niby mowa mistyczna, skierowana do bandy złodziejów.

Wawelski siedział przed wesołym ogniem, płonącym na kominku. W pokoju było już ciemno, tylko na suficie i jednej ze ścian drgały odblaski języków ognia, te ruchliwe kliniki, co zdają się wpadać w głęboki cień, przekłuwać go podstępnie i łamać się w mgnieniu oka, jak strzaskane szpady. Leniwe, zmysłowe marzenia oblegały umysł młodzieńca, roily się w jego mózgu szybko, jak te biegające światełka. Myślał o pannie Wandzie i całym szeregu spotkań z nią i rozmów, o wszystkich jej kapryсах, sztukach i sposobach dziewiczych, za pomocą których po prostu podłechtowała jego pożądanania.

Ileż to razy oczekiwał na nią w rozmaitych punktach miasta, a zawsze w tłumie osób: na ślizgawce, na wystawie sztuk pięknych, w ogrodzie botanicznym, w kościele... Jakież ona ma cudne nóżki, jak je umie pokazywać, odsłaniając aż do kolan podczas przypinania łyżew; jak bezczelnie opierała się o niego pierściami, gdy stali przed płótnem p. Żmurki, wyobrażającym nagą piękność (z ciałem, malowaniem ślinami i mydełkiem glicerynowem, czy czemś w tym guście); jak umiejętnie całuje w usta i jak otwarcie odpowiada na dwuznaczniki i propozycje, ledwo, ledwo osłonięte dowcipem: po ślubie, chłopczyku,

po ślubie... Dla niej wartoby kupić nawet wille Świerkowskiego. Ba! gdyby to ją można kupić za pieniądze...

Dla zabicia czasu zaczął przeglądać listy pani Zofii. Otrzymał ich blisko już czterdzieści, pisanych niezgrabnym, pochyłym charakterem na dużych arkuszach szorstkiego papieru. Wypisywała w nich zwierzenia ze wszystkich zatrudnień gospodarskich i kłopotów domowych, z wyrzutów sumienia i zmysłowych pragnień, przerośniętych najczulszemi nerwami miłości. Po powrocie ze wsi Adam pisywał do niej niemal codziennie, obsypywał ją pochwałami i przysięgami, skarżył się na brak jej uczuć i na swą tęsknotę, malował swą rozpacz i żal nieutulony. Listy te, początkowo szczerze i naturalne, z czasem pełne tych samych pięknych wyrazów, choć z nich od dawna »woń miłości uleciała,« widocznie odurzały panią Zofię i znieprawiały ją do ostatka. Jakieś biedne refleksye, tułające się między wierszami pierwszych jej odpowiedzi, przerodziły się z biegiem czasu w pomysły nierozsądne i zamiary nieokreślone.

»Jak się Wiktor o wszystkim dowie — pisała w jednym z ostatnich listów, — to zabiorę dziecko i choćby piechotą pójdę do pana, będę panu u nóg leżała, będę pańską sługą, pomywaczką, czem pan każe. Mnie męczy, dusi, zarzyna to ciągle udawanie, a miłości dla pana nie mogę pozbyć się w żaden sposób; staram się

takową przytłumić, chodzę do spowiedzi, pracuję po całych dniach, ale takowa toczy mi duszę, jak skir, wisi nade mną, chodzi za mną, jest wszędzie. Czekam co dzień na Judkę, który mi przynosi listy od pana, i gdy go zobaczę na drodze, zdążającego do naszego domu niby to po masło, niby to po mleko, za interesem do mnie, a właściwie z mojem najdroższem *poste restante*, wpadam w taką radość, tak płaczę, tak płaczę ze szczęścia...»

Wawelskiego znudziły już dosyć dawno rubaszne sentymenty, papier i ortografia tej kobiety; odpisywał coraz rzadziej ostatniemi czasy, a nie zrywał korespondencyi zupełnie dlatego, że miał zamiar skorzystać z uczuć pani Zofii we właściwym, letnim sezonie. Przywykł zresztą budzić się rano na odgłos dzwonka i sapania listonosza, wręczającego mu wielką, kancelaryjną kopertę wielbień.

Przejrzawszy sporą część paczki, przerwał czytanie i znowu pogrążył się w zadumę. Wtem mocno dzwieknął w przedpokoju dzwonek i po chwili wszedł ociekający wodą posłaniec z listem. Adam rozerwał kopertę i odczytał wezwanie panny Wandy, skreślone na kawałeczku papieru: »Proszę przyjść niezwłocznie na ulicę Browarną, N-r 50. do mieszkania panny Anieli Bezmiańskiej... Oczekuje pana — Wanda.«

Pobiegł bez namysłu. Rzadkie, kleiste błoto pryskało zpod jego kaloszy, gdy zlatywał po po-

chyłości ulicy Karowej i szukał w czeluściach Browarnej wskazanego numeru. Odpoczął dopiero przed drzwiami mieszkania panny Bezmiańskiej, — gdy już z za jakiegoś niewidzialnego pociemku przepierzenia słychać było śmiech panny Wandy. Uchylił pierwsze z brzegu drzwi i znalazł się w pokoiku idealnie małym, nie większym nad wewnątrz porządnej szafy kredensowej. Skromna lampa oświetlała to gniazdo, jak wielkie ognisko: było zupełnie widno, aż za widno... Tak, nie mylił go wzrok: na wazkiej, wyplatanej kanapce siedziała pani Zofia, obok niej panna Wanda i jeszcze jakaś dama, a właściwie siedział niezmiernie duży nos i przyczepione do niego niesymetrycznie płaskie nikle kształty damy.

Od chwili wkroczenia do pokoju Adam czuł na sobie zimny, surowy, ostry wzrok chudej istoty. Zdawało mu się, że te małe oczka spostrzegają nietylko jego stosunek do pani Zofii i odgadują zamiary względem panny Wandy, ale, że widzą nawet kolor jego szelek i proces trawienia pokarmów w żołądku. Zmieszał się bezprzykładnie. Jak człowiek pijany, kłaniał się, gdy go przedstawiano pannie Anieli Bezmiańskiej, tak nisko, że ta mogła po dwakroć oglądać guziki, przyszyte nad tylnymi kieszeniami jego tużurka. Za ledwie ochłonął z pierwszego wrażenia i otrząsnął się ze stanu starcia inteligencji na proszek od zębów, — opanował go gniew.

— Po co tu przyszedłem? Czy warto było pędzić po błocie nic więcej tylko na ulicę Browarną po to, aby się przekonać, że przyroda, tworząc pannę Anielę Bezmiańską, wyekspensowała na budowę jej piersi, ramion, policzków, brody i tym podobnych efektów jakieś dwa ruble, podczas kiedy budowa samego nosa stanowi wartość listu zastawnego? Po co przyjechała ta pani Zofia? Nikogo nie zaciekawiają jej pokłute, pomarszczone, grube ręce, jakby świeżo wydobyte z beczki kiszonej kapusty... Czego chce, co w tem jest? A ta zwodnica uśmiecha się i kontenta, jak goły w pokrzywach. Po co mię tu wzywałaś, czego chcesz odemnie? — mówiły do panny Wandy jego złe w tej chwili oczy.

Pani Świerkowska patrzyła na Adasia po swemu, z pod rzęs, i co chwila płonila się, jakby ją obnażoną prowadzono przez ulice Trebizondowa. Rozmowę zagaiła niezwłocznie panna Bezmiańska i mówiła już bez przerwy, aż do wygadania, jak to mówią, dziury w łonie słuchacza. Uświadomiła swego gościa od niechcienia, że jest kuzynką pana Świerkowskiego, że ojciec jej miał gdzieś jakieś Przebrzmiałowice, bynajmniej nie mniejsze od jakichkolwiek innych Przebrzmiałowic; oświadczyła, że kiedy dobra po śmierci rodzica... fiu! — ona, panna wysokiego rodu, została bez grosza, znalazła się w Warszawie i ocknęła pewnego pięknego poranku w takiej nędzy, jakiej nie życzy żadnemu swemu

wrogowi, żadnemu z panów stworzenia. Robiła w przeróżnych ideach, chwilowo postępowych: w katolicko-arystokratycznych trzewikach, motylach i baletnicach na lampy, w gilzach, w nadrabianych pończochach, w kapsułkach na olej rybcynowy; była w fabryce krawatów i ubierania lalek; a koniec końców jest kasyerką w sklepie spożywczym. Dużo czasu zajęła opowieść o wszystkich zajściach z pracodawcami, o kłótniach i wypędzeniach, powrotach i porzuceniach nastrojącego się fachu.

— Obrońcą moim — mówiła — był ten otos. On ode mnie odstraszał kłamstwo i podłość mężczyzn; idę z nim przez życie, jak z pałaszem, pewna, że jeżeli kiedy umrę z głodu, to przynajmniej nie zawinię wobec siebie i mojego rodzaju głupotą i ślamazarnością; dzięki jemu, widzę niektóre rzeczy jasno, cha, cha, cha... jak ja niektóre rzeczy jasno widzę!.. Życie moje wypełniła po brzegi praca, taka nieraz, że krew z za paznogi tryskała; to też ja niektórych rzeczy nie cierpię, brzydzę się, pogardzam, pluję... pfu!..

— Gdybym ja była prawodawcą, biłabym niektóre osoby batem, biłabym, biłabym! Karałabym niektóre występki według przepisów prawa magdeburskiego; ja i prawa magdeburskiego po łebkach liznęłam — syknęła w kierunku Adama. — Tak! — wołała, uderzając z całej siły w stół chudym palcem, — niektóre występki

powinny być strasznie karane; naprzykład: niewierna żona powinna być »u pręgierza bita,« a gaszek — wybuchnęła — powinien być »mieczem karan.«

— Egzagierujesz... — wtrąciła słodko panna Wanda. — A miłość... cóżbyś zrobiła z miłością?

— Miłość... — skrzywiła się obrzydliwie stara walkiryja. — I ja przecież jestem owocem miłości... miłości — powtórzyła z przyciskiem, stulając wargi i umyślnie szepleniąc. — Całe męczeństwo istnienia, ta głupia walka, borykanie się na śmierć i życie dla zdobycia suchych bułek i szklanki wstrętnej herbaty jest owocem miłości. Ja wiem, co mówię. Trzeba owoce nieprawej miłości, małe dziateczki, drobnostki, przeskadzające gruchać przy księżycu, widzieć na wychowaniu u pewnych dam, aby zrozumieć, czym jest miłość i co z nią trzeba robić. Może pofatygujesz się, piękna Wandeczko, do mnie w niedzielę: przejdziemy się po niektórych podwórzach skromnych i nieco nieschludnych domków Warszawy, wówczas zobaczysz...

Zaczęła ruszać wargami, jakby miała zamiar ukąsić Wawelskiego. Ten czyhał już od dawna na taką szczęśliwą chwilę, kiedy można będzie wyrwać się z tego odmętu gadania starej pesymistki. Tymczasem na odgłos skwierczenia maszynki naftowej, panna Aniela zaczęła nakrywać stolik czemś w rodzaju wyżółklej pieluszki, ustawiać szklanki i talerze z bułkami. Kiedy krzą-

tała się między stołem i łóżkiem, ukazała się dopiero cała jej chudość i brzydota. Robiła ona na Wawelskim wrażenie niedojedzonej potrawy, wrażenie czegoś zgryzionego i zmielonego w ostrych kłach życia; wyglądała jak uosobienie grzechu świata przeciwko kobiecie.

Pani Zofia rozpytywała Adama o panią Wawelską, opowiadała o Trebizondowie i nieustannie, podczas wypowiedzania zdań najbardziej banalnych, drgała nerwowo. Z warg panny Wandy nie ustępował zły i szyderczy uśmieszek.

Po wypiciu herbaty pani Zofia i jej siostra zabierać się zaczęły do wyjścia.

— Ale zanocujesz u mnie, droga Zosiu? — zapytała panna Bezmiańska.

— Tak, moja droga. I gdzież-indziej mogłabym nocować? U Wandy nie mogę, bo ona śpi w pokoju uczennic, a na hotel mię nie stać.

— O, hotele bardzo są w Warszawie drogie, ogromnie drogie... — mówiła, kiwając ku Wawelskiemu głową na znak pożegnania. — A wracajże niedługo, bo ja czekać nie mogę; zasypiam w mgnieniu oka, i choćbyś całą noc stukiała, nie obudzę się, — Dotknęła policzka panny Wandy bokiem dolnej wargi, kiwnęła jeszcze kilka razy głową, zatrzasnęła za wychodzącymi drzwiami i zostawiła ich w zupełnej ciemności. Adam sprowadził damy z krętych schodów, podtrzymując je rękoma w taki sposób, jakby się specjalnie niepokoił o los ich turniur i spódnic.

Te forsowne rękoczyny odżywiły bynajmniej nie platoniczne jego nadzieje, stłumione dopiero co przez sens kazania starej dziewicy. Gdy przechodzili około latarni ulicznych i twarz pani Świerkowskiej wynurzała się na chwilę z ciemności, przypominał mu się zbłąkany wśród liści promień księżyca i jego odbicie w zamglonych bielmem uniesienia oczach tulącej się do niego. Ocknął się w nim nałóg władania panią Zofią...

— Wanda pisała do mnie przed kilkoma dniami, iż widuje pana często, nawet bardzo często.— rzekła z trudnością, po długim milczeniu, piękna mężatka. — Słyszałam, że z pana bałamut; chciałam zobaczyć, czy jej pan nie bałamuci, i przyjechałam...

Wawelski nie myślał w tej chwili o pannie Wandzie, to też odrzekł wymijająco:

— Ja jestem bałamutem? Któż mię tak oczercił? Czyż jest, o Boże, człowiek stalszy nade mnie w uczuciach?

— A któż jest, o Boże, przedmiotem tych uczuć? — spytała panna Wanda...

— Ta, którą kocham nade wszystko, ta jedna i jedyna »do końca świata i po końcu świata...«

— Bagatela... A czy jest już przynajmniej pańską narzeczoną? Wolnoż wiedzieć?

— Nie można; zresztą ja sam nie wiem. Wszystko od niej zależy.

— Kocha pana ta despotka?

— Któż zbadał serce kobiety? Dość czyjejs ploteczki, aby zgasić jej uczucia i pogrążyć nas w rozpacz...

— Jaki z pana polityk, cha, cha! Powodzenia w tej miłości! powrotu spłoszonych uczuć kapryśnej istoty!

Postawiła kołnierz futrzanego kubraczka i wysunawszy się o dwa kroki naprzód, szła w milczeniu, prowadząc Adama i siostrę na ulicę Miodową. Mieszkała w domu rodziców dwu dziewczątek, z którymi w charakterze guwernantki przyjechała ze wsi na początku września. Zatrzymawszy się przed bramą dużej kamienicy, zwróciła się szybko i rzekła:

— Do widzenia, Zosiu. Kiedyż znowu zawitasz do Warszawy? Mam nadzieję, że wkrótce, zwłaszcza teraz, gdy zachodzi potrzeba strzeżenia mnie...

Pani Świerkowska nie odpowiedziała nic; ujęła siostrę pod ramię i wprowadziła w bramę. Tam szeptała jej coś długo do ucha. W ukośnym promieniu latarni rysowała się przed oczyma Wawelskiego jej piękna, obciążona bujnemi włosami głowa i usta, zbliżone do samego ucha jej siostry, -- te same cudne usta i te same włosy...

Nareszcie wyszła. Podał jej ramię i szeptał z czułością:

— Nareszcie jesteśmy sami, nareszcie, po tylu dniach i nocach...

— Ja mam do pana wielką prośbę... Niech się pan nie gniewa na mnie, że pytam wprost: czy ma pan zamiar ożenić się z Wandą?

— Co za przypuszczenie? Panna Wanda jest... bez kwestyi... Ja kochałem, Kocham i kochać będę tylko Ciebie, bezcenny skarbie!..

— A więc niema pan zamiaru... No, tak, tak właśnie myślałam. Niech jej pan nie bałamuci, błagam pana na wszystko, co jest świętego; to jest młoda dziewczyna, a pan... postępuje dosyć bezwzględnie. Przecież pan to rozumie!..

— Ależ dobrze! Nie dybię wcale na cnotę panny Wandy. Spotykałem się z nią, jak z dobrą znajomą, rozmawiałem nieraz wesoło, i na tem koniec. Że coś tam do pani pisała... nie moja wina...

— Tak, tak. Teraz pożegnaj pana. Kuzynka moja jest bardzo złośliwą, choć najlepszą pod słońcem osobą; kto wie, czy jej nie strzeli do głowy pomysł śledzenia mnie, podpatrywania z jakiegoś ukrycia, czy wracam sama.

— Czyż doprawdy pani powróci tam natychmiast? Takaż to moja nagroda za tęsknotę?

— Ach, panie, panie!.. Któż tak mówi?

— Pobawiła się pani mną, a teraz, znudzony się, odrzucasz, jak niemodną rękawiczkę... Co ja teraz pocznę?

W tym okrzyku było tyle rozpacz, że pani Zofia zachwiała się w swych postanowieniach. Znowu poczuła na swej duszy cienkie nici, ja-

kiemi oplątał ją ten młodzieniec, nici mocne, jak kajdany, które chciała potargać w udręczeniu serca, spalonego żądzą i nieszczęściem. Znowu głowę jej owionął zapach, rozpędził myśli logiczne i zdławił wolę.

— Chcę tylko przekonać się, czy jestem jeszcze kochany; oto wszystko. Czy w tem grzech być może?

— Dobranoc... Muszę iść; Anielka czeka...

— Zmiłuj się nade mną!

— Czego pan chce?

Adam wyjawiał, czego chce. Pani Zofia pamiętała, że ma podarte i zabłocone trzewiki, połataną bieliznę. Te względy wpłynęły na jej opór. Zaczęła oddalać się szybko, schodząc na ulicę Oboźną.

Poszedł za nią i znowu nalegał.

— Niech pan przyjdzie jutro rano o ósmej do Anieli... Jutro rano, mój panie, jutro rano...

Przyśpieszyła kroku i znikła w ciemności na zakręcie ulicy. Adam pomedytował, przeszedł się tam i napowrót po ulicy i poszedł, jak niepyszny, do domu.

Nazajutrz wyszedł na miasto o godzinie siódmej, zamówił sobie numer w jednym z tańszych hoteli i punkt o ósmej stanął przed drzwiami mieszkania panny Bezmiańskiej. Zastukał z bijącym sercem. Po upływie pewnego czasu klucz zgrzytnął w zamku, drzwi się uchyliły i wysu-

nał się przez szparę palec, którym dnia poprzedniego stara panna biła tak zapalczywie po stole.

— Czy jest pani Świerkowska? — zapytał Adam, kłaniając się uprzejmie kłamce i filunkom drzwi.

Palec skurczył się, zagiął się na drugi, tworząc tak zwaną *figę*.

— Niestety, niema! — zatrzeszczała panna Aniela, — pojechała do domu, do Trebizonda, do domowego ogniska, do stęsknionego małżonka i ukochanego dziecięcia... Och...

Figa cofnęła się i znowu zgrzytnął klucz w zamku. Adam nie uwierzył starej skorupie. Rozmyślając, jakim sposobem wywabić ukochaną, oparł się o poręcz schodów i czekał dosyć długo. Naraz drzwi się z trzaskiem otwały i stanęła w nich panna Aniela, wyprostowana, jak żołnierz, prezentujący broń.

— Dżentlmen, podsłuchujący pode drzwiami i zagląający przez dziurkę od klucza... paradne! Wyjechała, wyjechała, wyjechała! wraz ze swemi cudnymi oczyma i dziurawymi pończochami. Niema jej tutaj. Proszę wejść!

Zanim zdążył słowo wymówić, ujęła go pod ramię i wprowadziła do pokoju. Tam przesunęła z hałasem wszystkie stołki, szklanki i sprzęty, roztwarła drzwi od szafy i drzwiczki do pieca, pokazując mu na oko, że pokój jest pusty. Adama zdjęła jakaś dziwna niespokojność. Kłaniając się od niechcienia chichoczącej pannie, wyszedł

z jej mieszkania, zbiegł ze schodów i ruszył w kierunku mostu na Pragę. Jak na złość, nie spotkał nigdzie dorożki. W pobliżu mostu toczył się melancholijnie tramwaj. Adam wskoczył na jego platformę, ale zanim konduktor, wpatrujący się tęskniami oczyma w szarą smugę Wisły, zwrócił na niego uwagę, — wybiegł i poskoczył cwałem na chodnik mostu, potrącając przechodniów. To jedno wiedział, że musi widzieć panią Swierkowską, musi ją mieć w ręku za jakąbądź cenę, choćby za cenę życia. Dokoła niego dudniło, wrzało i gotowało się jakieś szalone życie. Z przeraźliwym łoskotem wlokły się ogromne wozy frachtowe, ciągnięte przez chude, robiące bokami, spienione konie; szli, wywijając batami, klnąc, wrzeszcząc wniebogłosy woźnice, zbryzgani błotem aż do kołnierzków podkasanych siermiąg. Snuł się, biegł, pędził dokądś obdarty, skulony od zimna lud roboczy — z takim gwałtem, jakby podeszwy jego parzył ogień. Chlupały dokoła słupów mostu szare fale rzeki, kołysząc na swych grzbietach tafle kry zmiażdżonej. Wszystkie przedmioty i zjawiska, jak fantastyczne chimery, migwały w oczach, huczały w uszach Adama i wydawały mu się dalszym ciągiem chichotu panny Anieli. Minął wreszcie siwe od osędzelizny kraty mostu, rzucił się w boczną uliczkę i pocwałował, jak obłąkany. Z zeschniętym językiem, upadając na siłach, dowlókl się wreszcie do dworca. Sale były puste. Flegmatyczny por-

tyer porzucił zamiar zamykania drzwi i z kwaśnym uśmiechem usunął się na bok, ujrawszy nadzwyczajne ruchy Adama. Właśnie rozległ się drugi dzwonek.

Ze sprężystością wyćwiczonego gimnastyka wdzierał się zrozpaczony młodzieniec na schodki wagonów, roztwierał zatrzaśnięte drzwi i torował sobie drogę, przebiegając wagony. W jednym z przedziałów klasy trzeciej, w tłumie biedoty, oczekującej ze skupieniem ducha chwili, kiedy wreszcie *ruszy*, siedziała na brzeżku pani Zofia.

— Niech pani wysiądzie, zaraz, o, teraz... Niech pani wysiada!.. — błagał jednym tchem.

— Nie wysiądę za nic.

— Stanowczo?

— Tak, stanowczo.

— Dlaczego?

— Nie wysiądę.

— A jeżeli ja panią zmuszę?

Spojrzała pytająco i instynktownie chwyciła ręką za brzeg ławki.

— Jeżeli nie wysiądziesz, to ja cię nauczę, ja ci pokażę! Opowiem Wandzie wszystko, od początku do końca, pokażę jej twoje listy...

— Uprzedziłam w tem pana. Właśnie wczoraj opowiedziałam jej wszystko, od początku do końca. Wiem teraz, co pan za jeden... Ach, Boże!..

— Radzę pani wysiąść, nie doprowadzać mię do ostateczności! We mnie, jak w Hamlecie, jest coś niebezpiecznego...

— Już się panu nie uda zwieść mię drugi raz temi niezrozumiałemi wyrazami. W panu jest rzeczywiście coś niebezpiecznego, ale prędzej coś z żyda, niż z jakiegoś tam Hamleta!..

Uderzył trzeci dzwonek. Serce Wawelskiego ścisnęło się najsroższym, jaki być może, bólem. Wyszedł z wagonu, nie oglądając się po za siebie, z obwisłemi bezwładnie rękami; minął dworzec i brnął po błocie. Na skrócie ulicy przystanął i przyglądał się pociągowi, mknącemu wśród mgły szarej.

— »Prędzej coś z żyda, niż z jakiegoś tam Hamleta« — mówił do siebie. — Przewidywałem, że tak będzie; tak być musiało, tak bywa zawsze, skoro ktoś perły świniom rzuca. Pojechała sobie teraz do męża... I niema na to rady!

Pobiegł środkiem jakiejś nieznaney mu ulicy obok parkanów i lichych domków przedmieścia, wymawiając dobitnie raz za razem hańbiący kobietę wyraz plugawy. Powtarzanie tego słowa sprawiało mu ulgę, było oparciem w rozpacz i jakby środkiem ratunku. Wyszedł nad brzeg łąchy wiślanej i powłókł się po jej wybrzeżu. Widok wody, kry, fał przypomniiał mu biedną, ostatnią nadzieję, z której promykiem w sercu tak jeszcze niedawno biegł przez most, i poczęła

się w nim siepać bezradna męka, poczucie doznanej krzywdy. Usiadł na stosie cegły, przyprószonej śniegiem, objął rękami kolana i bezmyślnie wpatrywał się w wodę. Z miejsca, które zajmował, widać było koryto rzeki z szeroką jej zatoką. Odbite, wytracone z szeregu, zdyszane fale biegły, chlaszcząc grzywami piany, aby ukłaść się na chwilę u brzegu, na łasze wylizanego gruboziarnistego piasku. Pośrodku tej ruchomej powierzchni znać było czarną smugę niezgłębnego nurtu. Ten nurt wciągał Wawelskiego z niesłychaną siłą. Nęciło go dziwne gadanie fal, jakieś urwane, żałosne półdźwięki, stłumiona wrzawa niepojętych głosów.

Dźwignął się ze swego siedzenia i zbliżył do brzegu. Stał tam czas pewien, mrugając powiekami, — potem zakreślił się na miejscu i poszedł szybko w kierunku mostu.

Niejasny i mglisty zamiar popełnienia samobójstwa, jak mocne wstrząśnienie, otrzeźwił go i stłumił miotającą się rozpacz. Teraz powstał w nim logicznie określony zamiar i w kierunku tego zamiaru wyładowywało się żrące uczucie. Trzeba przeciąć ten wrzód — myślał, przyśpieszając kroku, — inaczej zdechnę!

Za mostem wsiadł do dorożki i kazał się odwieźć do domu. Znalazłszy się w swoim pokoju, obejrzał, nabił i oczyścił doskonały sześćo-strzałowy rewolwer dużego kalibru i umieścił go za dywanem u wezgłowia łóżka. Następnie ułożył

według dat wszystkie listy pani Zofii, od pierwszego do ostatniego, związał je w paczkę, obmotał niebieską wstążeczką, zapakował starannie w piękne pudełko i zaszył w płótno. Na wierzchu tego pakunku wypisał kaligraficznie adres:

«Wielmożny Pan Wiktor Jaxa-Świerkowski, obywatel — w Trebizondowie.» Posyłkę tę odniósł sam i oddał na pocztę. Załatwiwszy to wszystko, powrócił do domu i rzucił się na łóżko.

— Ach, jakże to długo trzeba czekać. Gdybyć to już dziś... Czas najstraszliwszy wróg...— mówił do siebie.

Umysł jego był w tej chwili niesłychanie wyostrzony; pamięć z oslepiającą wyrazistością przedstawiała mu dom Świerkowskich, każdy sprzęt tego pokoju, gdzie przebywał z nimi najczęściej; podniecona wyobraźnia wystawiała cały obraz; był raczej tam, niż u siebie w Warszawie. Oto pan Jaxa-Świerkowski chodzi po pokoju, głęboko rozmyślając, kto i co mu może przysyłać, co oznacza otrzymana awizacya pocztowa, którą już poświadczył, podpisał i odesłał na pocztę. Naraz wchodzi żydziak, roznoszący listy; kłania się nisko wielmożnemu panu i ze śmiechem uprzejmym wręcza mały, skromnych rozmiarów, niewinny pakiecik. Świerkowski z namaszczeniem rozcina szwy, wydobywa pudełko i dziwi się, otwiera je i dziwi się, czyta list pierwszy i dziwi się... Cha, cha! Co za małpi wyraz twa-

rzy, jak szeroko roztwarta gęba, jakie zgłupiałe oczy, co za mina!

A potem... co to, co to? Wlecze kogoś za włosy, kopie obcasami, pluje w czyjeś przecudne oczy, bije zwiniętym kułakiem w twarz, w zęby, — wpada w okrutną zapamiętałość, trzęsie w rękach tę ładną kobietkę, drze na niej suknię, i za każdym uderzeniem, za każdym policzkiem, za każdym charknięciem w twarz nazywa temsamem imieniem, tą samą nazwą... Cha, cha! Należy jej się! Bij ją, jeszcze bij, wysilaj całą twoją chamską, bydlęcą brutalność! bij z całej mocy! Niech nie waży się nikogo znieważać, niech nie zdradza! bij tę kochankę żyda! «więcej żyda, niż jakiegoś tam Hamleta...» A dalej, co dalej?.. Wyrzuca ją za drzwi, tratuje leżącą nogami, odciąga ją precz od swego domu na środek podwórza i zamyka drzwi z trzaskiem.

Ona dźwiga się z ziemi, obciera rękawami krew, ciekącą z nosa, i wlecze się do drzwi. Stuka w nie i mówi cicho, gardłowym głosem, jaki sama zaledwie słyszy: — Oddaj mi dziecko; pójdę sobie..! Oddaj, oddaj...

Ale te drzwi na zawsze są zamknięte. Zimno jej. Cudne ciało widać przez dziury podartych sukien. Zimno jest strasznie. Idzie po oślizgłej grudzie precz z tego domu, shańbionego przez nią; mija podwórze i wydostaje się na bagnistą drogę.

Suche konary topoli tak głucho jęczą, snują się płateczki śniegu, zapada zmierzch fioletowy.

— Dokądże idziesz, piękna istoto? jaki cel widzą w przestrzeni twe oczy, podbite nieco, ale wiecznie piękne, podobne z barwy do sopli lodu? Do kogo idziesz? Azali do żydziaka, aby mu u nóg leżeć, być jego sługą, pomywaczką, czem każe?.. Tą pustą drogą wlecze się jakiś człowiek, nieznany Adasiowi z nazwiska, — pewno mieszczanin, witający zawsze panią Świerkowską uchyleniem czapki. Spotyka ją, i nie wierzy oczom, — uśmiecha się i żegna pokryjomu krzyżem świętym. Ona spostrzega go, pali się wstydem, straszliwym wstydem; ucieka od niego, dobiega do pnia i chowa się tam jak waryatka, — przytula się do obmarzłej kory, lgnie do niej ustami. Drży, boi się, dygoce, słysząc chlapanie błota pod stopami przekupnia... Prosi się duszy swojej, aby z niej wyszła, — jak mówią poeci. Cha, cha!

*

*

*

W ciągu siedmiu miesięcy Wawelski oczekiwał na pana Wiktora, sądząc, że ten zażąda od niego satysfakcyi honorowej. Miał zawsze przy sobie rewolwer, aby odeprzeć brutalny, jak przypuszczał, napad szlachcica. Ta wieczna myśl o czemś wiszącym nad nim zatruwała mu każdą chwilę życia. Odgłos dzwonka, szybkie kroki na schodach, przyciszona rozmowa w przedpokoju, każdy szelest podejrzany — przejmowały go dresz-

czem, szczególniej później, po upływie kilku miesięcy, kiedy cała ta przygoda miłosna usunęła się w jego pamięci na plan daleki. Nadeszły ostateczne egzamina, porzucanie ławy uniwersyteckiej; otwarło się szerokie, czynne życie. Pani Wawelska szeptała już niejednokrotnie do ucha jedynakowi o urodzie, a właściwie o posagu pewnej dziewczycy ze sfery burżuazyjnej, i ziarna tej propagandy nie padały na opokę. Sam Adaś doszedł już do pewnika filozoficznego, że «życie nie jest romanssem» i że należy się na gwałt żenić bogato. A tymczasem widmo tłustego szlachcica nie opuszczało go, mąciło każdą jego myśl wesołą, paraliżowało każdy zamiar i pomysł. Postanowił tedy raz to skończyć, odnaleźć Świerkowskiego w jego własnem gnieździe, nasunąć mu się na oczy. Na początku lipca wyjechał z matką na letnie mieszkanie. Gdy pociąg wtaczał się powoli na zwrotnice trebizondowskie, młodzieńcowi było trochę, szczerze mówiąc, niedobrze. Wyćwiczył się wprawdzie przez ten czas w sztuce robienia rapirem, -- ale jakież to cięcie odbić zdoła zamach ramienia Świerkowskiego.

Kolos ten pewno nie umie bić się na pałache, ale może przez zemstę płaćnąć w ciemność, i idź potem do Pana Boga na skargę.

Pani Wawelska, wysiadłszy z wagonu, udała się wprost do Odrobinki. Adam został na dworcu i jedwabnemi kroczkami wszedł do sali.

Ten sam kelner z tym samym głupekowatym uśmiechem obsługiwał kilku trebizondowiaków, ciągnących z godnością i powagą skromne piwko «słomkowe.» Był tu geometra, pan profesor, chorowity doktor i kilku innych. Wszyscy poznali zeszłorocznego towarzysza i rzucili się ku niemu z wielką serdecznością. Należało stuknąć się z nimi szklaneczką portera. Nim wypito pierwsze szklanki, Adam cisnął między tych jegomościów pytanie, podobne dla niego do wybuchowego ładunku, który za chwilę wyrwie go w powietrze:

— A cóż to ja nie dostrzegam między szanownymi panami obywatela dobrodzieja, kochanego pana Wiktora?

Wszyscy zaczęli kiwać głowami z politowaniem.

— Nic pan nie wiesz? Tak-że pan gadaj!— zawołał geometra. — Ani dymu, ani popiołu ze Świerkowskiego. Dzierżawę trzyma o dziewiętnaście mil stąd. Pięćset mórg! po dwa ruble z morgi... Taki frant z tego chłopca! Grunt swój rozkolonizował «gulonom» jakoś w lutym, czy w marcu, spłacił pilniejsze długi, i mając w kieszeni około ośmiuset rubli, puszcza się panu na dzierżawę. Mówię do niego:— Wiesz pan co? źle pan, zdaje mi się, robisz; folwark podły, wiem przecież doskonale, byłem tam nie wiem ile razy: wielki, w piachach, budynków żadnych, jednego kołka w płocie; na polach psi rumianek

stokrotne daje plony'... Jakże pan sobie dasz radę? — Wiesz pan co? — on powiada — i tak i tak mię dyabli wezmą. Tego Trebizondowa mam już po dziury w nosie... Chciałem — powiada — jednego żydziaka naciągnąć, interes był kapitalny na oko, tymczasem ten właśnie żydziak tak mnie ubrał, że teraz już... aus! Co dzierżawa, to dzierżawa. Może da Pan Bóg, że się wyrobię. — Mówię do niego: — Wiesz pan co? szczęść Boże, ale...

— I wyjechał? — spytał Adam z jakimś nerwowem zachłyśnięciem.

— Ba, jeszcze w marcu.

— Z żoną?

— A ma się rozumieć. Cóżby on bez niej znaczył na świecie! Ta kobieta za dziesięciu parobków mu obstoi.

— Coś tam między nimi było — wtrącił doktor Daktylberg z zadowoleniem, że może nareszcie przyjąć do słowa, — coś nawet *de grubis*. Miała wyjeżdżać do matki, chorowała...

— Żadnej matki nie ma! co doktor pleciesz! do siostry, — przerwano mu.

— No, to do siostry! Dopiero erudycya! Służąca Świerkowskich paplała po mieście najdziwniejsze historye...

— Kłamstwo! — huknął geometra. — Nic nie było, żadnych historyi; przecież wiem doskonale... Poszło z pewnością o to, że Świerkowski pił tej zimy nad wszelkie spodziewanie;

na stacyi kieliszka wódki nie można było dostać; dzień w dzień go stąd do domu saniami odwożono.

— Zadziwiająca rzecz! — uśmiechnął się Wawelski. — Ale koniec końców zgoda nastąpiła?

— A naturalnie! Ta kobieta go od pijaństwa powstrzymała; zapracowuje się na niego; żyły, panie dziejski, da ze siebie dla niego wypruć... Przecież wiem doskonale...



Niedziela.

Pan Władysław (po prostu — pan Władysław, nie mogę bowiem w danej chwili wymyśleć interesującego nazwiska), jakkolwiek sumiennie i w dostatecznej mierze «przysiedział już był fałdów nad nauką społeczną,» to przecież zaczepianiu szwaczek oddawał się z gorliwością bynajmniej nie słabszą od tej, jaka cechowała epokę jego życia poprzedzającą przysiadanie fałdów. W chwilach wolnych od nawału myśli tytanicznych szkicował nawet w pamięci figlarne dziełko pod tyt.: «Praktyczne wskazówki dla zaczepiających,» gdzie miało się zawrzeć wiele zarówno bystrych spostrzeżeń z zakresu psychologii szwaczek, jak również dowodów ciętości dyalektycznej autora. Specyjalną predylekcyę swą do pracownic igły pan Władysław motywował rozmaicie: już to osobistą nadwrażliwością na wdzięki biednych dziewcząt, więdnące w zapomnieniu, — już pragnieniem przyjscia z pomocą

materyalną tej kategorii istot ludzkich, skazanej nieodwołalnie na szukanie tego rodzaju zarobków postronnych, — już wreszcie, wcale nawet umiejętnie, atawizmem... Właśnie kilka dni temu spotkał na rogu Podwała faceteczkę... palce oblizyzywać..., Miała, naturalnie, oczy «jak dwa jeziora,» — nosek, nie tyle grecki, ile niezrównany w leciuchnem zaróżowieniu od mrozu, — usteczka jak dwie stulone torebki dzikiej róży, no... i t. d. «Przystawił się» pan Władysław z mistrzostwem przystawiania się, autorowi podręcznika właściwem, i odprowadził pannę Maryę, zręcznie wybadawszy, że jest panną Maryą, do wysokiej i wąskiej kamieniczki na Starem Mieście. Od bramy zwrócono jeszcze dla flirtowania (Boże drogi! jak ten flirt nisko już upadł!...) i naznaczono sobie spotkanie na niedzielę w mieszkaniu właścicielki oczu «jak dwa jeziora.»

W niedzielę po południu, wyszedłszy o naznaczonej godzinie w bramę chudej kamienicy, usiłował pan Władysław odnaleźć mieszkanie stróża, któryby mu gniazdko upragnionej wskazał. Jakaś monstrualnie tłusta i niebywale zła pani, do mieszkania której zaszedł, powiedziała mu opryskliwie, że stróż mieszka na drugim piętrze. — Dziwne... — myślał pan Władysław, szukając w ciemnej sieni schodów na drugie piętro. Brnął po ślizkiem, nigdy nie wymiatanem błocie, zawrócił kilka razy na prawo i lewo w ciemnym lochu, aż jakąś karykaturę schodów

odnalazł. Zdawało mu się, że wdrapuje się po szczeblach na szczyt jakiegoś komina; krztusił go kwaśny zaduch, wilgotne zimno wsiąkało aż wgłąb' kości. Z za drzwi, niewidzialnych w mroku, dochodziły uszu odgłosy stłumionych rozmów. Natrafił wreszcie omackiem na klamkę, odepchnął drzwi i wszedł do jamy, rozświetlanej przez szybkę umieszczoną pod sufitem.

— Czy stróż tutaj mieszka? — zapytał, zwracając się w kierunku piecyka żelaznego.

— Rozejrzawszy się baczniej w półmroku, dostrzegł pan Władysław w kącie izby werko, ułożone ze starych pak, na którem w stosie łachmanów leżał człowiek, podobny do kościotrupa. Człowieczyna ten dźwignął się i ukazał w roztrącającym mrok promieniu, padającym z okienka, łysą czaszkę, zżółkłą jak stara kość, poprzerynaną zmarszczkami i oblepioną w tylnej części kilku kosmykami włosów. Przez chwilę patrzył na przybysza oczami, ukrytymi w głębi dołów, i wyszeptał świszczącym głosem:

— Cóż ta?

— Wy stróż jesteście?

— Ja; abo cóż?

Pan Władysław czuł przez chwilę, że nie powinien pytać się w tem miejscu o to, czego dowiedzieć się pragnął, ale zapytał:

— Gdzie tutaj mieszka panna Marya Fizykówna, Marya Fizyk?

— Jaka znowu?

— Panna Marya Fizyk... szwaczka.

— Może to, tatuś, Marya szwaczka? — zawołał z za drzwi śpiewny głosik dziecięcy.

— Właśnie...

— Przeprowadź - że ta, Kostka, pana, pokaż — wykrztusił chory i usunął się bezwładnie na swe posłanie.

Mała istotka przesunęła się obok pana Władysława i pobiegła przodem, przeskakując po cztery schody na raz. Wyprowadziła go na dno pewnego rodzaju studni, dno, zarzucone najwstrętniejszemi śmieciami, i wskazawszy mu ciemny korytarz, rzekła, wytrzeszczając swe przenikliwe oczy:

— O, tu drzwi będą do pralni; tam mieszka Marya, za pralnią. — Maleńkie nogi dziewczynki tonęły w butach ojcowskich; podarta i stwardniała od brudu »barchanka« sięgała ledwie do nagich i czerwonych jej kolan. Pan Władysław zaczął szukać portmonetki, i wsunąwszy dziecku w piąstkę kilka groszy, ruszył naprzód. Obejrawszy się z głębi sieni, dostrzegł maleńką, stojącą jeszcze na tem samem miejscu i oglądającą z niewymownym zachwytem pieniądz ofiarowany.

Uchylił pierwsze spotkane drzwi i znalazł się w obszernej izbie, zastawionej baliami i zawalonej stosami mokrej bielizny. Panował tam

mdły zaduch mydlin i pary. Znowu z rumieńcem na licach zapytał o pannę Maryę. Podżyła jejmość, siedząca obok szerokiego komina, z nogami, założonemi na wystygłą blachę, wskazała mu pogardliwym ruchem głowy drzwi w głębi. Wyminąwszy tę damę z ukłonem wyrafinowanie subtelnym i przeklinając w duszy całą tę wyprawę, zastukał pan Władysław do drzwi wskazanych. Otwarły się natychmiast, i panna Marya powitała gościa czarującym uśmiechem. Zgrabnym ruchem zrzucił z ramion futro i podał upragnionej rękę do uścisku, wymownie świadczącego o jego prawdziwej nadwrażliwości na wdzięki. Zajęty był tak dalece osobą panny Maryi że nie dostrzegł dwu pańienek, które powstały ze swych miejsc pod oknem. Co za przykra niespodzianka! Skłonił się jednak uprzejmie nieznanomym, zajął miejsce na jedynem w tej stancyjce krzeselku i, zużytkowując swój niezwykły dar konwersacyjny, obserwował z pod oka. Panna Marya nie była wcale tak piękną, jak mu się to przy pierwszym poznaniu wydawało: chuda była, wyniszczona pracą, z pochyłonemi ramionami. Twarz jej, pomalowana lichem bieli dłem, sprawiała niesmaczne wrażenie. Towarzyszki wyglądały jeszcze mizerniej. Były to młode dziewczęta, zbyt wczesnie rozbite przez jakąś bezlitośną siłę. Że siła ta nie była rozpustą, poznał po nędzy pokoju, gdzie mieszkały, po po-

łatanych kołdrach ich posłań, po braku poduszek, po sposobie zresztą zachowania się tych dziewczic. Wszystkie trzy były zmieszane i oniesmielone; oczy ich miały wyraz niemiły a zagadkowy: stała w nich jakaś, wspólna wszystkim trzem, natrętna i przykra podejrziwość, zmieniająca się co chwila w coś, jak ekstaza, czy wściekłość.

— Panie tu mieszkają we trzy? — zapytał pan Władysław z aksamitną złością.

— Tak, — odpowiedziała panna Marya, gryząc wargi. — Są to moje koleżanki i przyjaciółki; pracujemy w jednym magazynie bielizny.

— Ach, jak to musi być przyjemnie... Trzy rusałki...

— Nie zawsze — rzekła siedząca pod oknem panna Kazia. — Rusałki pewno zawsze jadają obiad; nie dziwota, że im przyjemnie...

— Jakto... obiad?

— Uważa pan — tłumaczyła panna Marya, — my dostajemy od *starej* tak: ja ośm rubli, a Kazia i Helka po pięć i obiad w dniu *robotnie*. Za stancję płacimy cztery ruble, więc te czternaście rubli, co pozostają, nie mogą nam wystarczyć: w niedzielę ogryzamy na obiad paznogie...

— Jeżeli nie uda się *naciągnąć* jakiegoś łatwowiernego kawalera, aby przyszedł do nas i kupił serdelków... — rzekła Kazia, z jadowitym uśmiechem wpatrując się w pannę Maryę.

Ta ostatnia przyglądała się mówiącej z wyrazem niewymownego smutku, potem podeszła do niej i pogładziła jej krótko ostrzyżoną czuprynę.

Kiedy zwróciła się następnie do pana Władysława, w oczach jej świeciły dwie łzy trwożliwe.

— Widzi pan — mówiła, doktor kazał jej, a i Helce, jadać codzień mięso, pić tran...

— To też pani znalazła bardzo dowcipny sposób nabywania dla panny Kazi mięsa i tranu, — rzekł, powstając pan Władysław.

— Łatwy, nie łatwy... Ale jeśli się pan gniewa na nas, to trudno.

— Nie gniewam się wcale; owszem, może panie pozwolą mi odejść na chwilkę... zaraz powrócę.

— Ale po cóż? Hela może, proszę pana...

— A więc dobrze — mówił pan Władysław, wręczając pannie Maryi ostatniego rubelka — może wystarczy i na butelkę tranu dla panny Kazimiery...

Wkrótce potem pan Władysław wniósł toast piwem za zdrowie koleżanek. Dobre i ciepłe uczucie ogarnęło mu duszę na widok apetytu dziewczyc, z jakim połknęły przyniesione bułki i serdelki. Po uczcie wyszedł niezwłocznie. Gdy przechodził przez ciemne i wąskie sienie kamienicy, miał w sercu smutek głęboki. Gdy wyciągał ręce, szukając drogi, dotykał ślizkich

ścian, po których strugami sączyła się wieczna wilgoć, i zdawało mu się, że dotyka łoż ubóstwa, co tu żyło i żyje, męczy się, pasuje z głodem i zimnem. Łzy te wsączają się w jego serce, kęsają je, jak płyn zatruty... Zatrzymał się na chwilę i słuchał, jak dusza jego składa samej sobie jakąś przysięgę...

Z dziennika.

Imieniny pani Heleny... Jedziemy! Serce uderzać przestaje ze szczęścia: zobaczę ją, napatrzę się bogactwa jasno-rudych włosów, ust z lekko pochyloną dolną wargą, oczu tajemniczych, bez blasku, milczących, zamglonych, blado-niebieskich, oczu istot przeżytych, z wystygłemi sercami, jak mawiać zwykli utalentowani a tendencyjni beletryści, według mnie zaś, oczu istot wyższego gatunku, mówiących to tylko, co mówić można, co mówić każe konwenans.

Zresztą... co mnie obchodzą beletryści?.. Myślę o tej chwili, gdy zwróci zwolna w moją stronę prześliczną głowę i spojrzy śmiało a zimno. Tęsknię za tobą, spojrzenie bogini!.. Tak, nie jest to feblik; to głębia, — to, że się tak wyśłowię, ocean.

Znam dobrze historię pani Heleny; wiem, że przed mężem jej, nie mniej szanownym jak dystyngowanym panem Stanisławem, był ktoś,

kto uczył muzyki i śpiewu, oraz wyśpiewał jej więcej niż powinien był wyśpiewać; wiem, że następnie cały rok przepędziła w Palermo; wiem i coś więcej, — i dlatego właśnie, otwarcie mówiąc, to w niej przedewszystkiem uwielbiam, czem gardzę... Wyzyskać sytuację — jest to filozofia jedyna, jaką rządzymy się zawsze: «n'est-ce pas?»

Zaprzężono Bohuna i Figlarkę do ogromnego wasąga; główny furman Ludwik (ów sławny na cały nasz powiat Ludwik, z przysłowiem «tego» i głową w kształcie wazy) w garść plunał, lejce ujął i jest «fertyk» pod gankiem.

Fraki, krawaty rautowe, brody «wymierzwinione,» na lewej stronie każdego czoła po loczku — dżentlemani; mało powiedzieć: dżentlemani, — kwiaty!

Wsuwamy się w futra, wskakujemy, jedziemy. Jest nas czterech tylko, lecz śmiało orzec mogę, w wasągu naszym jedzie inteligencya, jedzie dowcip, jedzie szyk i, że tak powiem, filozofia naszego powiatu.

Mróż jest duży. W zimnem powietrzu lecą drobniutkie pyłki śniegu, mieszają się z iskrami mrozu, które zdziera z lodówki wiatr straszliwy, dmący nieznośnie, monotownie, z cichem, ledwo dosłyszalnym, namiętym drżeniem, co usypia i przeraża. Na nieobjętych okiem obszarach mkną po wierzchu skorupy śnieżnej niby dymy białe, leniwe, przejrzyste, sypkie, jak piasek, — mkną

aż do umęczenia wzroku i przepadają w dali, roztapiając się w ogromie niebieskim.

Drogi po odwilży oślizgły, jak szklanki. Konie idą pod lada górkę — według orzeczenia Ludwika — «pyskami się podpierający;» z góry zjeżdżają na tylnych nogach, przednimi, niby w menuecie, drepcąc. Łamią się pod ocelami kopyt lody w kałużach, koła wrzynają się w skorupę śniegową, nosy się nikczemnie czerwienią... Aby prędzej!

Istnieją od nas do Kabzic dwie drogi: gościniec i tak zwana «na rzekę.»

— Na rzekę pojedziemy, jaśnie... tego? — pyta Ludwik.

— Można chyba będzie — odpowiadamy zbiorowo, — dużo bowiem jest bliżej.

Jedziemy «na rzekę.» Po upływie pół godziny, minąwszy długą wieś Biebrzczyn, dojeżdżamy nad brzeg rzeki, słusznie zupełnie dla usprawiedliwienia nazwy drogi istniejącej. Przejechać ją trzeba w bród w tem właśnie miejscu, gdzie tworzy ona szeroką szyję kilkudziesięcio-morgowego stawu. Powierzchnię wody kryje dość cienka, śniegiem przyprószona błona lodu.

— Pod tym lodem jest woda, pod tą wodą jest... tego... twardy — tłumaczy nam «do zrozumiałości» oraz dla odegnania strachu nasz furman.

— A jeśli niema... tego?

— Ale, hale! — powiada dumnie i, powiem nawet, pogardliwie.

Powiedziawszy to dumnie i pogardliwie, puszcza konie ostrożnie z początku, następnie tnie je batem z całej swej furmańskiej siły. Jesteśmy na środku rzeki, zbliżamy się ku przeciwległemu brzegowi, gdy nagle łód, ów drugi, z łoskotem pęka — i naprzód Bohun, a następnie Figlarka wpadają w wodę tak, że widać tylko kleszczyzny chomąt i łby; wózek chwieje się na prawo, na lewo, i zwolna, melancholijnie tonie wraz z olbrzymią krą, którą oberwał. Fontanny wody zaczynają bulgotać przez półkoszki, zalewają miejsca na nogi, przód wózka zanurza się tak, że woda przechodzi przez wierzch.

Dzgentlemani, piśnięcie spazmatyczne wydawszy, wyskakiwać poczynają z zadziwiającą szybkością: m-r Jean skacze na przepływającą krę, z niej usiłuje dostać się na ląd; za jego przykładem idzie pan Zygmunt i Henryk. Widzę nagle rozpierzchającą się wodę, połę czyjgoś haweloka w czyjejs pięści, dwie zadarte do góry nogi w wysokich kaloszach i czarnych niezapominajkach, czarne wąsiki, ogoloną brodę i roztwarte szeroko usta o cal nad powierzchnią wody...

Oho!

Szczęściem nie topi się żaden dzgentleman, — owszem, wyłażą na brzeg w straszliwych, co prawda, postaciach. Dziwne tam podskakiwania

robią na jednej nodze, na dwu, szczególne przykucnienia, biegając po brzegu, już to jak zające, już jak dzikie rumaki, wrzeszczą nadludzko, czasami nawet po prostu wyją. Na bryce pozostają ja i Ludwik. Stajemy na siedzeniu, które woda podmywa; konie rzucają się; piersiami biją w krawędź lodu, na którym leżą ich pyski... Siedzimy w studni; dokoła jest cembrowina lodu, oddalona od nas o kilka łokci. Woda z dyabelskim szmerem płynie przez wózek; konie narowią się, wskakuje jeden drugiemu na grzbiet, łamią dyszel, rwą postronki.

— «Heu! me miserum!» — myślę sobie... Nie mogę już wyskoczyć, ponieważ kry odpłynęły; jeśli zaś nie wyskoczę, to lada chwila wózek się wywróci lub woda wasąg zniesie, nasiąknę w moich ogromnych niedźwiedziach wodą, jak cukier... Na dobitkę Ludwik zgłupiał najzupełniej: stoi obok mnie na siedzeniu, powtarzając melancholijnie:

— Masz teraz... tego... i tego... — jakby chciał przepowiednię mi określić: — teraz się tu już, jucho jedna, utopisz...

Wieś Biebrzyczyn odległą jest od rzeki o jakie pół wiorsty... Na rozpaczliwe beknięcie dżentelmanów i nasze z Ludwikiem ryczenie o pomoc wysuwają się z chałup chłopci, stoją, «mendykują,» wreszcie rusza ku nam jeden z drągiem, drugi z żerdzią, trzeci z siekierą, z powrozem.

Przybiega ich nad brzeg gromadka; stanęli i znowu «mendykują...»

Czuję, że słabo mi się robi na myśl straszliwą, tę mianowicie, iż pomendykują, podziwiają się i pójda.

Aż cto jeden z gromady zdejmuje kożuch, pasikiem opasuje krótki «spencerek,» bierze w garść drąg i idzie ku nam...

— I mieszkało między nami — powiada Ludwik, a patrzy na mnie tak, jakby miał chęć mię ucałować.

Idzie chłop, a drągiem w lód bije. Złamał zwierzchnią skorupę, wpadł w wodę po pas, stoi na owym drugim lodzie, podnosi żerdź w górę i bije z całej mocy; co palnie w lód, to chrapnie przeciągle: chcha! — a bije. Rozpierzcha się woda, zalewa całego; ten nic... bije.

— Chce niby krawędź lodu, tamtą «warstwę,» jaśnie... tego... oberwać — oświeca mię Ludwik, — żeby konie mogły niby tego...

Na nic. Spodnia warstwa drągiem urwać się nie da. Stanął chłop, wodę z twarzy otarł i poczyną rozbijać zwierzchni lód. Potłukł go na drobne kawałki kry i doradził Ludwikowi podciąć konie. Podciął Ludwik, wyskoczyły z głębi wody na twardy lód i stoją nad nami, siedzącymi w dole.

— Ruszajcie - no, Ludwik — powiada chłop, — może się wzniesie.

— Co ci się ma wzniesić, kiedy śnice pod lód... i pokój...

— A no, różnicie batem, bo to na nic!

«Różnie» batem mój Ludwik, aż woda od wierzgania koni na nas strumieniami leci, lecz wózek tylko bardziej pod lód się podsuwa.

— To nic nie będzie z tego interesu — mówi chłop do mnie; — panie, ja pana wyniosę.

— Alboż mię udźwigniecie? — pytam słodko.

— Hii... — zaśmiał się pogardliwie. — Nie bój się, chudziaku, nic.

Przebaczam chamowi owo «chudziaku,» ponieważ trzęsie mię jakaś dyabła febra z przeżarcia. On tymczasem wbija drąg w dno rzeki sam staje na skraju lodownika, plecami do mnie odwrócony, na drągu opiera ręce i powiada:

— Skikoj, panie, ino leciuszko.

Stoję, jak kolos rodyjski, na literkach wózka... mam wykonać skok nad głębią wody... A jeśli nie trafię na te plecy szerokie, niedźwiedzie? O, rozpaczy!

— Noze, ma-li! — woła chłop.

— ...Ale nas ode złęgo... i hop! Trafiłem! Jestem już na plecach chłopca, obejmuję go za szyję tak serdecznie, tak mocno! Zachwiał się, pochylił tak, że twarzą dostawał do wody, wysapał się, wyprostował i wolno posuwać począł. Rękami oparłszy mu się na ramionach, nogami go w pasie objąwszy, wisiąłem, jak marna żaba, do najwyższego stopnia nieestetycznie. Woda była chłopu po pas.

Szedł, nogi po kilka cali posuwając; odgar-
niał rękami zbitą masę kry, zsiadającą się wo-
koło. Spodnia warstwa lodu podziurawioną była,
kilka razy noga wpadała mu w przepaść; wte-
dy stawał i cały dwustofuntowy mój ciężar utrzy-
mywał na jednej nodze, drugą ostrożnie z dziu-
ry wydostawał i przyduszonym głosem mówił
ze złością:

— Trzymać się ta równo! nie gibotać!

Dziwię się dziś, jakim cudem nie dałem mu
wówczas tak zwane w «łeb» za wyrażone w tej
formie przestrogi, — ale wówczas... byliśmy nad
przepaścią, na załamujących się lodach, na usu-
wajacem się oparciu stóp. Była nawet wówczas
sekunda taka, że, wśród przejmującego mię do
szpiku kości strachu, uwierzyłem, jako mrzonki
o równości ucieleśniają się... na załamanych lodach.

Po kwadransie piekielnej wędrówki wyniósł
mię wreszcie na brzeg suchy, postawił na ziemi,
jak worek żyta, i jak dzik sapnął:

— Uhaa!

Rozczuliło mi się serce: wyjąłem rubla (jak
Boga kocham!) i dałem mu całego. Gdy mię pod
nogi podjął, a potem stał bez czapki, przypatry-
wałem mu się z serdeczną jakąś, szczególną, nie-
wypowiedzianą radością: silny, jak słoń, od ko-
nia wytrwalszy, a taki dobry nadzwyczajnie, nie-
wypowiedzianie dobry!

Na szerokiej jego brzydkiej twarzy rozlewała
się radość (na widok zapewne otrzymanego ru-

bla), — lecz oprócz niej było coś innego jeszcze — duma chamska, ani chrześcijańska, ani wysoka, lecz chłopska «dobroć» — taka: «kierem dobry, to dobry, i basta!» Pamiętam, że na sekundę poczułem ku chłopu temu coś takiego, coś... o tyle szczególnego, ile nieprzyzwoitego.

— Nie zimno wam? — spytałem go czule.

— W cholewy mi się, ścierwa, nalało! — mruknął i poszedł po pozostałych na przeciwnym brzegu dżentlemanów. Przeniósł ich po kolei, tak jak mnie, na «barana.» Wkrótce poczęli wszyscy trzej dziwnie energicznie «rwać» ku wsi, na obraz i podobieństwo koników polnych. Ja toczyłem się za nimi w wielkich niedźwiedziach z całą już stanowi memu należną, rzecz mogę, powagą.

Gdym doszedł do pierwszej chałupy, należącej właśnie do Pyzika Jacka, wybawcy naszego, zastałem wszystkich trzech dżentlemanów... pod pierzyną.

Leżeli, jak jeden mąż, obok siebie, pozbawieni fraków, niezapominajek, krawatów, koszul i t. d., milczenie ponure, nieszczęściu przynależne, zachowując. Co za ruina fryzur! jaka dewastacya włosów! Nosy koloru wody, szczególniejsze dzwonięcie zębami, tragedia w wejrzeniach... Fraki od Chabou suszą się na grzędzie obok sukman, kożuchów i «szmat» babskich; koszule wygrzewa przed ogniem Pyzikowa; kamaszki szoruje wiechciem chłopak. Usiadłem na skrzyni,

malowanej w zielone, niebywałego wyglądu, kwiaty, u wezgłowa werka, zdolnego całe pokolenia podtrzymać, i zaprawdę zasmuciłem się: jakżeż to? wyższe społeczeństwa naszego warstwy w tej postawie, pod pierzyną?..

— Szlachta wchodzi w lud i staje się ludem... — dzwoniąc zębami, wykrztusił zawsze dowcipny pan Henryk.

Z najtragiczniejszego położenia umie wyczerpnąć coś wesołego.

— Czemuż szwarcówki nie pije, jeśli się staje ludem? — nie otwierając oczu, wydzwonił nasz filozof powiatowy, pełniący jednocześnie obowiązki tegoż powiatu pieczeniarsza.

— Macie galicyankę, matka? — pyta pan Jan.

— Któż ja? jaśnie panie.

Chłop, czy baba, ilekroć zaprzeczyć nie może, a twierdząco na pytanie odpowiedzieć nie chce, zada napewno takie «któż ja?», a namyśla się tymczasem nad odpowiedzią.

— No, wy.

— E, mój ta za tem nie chodzi...

— Chodzi, czy nie chodzi, dawajcie!

Otwarła babina do komory i wyniosła zieloną butelczynę... Dżentlemani palnęli po kieliszku.

— *Encore une fois!* — powiada filozof.

— *Encore une fois!* — odpowiada chór.

Otucha niejaka wstąpiła w nas wszystkich. Wchodzi tymczasem Pyzik, zdejmuje czapkę

i uśmiecha się. Skromnie usiadł sobie na ławie; woda zeń płynie strumieniem.

— Jagna!—powiada do żony, — dej-no onucki.

— Aj-no, pójdz-ze! stopłoś się, to se cierp..

— Nygus baba! — mruknał do nas poufale, obwinał nogi zmoczonymi gałganami i zabrał się do wyjścia.

— Gdzież wy idziecie, gospodarzu? — zapytaliśmy.

— Wywlecemy a to z furmanem wózek.

— A gdzież reszta tamtych... cha... te!.. gospodarzy?

— Poszły, psiakość, do domów. Zmarzły psu-braty.

Zaśmiał się i poszedł. Nastąpiła cisza. Pyzikowa suszyła trzecią już z rzędu koszulę, wyżymała spodnie i t. d., przybierając skromną minę. Dżentlemani, odtajawszy, ducha nawet figlarności nabierać poczęli; mnie tylko ogarniała rozpacz: wieczór nadchodził, nie zobaczę jej.

W chałupie śmierdziały kartofle, kożuchy, buty, pomyje, jakieś tłuszcze, wreszcie specjalnie chłopski zapach, siarko-wodór, czy jak się tam nazywa...

Patrzałem leniwie na suchotniczych świętych częstochowskiego pędzla, na ławę z poręczą przy łóżku, na straszliwy piec z kominem, na płową czuprynę chłopaka, ucierającego nos palcem i z niezmiernem przerażeniem wpatrującego się we fraki, wiszące na grzędzie. Sen mię ogarniał

i ogarnął. Drzemałem dość długo. Nagle zbudził
mnie okrzyk dżentlemanów:

— Jedziemy! — wołali, wdziewając wysuszo-
ne ubranie.

— Jakto... jedziemy?

— Jedziemy na imieniny.

K O N I E C.



SPIS RZECZY.

Doktór Piotr	1
„Cokolwiek się zdarzy...“	51
Ananke	57
Zmierzch	67
Złe przeczucie	77
Po Sedanie	81
Zapomnienie	85
Pokusa	102
Siłaczka	108
Oko za oko	142
Niedziela	249
Z dziennika	257



30. —

384885

4717

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

106383

Biblioteka WSP Kielce



0149268